



De. II. 1.

# Pieśni Waclawa Potockiego,

Przez

J. K. Słebańskiego.

Wacław Potocki jest w licznym szeregu poetów polskich wieku XVII-o jednym z najobfitszych wierszopisów drugiej połowy tego stulecia, a mimo to, jak o większej części naszych pisarzy dawnych, nie posiadamy o nim żadnych prawie bliższych wiadomości biograficznych, bo nawet rok jego urodzenia i śmierci tylko z przygodnych wzmianek Kochowskiego i jego własnych, w przybliżeniu podać możemy. Szczegóły, wskazane u Juszyńskiego (Dykcyon. poet. II 81) i Feliksa Bentkowskiego („Histor. liter.“ T. I 456) okazały się, po bliższym rozbiórce, niezasadnionemi. Pierwszy wydawca „Wojny Chocimskiej“ (Lwów 1850), Stanisław Przyłęcki, przypisujący mylnie autorstwo tego poematu Andrzejowi Lipskiemu, w przedmowie swojej nie zwracał pilniejszej uwagi na Wacława Potockiego, dopiero Karol Szajnocha, poznawszy błąd Przyłęckiego, w gruntownym studyum pod tyt. Wacław Potocki, autor „Wojny Chocimskiej“ etc. zebrał (1854) nieco szczegółów do biografii Potockiego, na których się opierali wszyscy późniejsi historycy i krytycy, nie przyczyniając od siebie nic nowego, ponieważ poza drukowanemi pismami samego Potockiego nie natrafili na żadne nowe źródło. Karol Mecherzyński, kreśląc w „Bibliotece Warszawskiej“ (1861) szczegółowy rozbiór estetyczny „Wojny Chocimskiej“, — Ludwik Nabelak, rozbiórca gruntownie „Argenidę“ („Bibliot. Ossolińskich“ Lwów 1863) a Adam Bełcikowski<sup>1)</sup> i Aleksander Tyszyński<sup>2)</sup> w gruntownych swych studiach nad całkowitą poetyką działają-

1) „Przegląd polski“. Kraków 1868 i w osobnej odbitce „Wacław z Potoka Potocki“ (studyum literackie) Krak. 1868.

2) We wstępie do wydania „Wojny Chocimskiej“ w „Bibliot. najceln. utworów literat. europ“. S. Lewentala. Warsz. 1880.

nością Wacława Potockiego, musieli poprzestać na danych, zebranych przez Karola Szajnochę. „Pieśń“, które niniejszem ogłaszamy ze współczesnego rękopisu pastora Trębeckiego, „Wiridarz poeticki“<sup>1)</sup> (str. 901 — 930), przynoszą nam dwa szczegóły nader ważne w biografii Potockiego, gdyż objaśniają pod pewnym względem nastrojów duchowy muzy Wacława Potockiego, składającego dziekczynne pienia Panu Bogu za nawrócenie i przygarnięcie go do kościoła katolickiego i lamentującego na tułactwie po obcych krajach podczas najazdu szwedzkiego za Jana Kazimierza, który się w ówczas także z całym dworem do Szlązka był schronił.

Wacław Potocki, tytułujący się sam „Potocki z Potoka“, nie należał do głośnej możnowładczej rodziny Pilawitów, ale urodził się około r. 1622-o we wsi dziedzicznej Łużna na Podgórzu karpackim pod Bieczem, z rodziny niezamożnej herbu Sreniawa, (wywodzącej ród swój od Kmitów<sup>2)</sup>), wyznania, jak się zdaje, aryańskiego, bo w tej okolicy liczono wówczas najwięcej zborów aryańskich.<sup>3)</sup> Za Jana Kazimierza służył wojskowo, mianowicie w wojnach kozackich około 1652<sup>4)</sup>, przeważnie jednak, jak się zdaje, oddany był literaturze, roli i życiu familijnemu. W obec nawaly szwedzkiej, za Jana Kazimierza, wolał szukać bezpieczniejszego schronienia na tułactwie aniżeli stanąć w szeregach obrońców ojczyzny przeciw najezdnikowi. Nie mamy, prócz przygodnej wzmianki w naszym rękopisie niżej dosłownie powołanej, szczegółowszego świadectwa o tej emigracyi poety z Łużny, dla tego nie możemy stanowczo twierdzić, czy trzymał się dworu Jana Kazimierza, tułającego się w r. 1655-ym na Szląsku. czy też razem z wielu innymi ze szlachty bawił dłużej na obczyźnie przeczekując huragan wojny szwedzkiej. Pieśni, które, zdaje się, w tym czasie pisał, są przepelnione płaczem i lamentami skruszonego grzesznika: ani śladu tego ducha obywatelskiego, który zagrzewał serca twórców konfederacyi Tyszowieckiej i prowadził do zwycięstw Czarnieckich, Sobieskich, Jerzych Lubomirskich i i. aż do zawarcia pokoju oliwskiego (1660). — Pieśni te pisał Potocki pod bezpośredniem wrażeniem chwili (1655 — 1660), a więc w epoce, poprzedzającej o 10 lat napisanie „Argenidy“, uważanej za pierwszy większy utwór Potockiego<sup>5)</sup>.

Gdzie i jakie Potocki odebrał był wykształcenie naukowe nie pewniejszego o tém powiedzieć nie możemy, chociaż pisma jego, czy to samodzielnie pomyślane, czy też z języka łacińskiego tłumaczone dowodzą, że z językiem i literaturą rzymską był gruntownie obeznany, a liczne jego reminiscencye z literatury klasycznej wnosić każą,

<sup>1)</sup> Zob. „Bibl. Warsz.“ 1890. T. II. str. 6. 7. oraz „Olb. Karmanowskiego wiersze“ przez nas zbrane. Warsz. 1890. str. 7. <sup>2)</sup> Szajnocha „Szkico historyczno“. Lwów 1858 wyd. 2-ie T. 1-szy str. 286. <sup>3)</sup> J. Szujski, Dzieje. T. III. str. 413. cf. niżej: „Decima pieśni pok.“ Pieśń 5-a zwrotka 7 i pieśń 6-a zwrotka 4-a i 5-a. Str. 330 i 331. <sup>4)</sup> K. Szajnocha l. c. str. 286, 287. <sup>5)</sup> Ibid. str. 288.

że musiał być uczęszczać do wyższego zakładu akademickiego, prawdopodobnie do akademii jagiellońskiej w Krakowie <sup>1)</sup>.

Z Niesieckiego wiadomo, że Wacław Potocki ożeniony był z Katarzyną, córką Stefana Morsztyna, starosty Kowalskiego, przez co wszedł w bliższe stosunki powinowactwa z przywódcami ówczesnych Aryanów w Wielko-Polsce, Małopolsce i na Litwie mianowicie: z Morsztynami, z Widawskim, Wiszowatym, Lubienieckim, Tarczykim, Błędowskim, Przypkowskim, Szlichtyngami, Arciszewskim i w. i. <sup>2)</sup>. Ożenił się wcześniej i został ojcem trojga dzieci, dwóch synów i jednej córki <sup>3)</sup>. Najstarszy syn Stefan <sup>4)</sup> obrał zawód wojskowy, młodszy Jerzy pobierał nauki w kolegium jezuickim, (poległ na wyprawie tureckiej), córka zaś Zofia była poślubioną Janowi Lipskiemu, staroście Czchowskiemu i Sandeckiemu, którego odumarła jeszcze za życia ojca, nie dożywszy lat trzydziestu <sup>5)</sup>.—Fakt wyboru żony z rodziny tak wybitnie aryańskiej, jak rodzina Morsztynów, w związku ze skrucłą i radością nawróconego, wyrażoną niżej w Pieśni 6-ej, przy świadectwie współczesnej adnotacyi w naszym rękopisie, nie pozostawia żadnej wątpliwości co do tego, że Wacław Potocki wzrósł w sekcie aryańskiej, którą później porzucił i z wielką dewocją myślał i pisał po katolicyku. Nie byłoby bez wartości dla głębszej analizy utworów Potockiego, gdybyśmy mogli oznaczyć czas, w którym ta ważna odmiana w życiu Potockiego nastąpiła. Czy nawrócenie poety uaszego do kościoła katolickiego było samoistnym wynikiem przeświadczenia się jego o błędach aryanizmu, czy też dopiero wywołaném ono zostało srogiemi konstytucjami przeciw aryanom za Jana Kazimierza w latach 1658 i 1661-o, powiedzieć nie możemy. Czy fakt ten spełnił się już za życia żony i obejmował wszystkich członków rodziny, czy też nastąpił dopiero w epoce, gdy osierocony starzec, straciwszy żonę i syna Stefana, zamknął w sercu boleść wielką i po śmierci córki Zofii i syna Jerzego—w samotności swój oddał się modlitwie i ulubionym pracom poetycznym, to pozostanie także zagadką, której bez nowych źródeł rozwiązać nie podobna.

Zebrany przez K. Szajnochę materiał źródłowy każe nam wnosić, że Potocki, daleki od życia publicznego, mógł pochłubić się zaledwo godnością podstarościego bieckiego i podczaszego krakowskiego, którym go dopiero Jan III mianował, jak gdyby w dowód uznania za liczne utwory panegiryczne, któremi poeta w sposób nader pochlebny wielbił króla Sobieskiego, nie ustępując w niczém współ-

<sup>1)</sup> Tyszyński l. c. str. VIII i IX.

<sup>2)</sup> J. Rzepecki w Bibl. Warsz. 1885, T. II str. 58 tablica genealogiczna Morsztynów.

<sup>3)</sup> K. Szajnocha l. c. str. 287.

<sup>4)</sup> Umarł w zimie z r. 1673 na 1674, w 23-iej wiosnie życia, wracając z wojny tureckiej. Ibid 290.

<sup>5)</sup> Wkrótce po śmierci Stefana. Ibid. 290.



czesnym panegirzystom. Jako zwolennik politycznych poglądów Jerzego Lubomirskiego, nie oszczędzał Potocki w początkach swego zawodu poetyckiego Jana Sobieskiego, jako hetmana W. kor., z powodu jego głośnej gorliwości w popieraniu projektu elekcji następcy tronu za życia Jana Kazimierza i późniejszych za panowania Michała zawichrzeń, podniecanych przez popleczników interesów francuzkich. Jedynym śladem udziału Potockiego w życiu publicznem jest sprawowanie urzędu poselskiego na sejm r. 1683, który między innymi wyznaczył go komisarzem do granic szląskich. Potocki pozostał jednak, jak się zdaje, obojętnym dla tego zaszczytu, bo pomiędzy delegatami powtórnie dla tej sprawy wybranymi na sejmie następującym Potockiego Waclawa już nie znajdujemy.

Jeżeli co do czasu, w którym napisane zostały pięć pieśni „Na tułactwie“, nie potrzeba mieć żadnej wątpliwości, to nie możemy tego powiedzieć o „pieśniach pokutnych“, które do późniejszej zdają się odnosić epoki, mianowicie do czasu, w którym Potocki już był porzucił arianizm. (Porównaj niżej zwrotkę 7-ą pieśni 5-jej i zwrotkę 4-tą i 5-tą pieśni 6-jej. Str. 230 i 231.) W bibliotece Załuskich znajdował się bogaty rękopiśmienny zbiór utworów poetycznych Waclawa Potockiego w 6-u tomach; w drugim tomie z pomiędzy nich mieści się oprócz „Nowego zaciągu“ 1) 28 psalmów pokutnych; 2) Siedm psalmów na 7 prózb modlitwy pańskiej; 3) 56 śpiewów i hymnów pobożnych; 4) Rozbój duchowny na gościńcu zbawienia i t. d. 4). Byłoby rzeczą ciekawą wykazać stosunek, w jakim ogłaszająca się niniejszemu „Decima pieśni pokutnych“ pozostaje do owych daleko bogatszych i obfitszych zbiorów, mianowicie, czy jest to prosty wyciąg, czy nowy zupełnie utwór, czy też przeróbka pełniejszego materiału. Wydanie niniejsze może ułatwić pożądane na tém polu poszukiwania.

Współcześni umieli cenić utwory Potockiego, chociaż mało bardzo było za życia poety drukowanych 2). Rękopis pastora Trembeckiego uważa polskie wiersze Waclawa Potockiego, podstarościego bieckiego, „między wielu zacnych autorów osobnego zalecania godne“. Wespazyan Kochowski w wierszu „Poetowie polscy“ pisze:

„Z tymi się obok Obodziński zmieści,  
 „Także Potocki, lub (!) się długo pieści  
 „Z swą Argentią, zazdroszcząc jej świata,  
 „Chociaż dziewiętno minęły jej lata“. 3).

Na co odpowiedział Potocki (Jovialitates str. 229) wierszem „do IMci P. Wespazjana Kochowskiego, pisoryma polskiego“, dziękując za to wpisanie go „bogdaj w progu—Własnych poetów polskich katalogu“, a w końcu dodaje w skromności swojej:

„Ja w swych wierszach nie szukam próżnej chwały dźwięku,  
 „Aleksandrów też nie masz, którzyby w Herylu

1) Szajnocha l. c. str. 295. 296. 2) Zob. Szajnocha l. c. i Al. Tyszyński. l. c. 3) Epodon liric. wyd. Turkowskiego str. 281.

„Pokazali, co waży wiersz dobrego stylu...  
 „Sobie i Muzom piszę, nie frasując głowy,  
 „Choć na tym szlaku zbieram za wami podkowy...  
 „Nie byłoby dobrego, nie bywszy partacza. <sup>1)</sup>).

Mimo tak skromnego zdania o wartości swoich poezyi, nie ustawał Potocki w pisaniu wierszy nie tylko mniejszych, ale i większych rozmiarów, które jednak aż do ogłoszenia w r. 1850 ym „Wojny Chocińskiego“ nie potrafiły go wynieść w historii literatury na poczesne miejsce, jak świadczy między innymi nadto lekceważący jeszcze sąd Feliksa Bentkowskiego. <sup>2)</sup>.

Po ogłoszeniu „Wojny Chocimskiej“, w pierwszych chwilach nie obeszło się wprawdzie bez przesady w niepomiarowanych pochwałach Potockiego; lecz dzisiaj, po wielostronnych badaniach K. Szajnochy, a szczególnie po wyczerpujących studiach estetycznych Adama Belcikowskiego i Aleks. Tyszyńskiego—zgodziła się krytyka literacka na to, że dzieła poety z Łużny, nużące niekiedy swoją rozwlekłością i tonem zbyt lamentacyjnym, pozostaną charakterystycznym pomnikiem swojego wieku, pełnego ogromnych katastrof a ubogiego w dzielne charaktery i prawdziwe cnoty rycerskie. „Sam poeta: — osierocony, po trudach wojennych na roli spoczywający, śpiewak zgrzybiały, z którego lutni, nie umiejącej zabrząknąć żadnej piosnki lirycznej, płynie wśród żalobliwego łkania nieprzebrany źródło rycerskiego opowiadania i poetycznej wymowy, którego skargi nad upadkiem sprawy publicznej mieszają się ciągle z rzewnymi łzami żalu po dzieciach,—który w tej smutnej, opuszczonej starości przygrywa sobie samotnie aż do grobu—ten wieszcz z ałobny zachowa w historii upadającego narodu... na zawsze rysy wielce zajmującej postaci“. Pieśni, które niniejszemu ogłaszamy, stwierdzają ten sąd bezstronny i historycznie wyrozumowany.

## I. Decima pieśni pokutnych.

### *Pieśń 1.*

Gdy człowiek wspomni, Boże wszego świata,  
 Na przeszłe marnie strawione swe lata;  
 Na brzydkich grzechów regestr niezliczony,  
 A lepiej Tobie, niż jemu wiadomy;  
 Gdy dobroć wielką i Twoje miłości,  
 Które chojnie zna po wszystkie wieczności,  
 Bo dla kogoż krew Syna Twego ciekła,  
 Abyś go wyrwał z grobu, z śmierci, z piekła?  
 Kiedy zaś on Sąd i brak sprawiedliwy  
 Owiec od kozłów—człowiek nieszczęśliwy  
 Rozbierać pocznie, kędy cnotliwemu  
 Ledwo się ostać, biadaż mnie grzesznemu.

<sup>1)</sup> K. Szajnocha l. c. str. 288.

<sup>2)</sup> Hist. liter. T. I 456.

Myśli mi w sercu nie staje i rady  
 Jako mam pokryć swoje wielkie wady:  
 Wymówki nie masz, Prawa Twoje znałem  
 I po próżnicy słów Twoich słuchałem.  
 Skryć się też temu niepodobna, który  
 Ziemie i morza, przepaści i góry,  
 Myśli i serca najgłębsze skrytości  
 Wskroś zna i widzi z swojej wysokości.  
 Śmierć przykładami co godzina grozi,  
 Gdy złych i dobrych na on świat przewozi.  
 A ja po uszy leżąc w nieprawości  
 Zdrętwiałem sercem czekam takiej Gości.  
 I na to mi się już brało bez mała,  
 Gdyby mię łaska Twa nie zatrzymała,  
 Żebym zwątpiwszy w miłosierdziu Twoim  
 Już miał rozpaczać w mdłym rozumie swoim.  
 Niechaj me grzechy i nieba sięgają,  
 A mnie do piekła samego strącają,  
 A ja je Tobie wyznaję, mój Boże,  
 Bo któż krom Ciebie oczyścić mię może.  
 Wzdyć też i dla mnie okrom wszelkiej winy  
 Umarł Pan Jezus i ziemne niziny  
 Dla mnie nawiedził i potym z Erebu  
 Wstawszy, dostał się na wiek wieków Niebu.  
 On Zbawicielem mym jest i Rzecznikiem,  
 On ojca ze mną pojedna grzesznikiem.  
 On wybieliwszy brudne moje szaty,  
 Uchowa drogięj dusze wiecznej straty.  
 I do prawdziwej pomoże pokuty,  
 I da, że ze wszech grzechów mych wyzuty  
 Tryumf nad ciałem odniosę i światem  
 I będę gotów na dzień jego zatem.  
 Boże, co nie chcesz śmierci grzeszącego  
 Do miłosierdzia apeluję Twego,  
 Daj czas poprawić, użyż Swego Ducha  
 Niech najdzie miejsce u Ciebie ma skrucha.

*Pieśń 2.*

O Boże wszystkich, którzy są Bogami  
 I w niebie i tu pod Twemi nogami,  
 Tron Twój na sądzie i sprawiedliwości  
 Jest założony od wieków wieczności,  
 Chwała Cię zewsząd z Władzą ogarnęła,  
 Oczom nieznośna jasność Cię okreła.  
 Piorun gotowy i ogień trawiący, —  
 Stoję przed Tobą Boże wszechmogący.



Oto ja grzesznik, napisawszy łzami,  
 Kładę supplikę przed Twemi nogami:  
 Jam, zapomniawszy okupu drogiego  
 Za duszę moją Krwie Syna Twojego,  
 Z Twymim się na Cię przeciwniki bratał,—  
 I chcesz nieraz w serce me kołatał,  
 Skalałam się stawał i kamieniem głuchem,  
 Zamykając drzwi przed Twym Świętym Duchem.  
 Świat był przyjaciół, szatan moja rada,  
 Ciało rozkoszą, grzech wieczna biesiada.  
 I wszystko, czém się brzydzi Twoje oko,  
 Swe gniazdo we mnie uwiło głęboko.  
 Cnota nie miała miejsca w mojem cielesie,  
 A miało miejsce sprośnych grzechów wiele.  
 Więc jeśli mnie kto chciał urazić wiecznie,  
 Tylko mi było prawdę rzec bezpiecznie.  
 Czemuż mię ogień nie żrze w mgnieniu oka,  
 Czemuż mię piorun nie bije z wysoka,  
 Czemuż mię sąd Twój, sprawiedliwość Twoja,  
 Nie wepchnie wiecznie do śmierci podwoja.  
 Boś nietylko Bóg, lecz i Ociec prawy,  
 Nietylko Sędzia, Dobrodziej łaskawy,  
 Nietylko sąd ma miejsce na Twym Dworze  
 Lecz dobrotliwość przychylna pokorze.  
 Nie sama tylko sprawiedliwość w Tobie  
 Większą część kładzie Miłosierdzie sobie.  
 Długa cierpliwość, dobroć niezwyčajna  
 Twoja po wszystkim świecie nie jest tajna.  
 Teieś nademną użył, o mój Panie,  
 Przetoż Ci dzisiaj wierne pokajanie  
 Grzechów mych czynię i życia mojego,  
 Pomóż mi tylko przez Ducha Twojego,  
 Abym tak przeszłych swoich win żałował,  
 Byś mię w nich więcej już nie poszłakował.  
 Oduść o Boże! wszystkie moje złości,  
 A racz mi pomóż do życia nowości.

*Pieśń 3.*

Kiedy na on dzień straszny zawołany,  
 Pomyśli człowiek grzechem pomazany,  
 Gdzie wszystkie ludzkie zgromadzisz narody,  
 Abyś im oddał przysłusze (sic) nagrody.  
 Choć kto tysiąc lat, abo jeszcze więcej  
 W grobie był; choć kto w paszczęce zwierzęcej  
 Żywota pozbył, a tu łowy jego  
 Miejsce na ziemi nie miały jednego.

Bądź kto w głębokich nurtach pochłoniony,  
 Rozniesion od ryb w różne wodne strony  
 Bądź kogo ptacy latając strawili

1)

Wszyscy tam staną, Boże niezmierny,  
 Przez Syna Twego sąd nienaganiony.  
 A każdy registr urobku swojego  
 Przyniesie z sobą przed oczy Sędziego,

Który nie tylko sprawy sądzić będzie,  
 Kiedy na strasznym trybunale siędzie;  
 Lecz-co mi więcej ach dodaje strachu,  
 Że sądzić będzie z myśli i zamachu.

I ja tam będę, Boże świata wszego,  
 Z liczbą żywota marnie strawionego,  
 Na cóż i myśli wspominać plugawę,  
 Z rejestru zaraz wyrozumiesz sprawę.

A że tam późna już apellacya,  
 Przeto zawczasu postrzegam się i ja,  
 Póki téj pary użycesz śmiertelnéj  
 Do miłosierdzia, o Boże niezmierny!

Dziś apeluję od sprawiedliwości,  
 Odpuść mi proszę prze Twoje litości.  
 A ile kiedy mam po sobie Prawo,  
 Któryś, Ty na się sam wydał łaskawo.

Ze nie chcesz człeka grzeszącego śmierci  
 Chociażby nie żył i godziny c(z)wierci;  
 Powstawszy całém sercem z swego grzechu,  
 Przyjmiesz go wiecznie do swych wiernych cechu.

Odpuść mi mój grzech, Boże litościwy,  
 A dopuść, abym choć póty był żywy,  
 Póki karmazyn moich nieprawości  
 Nie dojdzie glanca śniegowéj białości.

A Ty, o Jezu, któryś srogie męki  
 Dla mnie ucierpiał z nieprzyjaciół ręki,  
 Padam z pokorą dziś przed Twoim Tronem,  
 Racz być mój sprawy na niebie Patronem.

Pokaż okrutne razy swemu Ojcu,  
 Powiedz, coś dla mnie ucierpiał w Ogrójcu,  
 Bo w Tobie tylko jedyna otucha,  
 Że przyjdzie przedeń kiedy moja skrucha.

Kropła krwi Twojój w téj cenie u niego,  
 Że nie masz grzechu, mogę rzec, żadnego.  
 Żeby go zmiękczyć nie miała; o Boże,  
 Zmiłuj się, zmiłuj niech i mnie pomoże.

1) Tu brakuje w rękopisie jednego wiersza.



*Pieśń 4.*

- Cóż jest dla Boga? Zdobyć się nie mogę  
 Już na lepszą myśl, czując w sercu trwogę.  
 Serce ciężkimi spętane łańcuchy,  
 Pełne mam skruchy.
- Głowy nijakie nie gryzą frasunki  
 Szpiklerz dostatni wtaż piwnica w trunki,  
 Dosyć wszystkiego mam i Przyjaciela  
 Z inszych dobr wiela.
- Wszystko to za nic, niesmaczne potrawy,  
 Wino najlepsze u mnie piolun prawy.  
 Ani przyjaciel najmilszy, przyjdzieli,  
 Mnie rozweseli.
- Ani muzycy wyćwiczonęj ręki,  
 I pieśni zgodne, choć mają swe wdzięki,  
 Nie dbają na lzy (?) i uciężne pole  
 Me skryte mole.
- Żadna uciecha i zabawa zgola  
 Temu robactwu we mnie nie podola;  
 A im je więcej w sobie człowiek morzy  
 Tym jeszcze gorzy.
- Jedno tylko jest, które je wywodzi  
 Lekarstwo, ale ziemia go nie rodzi;  
 Do Niebieskiego trzeba iść Doktora,  
 Ma dusza chora.
- Wieczny Lekarzu, do Twojéj Apteki  
 Idę po pewne na wieczną śmierć leki.  
 W poczęcie przynoszę swój Żywot z pokutą,  
 Z duszą otrutą.
- Wlęj w usta moje najświętszego soku  
 Który wypłynął z Pana mego boku,  
 A na me grzechy nie żałuj Oleju,  
 O Dobrodzieju!
- Więc że ostatnia nadzieja już w Tobie,  
 Nie szacuj drogo Bezuaru sobie.  
 Ze przyjmiesz moje uniżone skruchy  
 Znacznej otuchy.
- Ani Balsamu krwie Twojégo Syna,  
 Którego ze mną ważna jest przyczyna,  
 Choćby potami ucisku na ciele  
 Zbyć grzechów wiele.
- A jeśli trzeba upuść krwie niezdrowéj  
 Otom ja, Boże, na wszystko gotowy.  
 Byłem co prędzej mógł jako przyść ksobie  
 I nie być w grobie.

Nie trzeba czekać Twym lekarstwom Maju,  
 Jakiego nasze strzegą obyczaju;  
 Maj Tobie zawsze, kto woła ku Tobie  
 W takiej chorobie.  
 Omyj mię, Boże, i oczyść mię wiecznie  
 A ja nie będę więcej żył wszetecznie,  
 I niechaj Twoje pomogą mi leki  
 Bym żył na wieki.

*Pieśń 5.*

Stawam przed Tobą, Panie, któryś w niebie  
 Osiadł Tron wieczny stworzony dla Ciebie;  
 A co mi wiele dodaje dufności,  
 Ześ dobrze wiadom ciała ułomności.  
 I Tyś był w ciele, lecz prawdziwym Bogiem,  
 Przetos z grzechowym nie znał się nałogiem.  
 I choć Cię szatan chytry sztucznie kusił,  
 Poszedł ze wstydem, boś go Ty przymusił.  
 I poznał pewnie, że nie z nami sprawa,  
 Którym lada co za ponętę dawa  
 Do srogich grzechów; tu świat ukazuje  
 Ciało namawia, a tu śmierć gotuje.  
 I mnieć oszalił, o mój Zbawicielu!  
 Zem uwiązł w Ignącym błocie grzechów wielu.  
 Uwiązłem prze Bóg, a śmierć się uwija,  
 Kto się nawinie, nikogo nie mija.  
 Ratuj mię Panie, Twoja dobroć Święta  
 Niech zrzuci ciężkie z serca mego pęta  
 Wszak Ci i dla mnie na najświętsze nogi  
 Kładli okowy, Panie Jezu drogi.  
 Dla tegoś umarł, abym ja był w Niebie,  
 Dla tegoś tam wszedł, byś mię wziął do siebie;  
 Pewnie nie wnijdę, jeśli moje złości,  
 Będą chcieć ze mną iść na wysokości.  
 Pozbawże mię ich, Dobrodzieju Święty,  
 A pobłogosław zamysł przedsięwzięty,  
 Abym w prawdziwej Twojej żyjąc wierze,  
 Przed Tobą grzechy opłakiwał szczerze.  
 Wszakęś dla tego przyszedł na świat nizki  
 Na nim celnikom grzesznym byłeś blizki.  
 Abyś ich z drogi zginienia nawrócił,  
 Wszystkęś swoje myśl do tego obrócił.  
 Jeśli on grzesznik dostąpił zbawienia,  
 Który na drzewo wszedłszy dla widzenia

Oblicza Twego, miał Cię gościem w domu <sup>1)</sup>  
 (Daj się tak ludzkość nadała każdemu!)  
 Tyś teraz w górze, a jam jest na ziemi,  
 Szukam Cię Panie oczyma swojemi.  
 Ach! niech mi grzechy wzroku nie ćmią moje,  
 Daj mi oblicze Święte widzieć Swoje.  
 I racz być Gościem w domu mego serca,  
 A ja świetnego dostawszy kobierca  
 Cnoty wszelakięj, — objęję pokoje,  
 Kędy będziesz miał Panie w czasy swoje.

## Pieśń 6.

O Boże, któryś jest błogosławiony  
 Na wieczne wieki, któryś osiadł Trony  
 Przy prawym Ojca Niebieskiego boku,  
 Wyszedszy z grobu i ciemnego mroku;  
 Gdzieś tryumf odniósł na Ojcowskim łonie,  
 I posadzonyś na świętym Syonie.  
 Zkąd jako pasterz wierny i uczony,  
 Pasiesz swych Owiec trzodę z każdej strony.  
 A te tam wodzisz, kędy niwy wielkie  
 Pachniące zioła, trawy rodzą wszelkie,  
 Więc że masz w sobie żywe źródła wody  
 Łacno im dodasz w ciężki znój ochłody.  
 Pasterzu Święty, i jam z Twej owczarnie  
 Za inszym Wodzem obłądził się marnie  
 I zginałbym był już bez wątpliwości,  
 Byś mię nie szukał z Swojej Opatrzności <sup>2)</sup>.  
 Świat między kozły wmieszał był bodzące,  
 I zaprowadził na moczary lgnące;  
 Byś mi na pomoc nie dał Swojej ręki,  
 Utonąłbym tam był na wieczne męki.  
 Omyjże mię dziś z grzechowego błota,  
 A niechaj bieli moje runo cnota.  
 Cnota mię niechaj przy Tobie zatrzyma,  
 Bo mię lew srogi na ten czas poima.  
 Jeśli on Pasterz, jako piszą Święci,  
 Z dziewięci dziesiąt owiec i dziewięci  
 Nie tak się wielce ucieszył, jak z onęj  
 Straconéj, a zaś w rychle nalezionéj.  
 Jam też jest z tego wesóły bez miary  
 Zem się powrócił między Twe koszary

<sup>1)</sup> Zacheusz celnik.

<sup>2)</sup> Bo był pierwéj sekty Aryańskiéj. Rękop.



A Ty mi pomóż o wieczny Pasterzu!  
 Abym do śmierci trwając w Twym przymierzu  
 Nie zasmucił Cię, i Twoje staranie  
 Aby nie było bezowocne Panie,  
 Żeby się w Niebie cieszyli Anieli,  
 Gdy mię zaś będą za Tobą widzieli.

*Pieśń 7.*

Nie racz o Boże w Twej zapalczywości  
 Czynić dekretu na me nieprawości,  
 Bo cóżem ja jest? Proch podnóżka Twego,  
 I cóż za korzyść z zatracenia mego?  
 Chociaż mam ciało, popiół to jest właśnie,  
 Który zostaje, kiedy ogień zgaśnie.  
 Tak weźmieszli mi pożyczoną duszę,  
 W drobne perzyny zaraz się rozkruszę.

Nie natości Ty w ulepione ciało  
 Włał Ducha, aby Ciebie się nie bało,  
 I aby z tego próżnej pełne chluby  
 Duszę niewinną przywiodło do zguby;

Ale, żeby się Twym Boskim przymiotom,  
 Mocy, dobroci i mądrym robotom  
 Przypatrujące, prawa Twoje Święte  
 Zachowywało, strachem wielkim zdjęte.

Zbłądziło serce i rozum niebaczny,  
 Bom Twoich darów i chojności znaczny,  
 Z wielką zużywał ciała rozpustnością,  
 Trując się daną od Ciebie wolnością.

Zginałem wiecznie na duchu i ciełe  
 Bo mię pcha w przepaść moich grzechów wiele  
 I jeżeli się już późno obaczył  
 Wątpię, abyś mię i wysłuchać raczył.

Jeżeli kiedy, teraz jest niezmierny  
 Plac do litości, Boże miłosierny,  
 Ach! nie daj śmierci dziś ze mnie obłowu,  
 Opuść mi grzechy, a stworzysz mię znowu.

Użycz prawdziwej ku pokucie czasu  
 Oczyść mą duszę z śmiertelnego kwasu;  
 A jeśli też chcesz, rad będę zamianie,  
 Czyste sumienie daj, weź Żywot za nie.

Nie zatulajże Najświętszego ucha;  
 Niech najdzie miejsce ma serdeczna skrucha,  
 Na miłosierdzia Twego drzwi kołace  
 Ani ostatniej nadzieje nie tracę.

Jeszcze mię jeden raz doświadcz, mój Boże,  
 A ujrzysz, że mi Twa dobroć pomoże.

Dał mi się znać grzech, już się go też wiecznie  
 Wyrzekam, a ślub trzymam Ci statecznie.  
 Racze mi pomódz do prawej pokuty  
 A onej wiecznej zachowaj mię chuty:  
 Gdzie owoc ciała dusza nieszczęśliwa,  
 Odbierać będzie na wiek wieków żywa.  
 Dziś mię wysłuchaj, dziś mię ratuj, Panie  
 Zdéjm ze mnie srogie sumienia szczypanie.  
 W rękachem Twoich, karz-że mię na Świecie,  
 Ale mi daj żyć w Niebieskim powiecie.

*Pieśń 8.*

Dobry na dobrych, a ześ sprawiedliwy,  
 Przeto na grzesznych surowy i mściwy.  
 Ja gdybym nie czuł przy Sprawiedliwości  
 O Miłosierdziu w Tobie i litości,  
 Grzesznik, którym Cię gniewał razow wiele,  
 Pewniebym nie stał przed Tobą tak śmieie;  
 Bo lotny piorun i ogień siarczany,  
 Pilnują Twojej ręki rozgniewanej.  
 Pokazałeś to Sodomskiemu miastu,  
 Choć i temuś chciał dla dobrych pietnastu <sup>1)</sup>  
 Oduścić winę, dobrotliwy Boże,  
 Tak wiele w Tobie Miłosierdzie może!  
 Poznał Abia i Nadab uporny,  
 Jako gorący on Twój ogień gorny,  
 Zeć z obcych ogniów palili ofiary,  
 Nie uszli srogiej zasłużonej kary.  
 Nie samać tylko Sodoma grzeszyła,  
 Miasto Niniwe także złości siła;  
 Nie sam Abia z bratem zgrzeszył, Panie,  
 I Dawid na toż zarobił karanie.  
 Czemużeś się tych łaskawie użalił?  
 A tamtych ogień niebieski popalił.  
 Bo tamci trwali w złośliwym uporze  
 A ci się wskok mieli ku pokorze!  
 W pokorze i ja robak twój śmiertelny  
 Idę przed tron Twój, Boże miłosierny,  
 Którym w grzechowym dotąd leżał błocie  
 Chamuj gniew a daj ucho mój sprawocię. <sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Dziesiąci. Rękop. <sup>2)</sup> Sprawota=usprawiedliwianie się. W „*Argentzie*“ (10) Potockiego czytamy: „Wielka krzywda poddanym, wielka w Królu wada, „Kędy skarga sprawocie uszy pozakłada“, a w „*Syloreście*“ (49): „Wiesz, kogo potwarz wplszę do metryki, „Niewinność ani sprawota wyskrobie...”

- Szkoda się z Tobą obchodzić obłudno,  
 Sprawotą skargę moję nazwać trudno.  
 Śkarżę sam na się i wyznaję jawnie,  
 Zem gwałcił Twoje Przymierze ustawnie.
- Ani mię dobroć i Twoje przymioty,  
 Ani gniew nie mógł namówić do cnoty—  
 I zgołażem ich najmnieję nie uważał,  
 W grzechum smakował i w złości pobłażał.
- Ciało, któreś chciał mieć swoim przybytkiem,  
 Plugawym chlewem było grzechom wszystki(e)m.  
 W sercu niecnoty miały swój skład wierny,  
 W takim był zabiegł labirynt niezmierny.
- Twe przykazania, któreś na Swej Górze  
 Spisawszy, dwakroć podał na marmurze,  
 Przepowiadałem: miałem Bogów wiele,  
 Co panowali w mojem grzeszném ciełe.
- Brzuch był mym Bogiem, Świat, sława, dla złota  
 Tania wszelaka była we mnie cnota  
 Tych conterfety wystawiwszy sobie,  
 Zem im cześć czynił, co należy Tobie.
- Po próżnicym brał w swe usta wszeteczne  
 Często Twe Imię Święte, Boskie, wieczne.  
 Anim rodziców cześć w głupieję młodości  
 Jakoś rozkazał nie miał w uczciwości.
- Serce nad bliźnim chciwe pomsty było,  
 Nie jednegoby, by mogło zabiło.  
 Przydałem i to do swych grzechów mnóztwa:  
 Pełne pięć zmysłów były cudzołóztwa.
- Kradłem bliźniego i kędy się zdało,  
 Jako z własnego tak się z jego brało.  
 Kłamstwo i zdrada, świadectwo fałszywe,  
 To są ust moich przymioty właściwe.
- Jeślim u kogo co nad się zobaczył,  
 Z wielkieję zazdrości tyłkom nie rozpaczył:  
 Obfitsze było żniwo u sąsiada,  
 Bujniejsze pole, rodzajniejsze stada.
- Anim miłował z serca, z sił i z dusze  
 Ciebie, mój Boże, prawdę wyznać muszę,  
 Ani bliźniego, zkąd aże do skonu  
 Byłem całego przestępcą Zakonu.
- Otom w Twym ręku, czynź ze mną, co raczysz,  
 A jeżeli też me grzechy przebaczysz,  
 O co pokorną swą prośbę zanoszę,  
 I łzami ze skrucną Twój podnózek roszę:



Będę je póty oplakiwał, Panie,  
 Póki żywot na w mym ciele mieszkanie,  
 A na znak tego, ile z człeka będzie,  
 Strzedz się ich będę i zawsze i wszędzie.

*Pieśń 9.*

O któryś umarł, abym ja żył wiecznie,  
 O który żyjesz, bym umarł skutecznie  
 Grzechom i ciału: ani został w grobie  
 Ale żył Tobie.

O któryś dla mnie wielkiej prace użył,  
 Abym i czartu i światu nie służył;  
 Bo śmierć ich płaca; a kto Tobie służy,  
 Temu wiek płuży.

Wstydem mi płonie twarz i oczy smutne,  
 Serce drżąc z strachu, ofiary Pokutne  
 Przynosi przed Cię, Zbawicielu wierny,  
 Bądź miłosierny.

Prożno zgrzeszyłem Tobie swemu Bogu,  
 Leżałem dotąd w grzechowym nałogu  
 Służyłem czartu i światu marnemu  
 Cielsku swojemu.

Uszy me Twoje mijaly wyroki,  
 Z domu Twojego spieszyłem się wskoki;  
 Godzina jedna widziała się Morze  
 Na Twoim Dworze.

Jeden dzień nie zszedł, bym Twego Przymierza  
 Pogwałcić nie miał, ale bez pacierza  
 I bez modlitwy, co Bogu należy,  
 Tysiąc ich zbieży.

A chciałem się też i modlił w pokorze,  
 Lecz serce z usty w różnej było sworze:  
 Usta do Nieba a serce do ziemi,  
 Z myślami swemi.

Ledwo przestały mówić słów nabożnych  
 To do wszetecznych, kłamliwych i próżnych,  
 A serce wzięły pieniądze i z rolą  
 W wieczną niewolą.

Cosiem nad wszystkich chciał widzieć u siebie  
 A zapomniawszy, że dla pychy—w Niebie  
 Miejsca czart nie miał, pyszniłem się przecie,  
 Chociaż na świecie.

Miękim jedwabiem obleczone ciało  
 Ze to z robaczka, całe zapomniało,  
 A ona stokroć strojnieszka niżli ja  
 Polna lilija.

Prożno, zgrzeszyłem i nie rzekę śmieie,  
 Żeby każdy grzech nie był na iném cieie.  
 Bo kędy zmysłom grzeszyć trudno było,  
 Serce grzeszyło.  
 Serce najskrytszych tajemnic sięgało,  
 I cudzych rzeczy często pożądało.  
 Zazdrość, nienawiść, gniew, żądza, obluda  
 I insze cuda.  
 Prożno! zgrzeszyłem i umarłem Tobie,  
 Okupu Twojej krwi nie ważąc sobie;  
 I darmożes ja miał dla mnie wylewać  
 W bólu omdlewać?  
 Znam swoje grzechy przed Tobą, mój Boże,  
 Niechże mi Duch Twój Święty dopomoże,  
 Aby mi mój płacz i ten żal serdeczny  
 Dał żywot wieczny.  
 Dziś ci umieram, chciwy mojej zguby  
 Czarcie i świecie, nie będziesz miał chluby  
 Ze mnie i grzechy i ciało zdradliwe  
 Nie będziesz żywe.  
 Tobie żyć będę, Panie, któryś z cieni  
 Grobowych wstawszy, nieużytej Ksieni  
 Żądła połamał, a skruszywszy kosy  
 Wszedł na Niebiosy.

*Pieśń 10.*

Ach, jakóż podnieść ociężałe oczy?  
 Kędy moc Twoja wieczne światło toczy,  
 Wszehmocny Stwórco, Panie świata tego,  
 Gdzie mię masz podzieć robaczka swojego.  
 Grzechy mi wzrok ćmia, a nieznośne brzemie  
 Tłoczy mię gwałtem aż do samej ziemie,  
 I wielokroć chcę podnieść oko smutne,  
 Wadzą mi chmury gęste i okrutne.  
 Kędyż ratunku, jeżeli nie w Niebie  
 Szukać w takowej gwałtownej potrzebie.  
 Niechaj Twoja moc, o Boże jedyny,  
 Zetrze z mych oczu przykrzone łupiny.  
 Użycz mi jasnej wody z tego źródła,  
 Które tyrańska włócznia tak rozbodła,  
 Ze ze krwią napół z rany otworzystej  
 Płynął stok żywy onej wody czystej.  
 Ale najwięcej serce moje Panie  
 Ratuj i odbierz w swe pilne staranie.  
 Mocą Świętego zmiękcż je proszę Ducha,  
 Inaczéj mała o zdrowiu otucha.

Wykorzeń ciernia rodzaj jadowity,  
 A naszczep owoc cnoty smakowity;  
 W nagrodzie będziesz miał pokorne dzięki,  
 A zaś rozkosznych drzew ucieszne wdzięki.  
 Przez dobroć Twoją i przez nieskończone  
 Twe Miłosierdzie zgładź grzechy mierzone;  
 Przez śmierć okrutną i nieznośne rany  
 Twojego Syna—racz być ubłagany!

## II. Insze pieśni różnym czasom służące.

### *Pieśń 1.*

Podczas tułactwa w wojenne rozruchy. <sup>1)</sup>

Nie zawsze jasne słoneczne promienie  
 Kryją czarnych chmur nieprzejrzyste cienie,  
 Bo gęste chmury, rozegnawszy słońce,  
 Po modrym niebie lotne pędzą konie:  
 Nie zawsze ziemię letne znoje suszą,  
 Że i niezrzałe zboża bieleć muszą;  
 Gasną w południe słoneczne pochodnie,  
 A ziemia wdzięcznym deszczykiem ochłodnie.  
 Nie zawsze morze srogim szturmem bite  
 Roztrąca nawy o skały zakryte;  
 Ustają wiatry, a po cichój wodzie  
 Płyną pełnemi żaglami więc łodzie.  
 Zima dodaje wesołości wiosnie;  
 Im sroższa wojna, miłszy pokój rośnie;  
 A kto w nieszczęściu nie był jako żywie,  
 Nie wie co rozkosz, co dobro prawdziwie.  
 Kto nie leżał w bólu i w chorobie,  
 Ten zdrowia najmnień nie szacuje sobie.  
 I my troskami obciążone serce  
 W tój tu żalosznej mając poniewierce,  
 Ustąpiwszy tu z domu i z ojczyzny,  
 Łzami leczymy niezgojone blizny.  
 Tym chłodźmy plastrem: jeśli nieba samy,  
 Ziemia i Morze doznają odmiany.  
 Jeśli Bóg cierpiał czasu swego wiele,  
 Czemuż nie mamy i my cierpieć śmieie.  
 Zachować umysł pomnijmy stateczny,  
 Boć nasz frasunek nie jest (da Bóg) wieczny.

<sup>1)</sup> „Za wojny szwedzkiej, która się zaczęła A. 1655, a skończyła się A. 1660“. Uwaga zapisana na marginesie rękopisu odmienną ręką i w czasie późniejszym. *Red.*



Będziec i pokój z tych srogich pogromów,  
 I my powrócim do Ojczystych domów.  
 A Miłość, wzięwszy w kompaniją Zgodę,  
 Rozbije chmury i wróci pogodę.  
 Sliczną pogodę, kędy cnoty Słońce  
 Zagrzeje wszystkie tego świata końce.  
 A potem wdzięcznej użyczywszy rosy,  
 Napelni jędrnym ziarnem plenne kłosa:  
 A ty, o wieczny Gospodarzu, Tobie  
 Gdy żniwo przyjdzie doniosłe na probie.<sup>1)</sup>  
 Tak będzie da Bóg. A kto dziś truchleje,  
 Niechaj nie traci ostatniej nadzieje,  
 I im go więcej srogi żal użęga,  
 Tym prędszych pociech niech nadzieją sięga.

*Pieśń 2.*

(Czasu wojny.)

Boże Pokoju, Twój to jest właściwy  
 Tytuł; Twe dzieło pokój przyjaźliwy,  
 Bo zwada, rozterk, ze złego się rodzi,  
 Choć bez Twój woli na świat nie wychodzi.  
 W pokoju cnoty przestrzeńszy plac mają,  
 W pokoju miasta i wsi zakładają;  
 A wojna skoro Cnotę wywołała  
 I wsi i miasta z ziemią wyrównała<sup>2)</sup>.  
 Sąd sprawiedliwy i Tve dopuszczenie,  
 Ze na swojego Rodu zatracenie  
 Tak wiele kunsztów ludzie zapomniali,  
 I na krew swoją sztuk nawymyślali.  
 Mało są miecze na ich gniew, szkarady,  
 Choć śmiertelnemi napuszczone jady,  
 Mało broń ręczna, którą on przywójca  
 Pierszy wynalazł Kain bratobójca.  
 Mają pioruny, które i z daleka  
 Niespodziewanie zabijają człowieka;  
 Więc dział burzących, także strzelby małej  
 I kul ognistych pełne arsenały.  
 O kiedyby tak w cnocie się ćwiczyła  
 Bystra ciekawość, którą ludzi siła  
 Obraca, różnej szukający drogi  
 Na wymyślenie mąk i śmierci srogięj!  
 Jakby to człowiek—nie Twoim obrazem,  
 Obwarowanym surowym żelazem,

<sup>1)</sup> W tych 2-ch wierszach kryje się jakaś pomyłka. Pl.

<sup>2)</sup> Jak teraz na Ukrainie i w Podolu przez wojnę Turecką. Rkop.

Jakby nie bliźni: lecz przyplącą łupu,  
 Gdy liczbę dadzą z pobitych okupu.  
 Okupu drogiej nieoszacowaněj  
 Krwie Syna Twego, za ludzi wylaněj.  
 O bodajem się mógł wypłacić z swego,  
 Nierzkąc <sup>1)</sup> brać na się brata i bliźniego.  
 Wszystko to ludzie pokrywszy maskarą  
 Zysku i pary, znikającą parą  
 I cnoty, nie wiem jakim obyczajem,  
 Tak się uwzięli na krew swą wzajem.  
 Że skuwszy kosy na nośne Rusznice,  
 Kroje na szable i twarde przyłbice,  
 Wzgardzili wczasem: czego by dla Cnoty  
 Nie uczynili, to cierpią z ochoty.  
 Témże dziś ginie i nasza Ojczyzna  
 Głodna w pobożność, ale w grzechy żyzna.  
 Ginie—niestety—ze wszystkich stron prawie  
 Mordują jedni drugich niełaskawie.  
 Pola zarosły, miasta spustoszały,  
 Wsi popalono, zamki pospadały,  
 Ludzie bezludne pustynie i lasy  
 Mieszkają, miłe porzuciwszy wczasy.  
 Drudzy pobici, a drudzy w więzieniu  
 Śmierci czekają w pętach, w utrapieniu.  
 Wiele tułactwo żalodne pożarło,  
 Wiele od mrozów niewczasu pomarło.  
 Dzieci od piersi matki odbiegają,  
 Pełno żaloby wszystkie strony mają,  
 Rzewliwe treny i echo płaczliwe  
 Wydają nasze kraje nieszczęśliwe.  
 Wspomnizli na dom, serce z żalu mdleje,  
 Widząc, co się w nim ach nie... <sup>2)</sup> dzieje.  
 Nie masz otuchy, by w ojczystym progu,  
 Kiedy przyszło być i żyć z swego brogu.  
 Słodki pokoju, dopiero smakujesz,  
 Gdy nas odbiegasz, gdy nas zostawujesz,  
 Dopieroć ludzie dobro poznawają,  
 Kiedy go miewszy stracą i nie mają.  
 Boże pokoju, Ojczy dobrotniwy,  
 Skroć Swe karanie i sąd sprawiedliwy,

<sup>1)</sup> Rzkę, rzkań archaist. forma contracta od słowa „Rzec, rzekł, rzecze, rzekę.“ Słowo niedokonane nierzkąc, nie rzekąc=nie mówiąc; coś dopiero; pomijając „Abym bliźniemu ani myślą, ani skinieniem, nierzkąc uczynkiem nie szkodził“.  
 Linde s. r. Rzec. *Pl.*

<sup>2)</sup> Wyraz dwuzłotkowy nieczytelny. *Pl.*

Ukołysz serca na krew zajuszone,  
 Pochowaj w pochwy miecze wyniesione.  
 Pochowaj w sajdak Swe strzały hartowne,  
 A przywiedź w jedno ich serca niesforne:  
 Niech, porzuciwszy kopije i groty,  
 Polubią pokój, a w nimi wszystkie Cnoty.  
 Niechaj otrzyma plac miłość spokojna,  
 Niech się wyniesie z naszych granic wojna,  
 Bądź sercem Królów i przywiedź do zgody  
 Wściekle, zażarte na się, te narody.

*Pieśń 3.*

Zawierająca w sobie prozbę do Chrystusa Pana i Panny Przenajświętszej o pokój.)

Święte wiecznego Ojca — wieczne plemię,  
 Któryś miecz ostry przyniósł na tę ziemię,  
 Jezu, Panie nasz, śmierci pełno wszędzie,  
 Gdzie Twój miecz będzie.  
 Ginie od miecza, gdy kogo zajmuje,  
 Wzajem ten ginie, co mieczem szermuje,  
 A kto dla Ciebie mieczowi da szyję,  
 Ten wiecznie żyje.  
 Już czas nie mały jako krwią spłynęła  
 Ojczyzna nasza, która już zginęła,  
 Jeśli Ty z tego okrutnego boju,  
 Nie dasz pokoju!  
 Gdy każesz Panie, posiłkujesz ktemu,  
 Wiedz nie przepuszczę żywotowi swemu,  
 Boś też i dla mnie nie przepuścił sobie,  
 I byłeś w grobie.  
 Ale dla grzechów śmierć podjął i męki,  
 Lęka się serce i nie chce przez dzięki.  
 Bo choć tu umrę, nie ujdę karaniu,  
 Po zmartwychwstaniu.  
 Alboż mię obroń, Panie, od Swojego  
 Z łaski Swój, miecza nieprzyjacielskiego,  
 Albo mię też tak racz do grobu włożyć,  
 Bym zaś mógł ożyć.  
 Wzdyć Ty złamanej nie dołamiesz trzciny,  
 Ani kurzącej zagasisz perzyny.  
 Wzdyć, kiedy ucho uciał Malchusowi,  
 Kazał Piotrowi,  
 Aby miecz schował: dziś nie tylko ucha,  
 Lecz codziem zbędzie tysiąc ludzi ducha.  
 Każ, wszak Cię serca słuchają człowiecze,  
 Pochować miecze.



- Daj pokój a w nim niechaj kwitnie ślicznie  
Twa święta chwała i brzmi ustawicznie,  
Czego, daj, bym się mógł doczekać i Ja,  
Ewangelia.
- Któż chęć umarłych przeciw Tobie budzi,  
Wszak masz co dawać, choć najwięcej ludzi.  
A choć poczekasz tam być po staremu,  
Człeku każdemu.
- Daj pokój, Panie, a my próżni troski,  
Nie zapomniemy Twój dobroci Boski;  
Będziem Cię chwalić bez wszelakięj trwogi,  
O Jezu drogi!
- Zbierz rozproszone różnie Twoje sługi,  
A oneć będą wypłacać swe długi  
Poprawą życia: daj to, z łaski Swojęj,  
Dla chwały Twojęj.
- I otwórz słodkie pasze i koszary,  
Z których codzienne będziesz miał ofiary,  
I wieczne dzięki przez nabożne pienie,  
Za wybawienie.
- I Ty o Panno! Matko Boga Syna,  
Módl się za nami. Niechaj Twa przyczyna  
Oddali od nas gniew Jego skwapliwy  
Acz sprawiedliwy.
- Uproś nam pokój, Matko Wszechlitości,  
A my Tobie dług powinnej wdzięczności  
Sercem nabożnym wypłacać będziemy  
Póki żyjemy.
- Nic on tak nie ma drogiego u Siebie,  
Czegoby nie miał darować dla Ciebie.  
Przetoż strapioną weź pod Swą obronę  
Polską Koronę.

*Pieśń 4.*

(Zawierająca w sobie przestrożę, aby nie dufać fortunie i jej faworom, ale cnotę nad wszystko jako nieśmiertelne dobro ważyć i przekładać).

- Nie dufaj żaden nigdy swemu zdrowiu,  
Ani urodzie, szczęściu pogotowiu,  
I na bogactwa nie bacz swoje śmieie,  
Acz ich masz wiele.
- Wszystko to Parka, ludziom nieżyczliwa,  
Z garła wydziera; a choć nie pożywa  
Sama nic z tego, jednak wypładruje  
Gdzie co poczuje.

- Nie dba na Stare, Młode i Mocarze,  
 Wszystkich jednako krzywą stałą karze.  
 Co gorsza, kogo ma zająć po głowie  
 Jak żyw nie powie.
- Gdzie teraz Samson i Herkulesowie,  
 Gdzie Atlas, co więc obłoki na głowie  
 Z gwiazdami nosił, ramion nie ruszając,  
 Nieba wspierając.
- Gdzie Poliphemus i Waligórowie  
 Cyklopi, Ziemi(e) rozpustni synowie,  
 Którzy góry z gór na góry nosili  
 Z Bogi walczyli.
- Gdzie on zwycięzca wielki, niezmierzony,  
 Który żelazne swemi Macedony  
 Kolca w nos włożył całemu światowi,  
 Jak niedźwiedziowi.
- Weszli pod ziemię, a moc ich serdeczną,  
 Zła śmierć mogiłą przywalila wieczną.  
 Znaku ich nie masz, wszyscy zaginęli  
 Jak śnieg zniknęli.
- Gdzie się podziały skarby Krezusowe,  
 Kędy puścizny drogie Attalowe,  
 Godne dziedzictwa Pana świata wszego,  
 Rzymu wielkiego.
- Gdzie sławna Troja, gdzie mądre Atheny,  
 Ozdobny Korynt i mocne Myceny,  
 Czas wszystkokrotny jako był zbudował  
 Znowu zepsował.
- Wszelka rzecz skłonna do skazitelności  
 A nie masz, coby prędzej odmienności  
 Podlegać miało, jak człowiek ubogi,  
 Wyrok nań srogi.
- Dopiero wesół, tańczy i skacze,  
 Służą mu szlachta, służą i oracze,  
 Wieczór nie dojdzie, aż on po chorobie  
 Już leży w grobie.
- Niech mówi kto chce, że mam dosyć złota,  
 Szafirowy dwór, z dyamentu wrota,  
 Parkany z pereł, kiedy co zaboli  
 Nie nie powoli.
- Sama odmiany nie lęka się Cnota,  
 Sama otwiera do Olimpu wrota;  
 Kto z nią po morzu tego świata pływie  
 Nigdy nie zginie.

*Pieśń 5.*

(Ad imitationem Hymnu, Ś. Ś. Ambrożego i Augustyna).

Tobie Stwórcu wielkiego, Wielki Boże, świata,  
 Który z Siebie sam żyjesz, a Twe wieczne lata  
 Trwać będą bez odmiany; Tobie, któryś słowo  
 Rzekł, a zaraz z niczego świat stworzyłeś nowo.  
 Tobie, któryś Swą w Niebie stolicę założył,  
 A nie obesłał ziemię podnóżkiem podłożył.  
 Tobie, któremu morze tak posłuszne stoi,  
 Ze granic zamierzonych przestąpić się boi.  
 Tobie, coś Słońce, Miesiąc stworzył i z gwiazdami  
 Śliczne sfery biegłemiś natknął planetami,  
 Tobie, coś ten nakręcił tak zegar, że z ziemie  
 Obfitość pożywienia ma wszelkie stworzenie.  
 Tobie, który deszcz spuszczasz i co nocne rosy  
 Trawy niemi i plenne odżywiając kłosa,  
 Tobie, coś wziąwszy człeka z błota i też z gliny,  
 Panem go uczyniłeś nad swoimi czyny,  
 Tobie, coś mu w moc ziemię i wszystko, co rodzi,  
 Dał i rozum rozeznąć co dobre, co szkodzi,  
 Tobie, coś mu i rzeki rybą napelnione  
 Dał, oraz i powietrzne ptactwo nieścignione,  
 Tobie, o Sprawiedliwy Sędzio, miłosierny,  
 Mądry, długo cierpliwy, możny, nieśmiertelny,  
 Tobie w Twym Majestacie chwałą odzianemu  
 Stworzycielowi, chóry anielskie swojemu  
 I dzielnych Archaniołów wielmożni wodzowie  
 Przed Tobą i skrzydlaci w tąż Cherubinowie,  
 Wszystkie rzesza niebieska i święci duchowie,  
 Lśniący przed Tobą, Bogiem swym Serafinowie,  
 Kryjąc twarzą skrzydłami przed blaskiem Twój chwały  
 Spiewają trzykroć: Święty Pan Bóg doskonały.  
 Tobie kwoli mistrzowie niebieskiej muzyki  
 Cytry i lutnie stroją: a zgodnemi szyki  
 Ze dwudziestączterema starszych pieśń spiewają  
 Nową; błogosławięństwo, cześć, chwałę oddają.  
 Siedzącemu na tronie potém Barankowi,  
 Nigdy niezmazanemu Panu Jezusowi.  
 Drży Niebo, ziemia, morze na Twe rozkazanie,  
 Przepaści wylęknione, nieśmiertelny Panie,  
 Ciebie o sędzio wieków, na którego oko  
 Śmiertelne nie patrzyło, bo mieszkasz wysoko.  
 Niech cesarze, królowie, książęta za Pana  
 Wyznają i przed Tobą skłonią swe kolana.



Niechaj śmiertelne berła i korony swoje,  
Nieśmiertelny, pod nogi, Panie, dadzą Twoje.  
Ciebie czci chwałą wieczną, Tobie czołem bije  
Wszystek świat, z kąd wychodzi, gdzie się Słońce kryje.  
Ciebie i ja, Boże mój, choć maluczki—Ciebie  
Chwałę z serca całego, a samego siebie  
Usta swoje, język swój Tobie ofiaruję,  
Bo niezwykłą w sobie chęć do Twój chwały czuję.  
Ciebie wśród Twego ludu, Boże wiecznej mocy,  
Będę chwalił do mroku ostatecznej nocy,  
Ciebie dobrego Boga i źródła Litości  
Chyba w grobie zapomną położone kości.  
Ciebie, mój opiekunie i stróżu żywota,  
Lekarzu ran serdecznych i zbawco kłopotu,  
Któryś mię strzegł, gdym jeszcze słonecznych promieni  
Nie zachwycił i dotąd Twoja się nie mieni  
Litość ku mnie, Boże mój, boś mię na to sprawił,  
Abym cały mój żywot na twój chwale trawił.  
Przetoż póki duch we mnie mieszkać nie przestanie,  
Twoja chwała w mych uściech nigdy nie ustanie.  
Tobie cześć, Tobie chwała niech będzie oddana,  
Toć przystoi na Stwórcę wszechrzeczy i Pana.

# HISTORYJKI I PLOTKI HISTORYCZNE.

(*Mixtum compositum*).

PRZEZ

Alexandra Kraushara.

Dla historyka — prawda, choćy najbrzydsza, lepsza, aniżeli najśliczniejszy ideał...

*J. Bartoszewicz.*

Krytyczny kierunek dziejopisarstwa nowoczesnego wiele się przyczynił do wyjaśnienia spornych faktów i błędnych poglądów na dzieje ludzkości. Z tem wszystkiem, błakają się jeszcze po kartach dziejów fantazyjne legendy i oczywiste fałsze, którym łatwowierna terażniejszość dobrodusznie ufa, i honorowe miejsce w skarbnicy swej historycznej wiedzy wyznacza. Mając na względzie okoliczność, że bardzo wiele faktów donioślejszego znaczenia, wydarzonych w naszych już czasach i przed naszymi niejako oczyma, rzadko kiedy dochowywa się i przekazuje potomności w istotnej, nieskażonej przesadą postaci, że skłonność do przeistaczania prawdy jest wrodzoną tłumom biorącym udział czynny w ważnych przesileniach dziejowych, że wreszcie fanatyzm uwielbienia lub nienawiści, otaczający zazwyczaj wybitniejsze osobistości historyczne, narzuca ludziom błędne, a częstokroć rozmyślnie wynaturzone pojęcie o charakterze, dążnościach, czynach, zamiarach i celach wielkich mężów przodujących ludzkości potęgą umysłu i woli — dziwić się nie można, że spadek po przeszłości obfituje w tak poważną ilość fałszów historycznych, domagających się rychłego, a skutecznego sprostowania. Poważna nauka, od czasów Niebuhra wiele już zdziałała w kierunku osuszenia legendowych bagien, zarażających atmosferę historyczną miazmatami fałszu i przesady. Dziś już w książkach elementarnych rzadko spotkać się można z faktami, na wiarogodność których, przed niedawnym jeszcze czasem, przysięgano. A przecież, ileż to jeszcze do zrobienia pozostaje, aby z tego, co po dziś dzień uchodzi za prawdę, zedrzyć maskę obludy i w istotnej, niezabarwionej fantazyj

przedstawić postaci! Ileż to faktów, wcale niesięgających odległej starożytności, odmiennie nam się przedstawia przy stosowaniu bezwzględnej krytycznej analizy! Ileż to w opowiadaniach o własnej naszej przeszłości tuła się nieusprawiedliwionych niczem twierdzeń, przechwałek, potwarzy, zarzutów i przekleństw, przeciw ludziom i faktom niedokładnie wyjaśnionym, niezrozumiałym, mającym jedyne swe źródło w sympatii lub antypatii do tego, co przeraża zwykłą, przeciętną miarę powszedniości. Nie będzie też rzuceniem na wiatr twierdzenie, iż historia Polski dopiero od niedawnego czasu zaczęła nabierać oblicza nauki, opartej na faktach sprawdzonych, i że przy dalszem umiejętnem stosowaniu metody analityczno-krytycznej, nauka ta rozszerzy granicę legendowej epoki, daleko poza dziedzinę faktów, dotychczas błędnie za pewne i wiarogodne uważanych. To jednak, co u nas jeszcze do zrobienia pozostaje, oddawna już zrobili anglicy, francuzi i niemcy ze swoją historią, poddawszy ją bezwzględnej analizie, celem oddzielenia prawdy istotnej od naleciałości fantazyi. Kierunek taki, uprawiany systematycznie, dużo już dobrego wyświadczył poważnej nauce, choć trudno zaprzeczyć, że między licznym zastępem prac historycznych, opartych na nowej, krytycznej metodzie badania, znajduje się znaczna ilość robót, mających pretensją do oryginalności poglądów, w gruncie rzeczy zaś ubiegających się o palmę pierwszeństwa w kanonizowaniu osobistości, dotąd w dziejach za szkodliwe poczytywanych, lub, w potencjaniu tych, które potomność aureolą blasku i świetności otoczyła. Niemniej jednak wyłom, zrobiony w dotychczasowej, kunsztownej strukturze historycznych opowieści, jest tak przestronnym, że przezeń istotna prawda na dzienne światło z łatwością przedostać się już może. Idąc za śladem i wzorem Fournier'a, który w dziele: *l'Esprit dans l'histoire* ważne porobił szczerby w dotychczasowych poglądach na głośniejsze historyczne fakta, pisarz niemiecki, W. L. Herstlet, wydał ciekawą i zajmującą pracę, pod tyt.: *Der Treppenwitz der Weltgeschichte*, w której, w sposób nieraz sarkastyczny, lecz częstokroć poważny, usiłuje zdemaskować fałsze, błąkające się po dziś dzień w sferze historycznych badań. Powtórne wydanie tej pracy świadczy, że trafiła ona do przekonania ogółu, i że ten ogół, karmiony przez czas długi baśniami i legendami, pragnie nareszcie dobić się do jądra prawdy, ukrytej w pozłocanej lupinie fantastycznych opowieści wszystkich czasów i narodów.

Poczynając od greków, a kończąc na współczesnej historii, wyluszcza autor w krótkości wszystkie, bardziej znane i za wiarogodne poczytywane, szczegóły i kilkoma zwrotami, lub dowodami źródłowemi doprowadza owe twierdzenia do jednego mianownika — nieprawdy. Zarzucono mu wprawdzie, że w zapędzie i w pogoni za prawdą, nie zna należytej miary, że metoda, jaką stosuje do historii, równa się niekiedy brakowi wszelkiego respektu dla tradycyi, lecz tam, gdzie idzie o prawdę — tradycya głosu mieć nie może,



gdyż właśnie wszystkie błędy rozmyślne i mimowolne, dotąd pielęgnowane w dziejach, czerpią początek w zbytciem uwzględnianiu podań z pokolenia pokoleniu przekazywanych, ze szkodą dla zdrowego rozumu, z ujmą dla sprawiedliwości dziejowej, która okoliczności łagodzących znać nie powinna, lecz winna ferować wyroki na podstawie dowodów autentycznych i owego głosu sumienia, odzywającego się w człowieku na widok krzywd, popełnianych na ludzkości w imię urojonych, lub też skarłowaconych ideałów ..

## I.

Już Grecy mieli słabe poczucie potrzeby wyjaśniania niektórych wydarzeń historycznych, alegorycznym ich upostaciowaniem. Księga mędrca Palephatusa *peri apiston* obejmuje wykład rozmaitych alegoryczno-historycznych informacyj. Według owego pisarza, Medea dlatego posiadała władzę odmładzania ludzi sędziwych, że się znała na sztuce farbowania włosów. Niobe np. dlatego, skutkiem utraty dzieci, skamieniała, że kazała nad ich grobem postawić włazny swój posąg z kamienia. Opuszczając pole legendowych opowieści, do jakich np. należy baśń o wyprawie Argonautów i o wojnie trojańskiej, prawdopodobnie będących odgłosem jakiejś zbójcekiej wyprawy, przechodzi Herstlet do bardziej konkretnych faktów i zaprzecza np., aby Homer miał być autorem *Iliady* i *Odyssei*. Popierają go w tem przypuszczeniu: F. A. Wolff w dziele *Prolegomena ad Homerum* (1797) i d'Aubignac w *Conjectures historiques*.

Za pośrednictwem Greków: szczególnie Herodota, przeszły do nas wiadomości o Egipcyanach i Persach. Zdaje się wszelako, że wiarygodność tych opowieści równa się romansom historycznym Dumasa, Walterskotta i Luizy Mühlbach. Herodot np. opowiada, że królowa Massagetów, Tomyris, poleciała zanurzyć głowę zamordowanego króla perskiego, Cyrusa, we krwi, aby, spełniając dawno wyrzeczoną groźbę, tą krwią go nasycić. Z tem wszystkiem, dodaje Herodot, „z licznych opowieści o zgonie Cyrusa ta ostasnia wydaje mi się najprawdopodobniejszą“. Tymczasem Ksenofont w *Cyropedyi*, będącej właściwie romansem historycznym, jako miejsce zgonu Cyrusa, wskazuje prozaiczne — łóżko. Ktezyasz, w dziele swoim *Persica*, opowiada natomiast, że Cyrus nderzony został w pewnej bitwie przez słonia i po trzech dniach cierpień skonał.

Znanem jest powszechnie opowiadanie o odwiedzinach Solona u króla Krezusa (Herodot I, 29—33). Wszyscy uczniowie powtarzają z pamięci piękny frazes: *Nemo ante mortem beatus*, obejmujący życiową regułę zmienności doczesnego losu. Otóż cała owa opowieść jest wierutną bajką, a źródło jej spoczywa w błędnem określeniu czasu bytności Solona u Krezusa, nadto, według twierdzenia Hellwalda (*Culturgeschichte*, I, 20), Cyrus nie mógł poddać Solona

karze stosu, gdyż religia jego zabraniała zanieczyszczenia elementu ognia. Twierdzeniu temu przeczy ze swój strony badanie nowsze, gdyż dopiero Daryusz, syn Hystaspa, uznał się za czciciela ognia. (Floigl.: *Cyrus und Herodot nach den neugefundenen Keilinschriften*, 1881). Wreszcie wersye Herodota o okrucieństwach Kambyzesa i prześladowaniu wierzeń egipskich, opierają się prawdopodobnie na potwarzach kapłanów egipskich. Nowo odcyfrowane napisy na grobowcach w Memfis nie o tego rodzaju wieściach nie wzmiankują. (Ranke: *Weltgeschichte* I, 130).

Nazwisko Tyrteusza stało się typowem dla poetów bohaterskich pieśni. Otóż wszystkie wieści o typowych osobistościach są podejrzanemi. To pewna, że Tyrteusz podniecał ducha Spartan, podczas drugiej wojny messeńskiej, swojemi *Elegiami*. Ponieważ elegie te składają się z wierszy nierównych heksametru i pentametru, dlatego nazwano ich autora kulawym mistrzem gramatyki. Ateńczycy pragnęli w rzeczy samój, poselstwem Tyrteusza, wyświadczyć Spartanom przysługę, a wersya o obawie wrzekomo odczuwanej przez nich, na widok wzmagającej się potęgi Spartan, jest zmyśleniem późniejszych czasów. Istnieją inne jeszcze piękne opowiadania o wojnach messeńskich, prawdopodobnie wątpliwój historycznej ścisłości, gdyż źródłem ich był Pauzaniasz, który czerpał wiadomości z historyka Myrona z Priene i z kreteńskiego poety, Rhianosza, współczesnego Aleksandrowi Wielkiemu.

Podanie o bitwie przy Termopylach znacznie jest upiększone późniejszymi dodatkami. Diodor (XI, 11) opowiada całe zajście w sposób prozaiczny nieco. Według niego, Grecy wpadli do obozu perskiego, aby zamordować króla i przy tój sposobności zostali zarabani...

Głoszą o Demostenesie (Gallius: *Noctes Atticae* XVII, 21), że, uciekając z pola bitwy pod Cheroneą, miał wyrzec: „Człowiek uciekający może walczyć znowu“. Lecz anekdota owa zapewne jest zmyśloną, gdyż podczas ucieczki niema się żadnej inklinacyi do wypowiedzienia pięknych myśli, nadto, Demostenes po owej przegranej bitwie, nie został usuniętym od obowiązków państwowych, eoby z pewnością nastąpiło było, gdyby się był okazał tchórzem. Plutarch wprawdzie wzmiankuje o ucieczce, lecz o sentencyi Demostenesa nie wspomina. Ta cytata bardzo jest zresztą rozpowszechnioną. U Wirgilego np. znajdujemy wiersz: *quondam etiam victis redit in praecordia virtus*. Włosi mają przysłowie: *E meglio che si dice qui fuggi che qui mori*. Francuz Scarron pisze: *Qui fuit, peut revenir aussi. Qui meurt, il n'en est pas ainsi*. Angliecy wreszcie twierdzą: *The man who fights and runs away, may live to fight a nother day*.

O Aleksandrze Wielkim kursuje mnóstwo niewiarogodnych baśni, stosunkowo jednak nie tyle ileby się spodziewać należało. Wersya jakoby narodziny jego nastąpiły tego samego dnia, gdy wódz ojca jego, Parmenion, odniósł zwycięstwo nad Illiryjczykami,

a Herostrat spalił świątynią w Efezie, da się wytłómaczyć skłonnością Greków do gromadzenia ważniejszych wypadków około jednego czasokresu. Również i słynny list Filipa do Arystotelesa zwiastujący narodziny Aleksandra jest zmyślonym. (Fourrier: *l'esprit dans l'hist.*, str. 6). Utrzymują jakoby Aleksander, po zdobyciu Tyru, kazał powiesić 2000 mieszkańców tego miasta. Arrian wszakże, w *Historji pochodów Aleksandra W.*, nie o tem nie wie; również Plutarch w *Życiu Aleksandra*, nie o tego rodzaju nieludzkim czynie nie wzmiankuje. Nieprawdą jest nadto, aby Arystoteles, mszcząc się na Aleksandrze za zabicie krewnego, zadał mu trucizny. Trucizna ta miała pochodzić ze źródła Styx w Arkadyi. Tymczasem źródło to istnieje po dziś dzień, lecz trujących własności nie posiada. (Humboldt: *Kosmos*, IV, 503).

Kolos Rodyjski, jeden z siedmiu cudów świata, wystawionym został około r. 306 przed N. Chr. przez Rodyjezyków, na pamiątkę oblężenia, dokonanego przez Demetriusa Poliarketesą. Około r. 223 przed N. Chr., skutkiem trzęsienia ziemi, uległ zburzeniu. Nieprawdą wszakże jest, aby ów Kolos miał górować nad przystanią. W dziele Philo-Bizancjusza z r. 150 przed N. Chr., *O siedmiu cudach świata* (wyd. Orelli, Lipsk, 1816), niema o czemś podobnym wzmianki. Według Delepierr'a: *Historical difficulties*, str. 14, dopiero Vigenere w swoim: *Tableaux de Philostrate* pierwszy umieścił ów kolos, ponad przystanią, z rozwartymi nogami. O poetach greckich rozповідаją również niewiarogodne baśnie. Tak np. nieprawdą jest, jakoby Ezop był garbatym. Welker w artykule: *Aesop eine Fabel* (*Klei. Schriften*, II, 243), przeczy nawet istnieniu Ezopa. Nie prawdą jest również, aby Sappho, z miłości ku Phaonowi, rzucić się miała z Leukadyjskiej skały. Wszystkie te baśnie potworzyli komicy ateńscy. Niemniej wątpliwój wiarogodności są anekdotki, powtarzane o Pytagoresie, Empedoklesie, Hipokracie i Sokratesie. Bardzo wiele wersyj, krążących o Arystotelesie i jego uczniach nie daje się uzasadnić faktami i źródłami. Uczniów Arystotelesa nazywano Perypatetykami, nie dlatego, że się przechadzali podczas wykładów mistrza, lecz, że nauczanie odbywało się pod cienistymi alejami (*peripatoi*) gimnazyum w Lykeon. Wszelakie cytacye: *Poznaj siebie samego. Nic nadto. Omnia mea mecum porto*, fałszywie się przypisują niektórym greckim mędrocom, a to, co głoszą o tak zwanych siedmiu mędrach i o Sybarytach, jest tylko wynikiem przesady i chęci upiększania faktów, niemogących być przedmiotem ścisłej krytycznej analizy.

## II.

Poeci nazywają Rzym miastem „siedmiowzgórkowem” (*Roma septuaginta collis*). Lecz owa siódemka, jak zazwyczaj, jest tu dojsć podejrzana. Rzym „palatyński” składał się nie ze siedmiu wzgórz, lecz



ze siedmiu „kregów“; pojedyncze zaś części nie wszędzie były wzgórzystymi. Późniejszy Rzym „Serwiuszowy,“ okolony murem, również nie obejmował siedmiu pagórków. Wiarogodną w tej mierze powagą jest Mommsen. Początki Rzymu, owe bajeczki o Romulusie, o trzech Horacyuszach, o Lukrecyi, o Horacyuszu Koklesie, są słabym odgłosem, jeśli nie plagiatem helleńskich legend. Toż samo da się powiedzieć o bajce Menenniusza Agryppy, będącej naśladownictwem indyjskiego podania; toż samo o morderstwie Wirginiusza, (Mommsen), toż o wytepieniu Fabiuszów, o bezinteresowności Cyneynnata i o wielu innych bajeczkach, ukraszonych dodatkami i przekształceniami, któremi młode pokolenie naszych czasów niepotrzebnie sobie pamięć obarcza. I Archimedes, obrońcę Syrakuz, przeciwko konsulowi Marcellusowi, opatrzyła fantazyja historyków rozmaitemi zaletami, których ów wielki mąż zupełnie nie posiadał. I tak np. Archimedes miał spalić statki rzymskie, za pomocą soczewek. Lecz bajkę tę zapożyczono z Galena i Lukina, pisarzy późniejszych. Archimedes pisał istotnie rozprawę o soczewkach i istotnie podpalił statki rzymskie pociskami ogniowemi. Dwa te fakta, jak to już słusznie zauważył Montucla w *Histoire des mathematiques*, pomieszali ze sobą pisarze późniejsi. Czy zdanie Archimedes: dajcie mi to, na czem stoję, a poruszę kulę ziemską... jest prawdziwem? Wątpić należy, aby znakomity matematyk takim się wyręczył frazesem. Według Plutarcha (*Marcellus*. Rozdz. XIV), frazes ten brzmiał: „Gdybym miał jeszcze jedną kulę ziemską, pragnąłbym tę, na której stoję, z odległości tamtęj poruszyć“ co również jest niejasnem, gdyż w każdym razie brakłoby mu punktu oparcia dla dźwigni. Inna znowu bajka, jakoby Archimedes miał do napastnika rzymskiego który go zdybał, podczas badań geometrycznych, odezwać się: *Noli turbare circulos meos*, również na wiarę nie zasługuje, gdyż jak zauważył Büchmann, frazes ten po raz pierwszy znalazł miejsce w łacińskim, elementarzu Gedikégo i w *lectiones latinae*, a według *Reallexiconu* Lübkego, są trzy źródła poważne, gdzie owego frazesu nie masz, np. w *Ciceronie*; 5, 19, 50; w *Liwiusz*, 25, 31; w *Val. Max. Exempla mirabiliz*, 8, 7. Waleryusz Maximus każe Archimedesowi wołać: *Noli obsecro istum* (t. j. kurz, na którym figury nakreślone były) *disturbare*. A więc w lat 30 dopiero po N. Chr. powstaje po raz pierwszy owa bajka. Wyrzeczenia Catona: *Ceterum censeo Carthaginem esse delendam*, nie napotykamy w żadnym pisarzu łacińskim. Jedynie w Plutarchu mieści się ono w języku greckim. Kto je po raz pierwszy na język łaciński przełożył? – niewiadomo. Na Mariusza, śpiącego pod drzewem, spaść raz miało orle gniazdo z siedmioma jajkami, z czego następnie wywróżono siedmiokrotny jego konsulat. Lecz orlica nigdy tyłu jaj nie znosi... Już Plutarch (*Marius*, 36) powątpiewa o wiarogodności tego podania. O wyrzeczeniach Juliusza Cezara do sternika, w czasie burzy: *Quid times?*

*Caesarem vehis!* i *Et tu Brute?!* — również wieleby się powiedzieć dało. Przedewszystkiem o pierwszym nie wzmiankuje wcale Cezar, w swoich komentarzach, nadto, u pisarzy starożytnych jest tylko wzmianka o pierwszej części frazesu. Co do wyrażenia drugiego, istnieje różnica zdań. Suetoniusz i Plutarch podają, że Cezar padł pod nożem Brutusa, nie wymówiwszy ani słowa. Lecz w bajce, jakoby Cezar wskoczył w pełnej zbroi, przed Aleksandryą, ze statku w morze, i mimo gradu pocisków, zanurzając się kilkakrotnie,trzymał ponad głową niezmoczone papiery, tkwi taka przesada, że istotnie dziwić się potrzeba, że i Camoens w podobny sposób opowiada o sobie i o ocaleniu swęj Luizyady... O przyjaciółce Cezara, Kleopatrze, mieszczą się liczne sprostowania w dziele Adolfa Stahra, nieubłaganego skeptyka, w kwestyi historii cesarskiego Rzymu.

Wieleby również sprostowań wprowadzić należało do historycznych opisów okrucieństw Imperatorów i charakterystyki ich postaci. Trudno np. uwierzyć, aby Julian Apostata, ciężko ranny na polu bitwy, miał dość przytomności umysłu, by zawołać: *Galilee vicisti!* — trudno uwierzyć baśniom o Belizaryuszu i o jego nieszczęściach i błagalnych wołaniach: *dote obolum. Belisario quem fortuna evertit, invidia oculis privavit*, gdyż dopiero w 600 lat po śmierci Belizaryusza ukazał się wiersz Jana Teesesa o biednym i ślepym bohaterze, który to wiersz przedostał się do Włoch, a następnie w romansie Marmontela do Francyi, gdzie znalazł ilustracją w słynnym obrazie Davida i w tragedyi, wystawionej za Napoleona I, w której Talma grał główną rolę...

Godzi się tu również wspomnieć cośkolwiek o spaleniu biblioteki w Aleksandryi przez Kalifa Omara. Po spaleniu Aleksandryi, głosi podanie, dowódca Amru, pragnął darować bibliotekę przyjacielowi swemu, Janowi Philoponowi. Omar wszakże miał na zapytanie Amru oświadczyć, iż jeśli treść ksiąg zgodną jest z Koranem, są one zbyt cenne, jeśli zaś przeciwnie, to jako szkodliwe winny uległy zniszczeniu. Poczem przez sześć miesięcy ogrzewać miano owemi księgami Aleksandryjskie kąpiele. Tymczasem księgozbiór, o którym mowa, założono na lat 298 przed Nar. Chr. Złożony z 400 tysięcy rękopisów, spalił się przypadkowo w r. 47 przed N. Chr., przy zdobyciu miasta przez Cezara. Inny znowu księgozbiór, króla Attala z Pergamonu, darowany następnie Kleopatrze przez Antoniusza, zniszczonym został w r. 390 po N. Chr. przez biskupa aleksandryjskiego, Teofila. Pytamy teraz, jakąż wartość mieć może legenda o Omarze, skoro treść jej polega na przytoczeniu dwóch tylko pisarzy, którzy żyli na lat 580 po owym fackie? (Humboldt: Kosmos II, 251). Według Delepierra (*Hist. diffic.* 25), bajka ta pochodzić ma od Grzegorza Hebraeusa, znanego pod nazwą Abulpharadyi, który żył około r. 1264 i pierwszy wersją ową utworzył w języku syryjskim, przetłumaczywszy ją następnie na arabski. Ze Aleksandrya posiadała wówczas 4000 kąpiele, poświadcza to d'Herbelot

w swojej *Bibliothèque Orientale*. Lecz ileż to książek trzeba było zniszczyć, aby opalać cztery tysiące kąpeli przez ciąg sześciu miesięcy? Czyż zresztą pergamin nadaje się na materiał opalowy? Śmiało zatem można całą opowieść o spaleniu biblioteki aleksandryjskiej zaliczyć do rzędu fantastycznych utworów.

### III.

Początkowa historia Germanów, dotycząca pierwszych ich starć z Rzymem, nie jest wolną od kłamstw i przesady. Wiadomo, jakoby Arminiusz był w Rzymie i służył w rzymskich szeregach, wersja o pochodzie Germanika i o jego zwycięstwach, odzyskanie straconych w teutoburskiej bitwie orłów—wszystko to są wersje pozbawione cech wiarygodności. Smutnej pamięci monachijski malarz Piloty, przedstawił na znanym obrazie, scenę tryumfalnego pochodu Germanika. Treść obrazu zaczerpnięta została z opowieści Strabona (Ks. VII, 1, 4) i Tacyta (*Anuales II, 41*). Już w monografii Linemayera *der Triumphzug des Germanicus* (1875), podniesiono wątpliwą tychże opowiadań wiarygodność. Tacyt ubocznie wspomina, że tryumfalny pochód nie był w zupełności prawnym, ponieważ Germanik wyprawy swej nie ukończył. Jakichże to niewolników prowadzono podczas owego pochodu? Tacyt nie wymienia. Strabon bliższy owjej epoki, lecz piszący swoją geografiją w Azji, wylicza owych jeńców w osobach: Segimuntusa, syna Segesta, Thusneldy, żony Armeniusza, i trzyletniego jej syna, Thumelika i wiele innych jeszcze osób. Oprócz Strabona, nikt inny o romantycznych tych szczegółach nie wzmiankuje. Zresztą, Strabo nie był świadkiem naocznym faktu; z pisarzy rzymskich zaczerpnąć go nie mógł, nie rozumiał bowiem języka łacińskiego, by z Cezara mógł korzystać; greckie roczniki idące za Tacytem, milczą o Arminiuszu; zostaje zatem tylko ustne podanie, które Strabo zużytkował, (II, 5, 11). Według praw o tryumfalnych pochodach rzymskich, tracono jeńców, dowódców i książąt, zaraz po obchodzie. Tymczasem Strabo mówi, że wszyscy jeńcy, o jakich mowa, ulegli „karze tryumfu“ (*etisan dikas*). To jednak, według Tacyta, (I, 57, 58) stać się nie mogło, gdyż opowiada, że Segest, syn jego Segimund i córka przybyli do obozu, gdzie uprzejmie byli przez Germanika przyjęci. O Thusneldzie nadto opowiada Tacyt, że po powrocie legionów za Ren, urodziła ona syna, który następnie wychowywał się w Rawennie. Fakt ten, posłużył jako treść do znanego *Szermierza z Rawenny* Halma (Przekł polski St. Budzińskiego). Adolf Stahr wzmiankuje o nim w swoim *Torso*, jako o fackie historycznym. Zmienił wszakże następnie tę opinię w artykule pomieszczonym w *Deutsche Rundschau* (Lipiec 1876 rok).

Warto również słów kilka poświęcić błędnym pojęciom o Wandalach. Wyrażenie to, sięga czasów rewolucyi francuzkiej. An-



glicy na określenie tego pojęcia mają wyraz *Gothism*. Ze wszystkiego, cokolwiek o Wandalach wiemy, trudno przypuścić, aby zniszczenie rzymskich dzieł sztuki, mogło być ich sprawką.

Nawet o *Hunnach* zbyt przesadne wytworzono sobie mniemanie. Atylla, według zapewnienia Freitaga, (*Aus dem Mittelalter*, 174), był łagodnym względem swoich wiernych, uprzejmym, łaskawym i wspaniałomyślnym, słowem, człowiekiem honoru, według pojęć swej epoki.

O *Karolu Wielkim* kursuje również wiele zmyślonych anekdot. Najbardziej znaną jest opowieść o córce jego, Emmie, która, z miłości do nauczyciela swego, Eginharda, poniosła go przez śnieg na barkach swoich, aby tym sposobem zatrzeć ślady stóp mężczyzny. Lecz sam Eginhard temu przeczy, podając w biografii Karola Wielkiego, że cesarz córki swej nikomu za męża nie wydał. *Roland*, bohater tylu pieśni, uczczony tyloma pomnikami, raz tylko w historii jest wspomnianym i to w trzech tylko wyrazach. Mianowicie, Eginhard wylicza go między szlachtą poległą pod Ronçeval w słowach: *Hroudlandus Britannici limitis praefectus*. (Bouckle: *Hist. of Civil*. I. 319). W roku 1000 po Chr., miał cesarz Otto III otworzyć grób Karola W. Scena ta odmalowaną została przez Kaulbacha w Muzeum Germańskiem w Norymberdze, a cesarz figuruje w niej w postaci siedzącej. Lecz Karol W. nie był w takiej postawie pochowanym. Złożono zwłoki jego w sarkofagu. Tak je znaleźli: Fryderyk Rudobrody i Fryderyk „Wielkim“ przezwany. W pałacu dożów w Wenecyi, okazują po dziś dzień podróżnym dwa obrazy, przedstawiające klęskę cesarza Fryderyka I na morzu i upokorzenie jego w Wenecyi w r. 1177 przez papieża Aleksandra III, kładącego nogę na jego barki. Oba te fakta są zmyślone. W rzeczy samej, cesarz ucałował nogi papieżowi, lecz następnie papież dał mu pocałunek pokoju, odprowadził do kościoła i dał mu przy ołtarzu błogosławieństwo.

Wieleby przytoczyć się dało przeciw wiarogodności opowiadania o bohaterstwie *Wilhéma Tella*, z tego jednak, co już w tej mierze wyświeciła krytyka historyczna, okazuje się, że podania o Telli, nadające się bardzo do dramatycznych opracowań, nie ze wszystkim są zgodne z prawdą historyczną. Pozbawionem wiarogodności jest i podanie o bohaterstwie *Arnolda Winkelrieda* okazanem w bitwie pod Sempach (1386 r.). Pragnąc niby utworować Szwajcarom drogę do ataku, skierować miał Arnold wszystkie piki do swojej piersi i tym sposobem miał się do zwycięstwa przyczynić. Ottokar Lorenz w rozprawie swej *Leopold III und die Schweizerbünde* (Wiedeń, 1860), zaprzecza udziałowi Winkelrieda w bitwie, czem dał początek licznym opracowaniom krytycznym, wywody jego stwierdzającym.

O początku rodu *Hohenzollernów* i ich przybyciu do północnych Niemiec, krążą również dość sprzeczne wersje. Różpo-

wszeclinione podanie głosi, iż cesarz Zygmunt zastawił w r. 1411 Marchią Brandeburską za sto tysięcy guldenów burgrabiemu Fryderykowi Norymberskiemu. Nie mogąc spłacić długu, pozostawić miał Marchią przy własności Hohenzollernów. Wersya ta jest nieprawdziwą. Cesarz Zygmunt pozostawił burgrafowi Marchią tytułem wdzięczności za wielkie jego usługi; oprócz tego, zapisał mu uroczyscie sumę 100 tysięcy węgierskich złotych, jako wynagrodzenie za poczynić się mające w zarządzie Marchią ulepszenia i nakłady, pod tym jednakże warunkiem, że po spłaceniu téj sumy Marchia miała napowrót przejść na własność pożyczającego. (Riedel: *Zehn Jahre aus der Gesch. der Ahnherrn des preuss. Königshauses*).

O Marcynie Lutrze, krążą baśni, iż do świętobliwego życia nawróconym został skutkiem uderzenia piorunu, który ugodził w przyjaciela jego, Alexisa, podczas przechadzki, jak również, że w Wartburgu uczęstował dyabła rzuconym kalamarzem. Obie te wersje nie mają cienia prawdy. Znany obraz Hansa Makarta, przedstawiający *Wjazd Karola V do Antwerpu* i nagie dziewczęta, otaczające cesarza, opartym został na wzmiance zamieszczonej w dzienniku podróży Albrechta Dürera, który towarzyszył pochodowi. Dürer opisuje zgromadzenie ludu i piękne niewiasty, stojące u bram miasta. Archiwista Varachter w piśmie: *Cornellii Graephaci Gratulatio Caroli V Imper.* (1520) dodał od siebie: *Diese Mädchen waren die schönsten der Stadt Antwerpen, beinahe ganz nackt und nur mit einer „dünnen gaze Kleeding bedeckt“*. Według ówczesnych pojęć, strój taki zastępował białe szaty dzisiejszych dziewic honorowych przy uroczystościach. Makart zatem przesadził nieco istotę faktu. Chwilę wstąpienia Karola V. do Klasztoru Justa (od rzeczki Juste, a nie od świętego, noszącego to miano), opowiada de Thou w *Historia sui temporis*, w następujący sposób: że Karol V wysiadłszy z powozu, przyklęknął i zawołał: „Witam Cię wspólna matko! Nagim wyszedłem z twojego łona, aby posiąść skarby tego świata i otóż wracam teraz do twego łona“. Sekretarz cesarza nic o tym fackie nie wzmiankuje. (H. Stirling: *The cloister life of the emperor Charles V*, Londynu 1853). Robertson, historyk szkocki, zawinił w rozpowszechnieniu kłamliwych wieści o pobycie cesarza w klasztorze, szczególnież o jego rozpamiętywaniach nad zegarkami. Opowiada mianowicie, że z powodu nieregularnie idących licznych zegarów, żałować miał cesarz, iż chciał zmusić swych dawnych poddanych do jednej religii. Jest to wierutne kłamstwo. W pozostałości po cesarzu znaleziono zaledwie pięć zegarów. W historii Niemiec Dullera wszelako przedstawionym jest cesarski pustelnik otoczonym zegarami wahadłowemi... Śmieszny anachronizm, gdyż dopiero około 1650 r. urządzać zaczął Huygens wahadłowe zegary. Natomiast według Llorenta: *Hist. de l'inquis. d'Espagne* T. II. 157, cesarz Karol V do ostatniego technienia żywił przekonanie o konieczności palenia kacerzy, a nawet żałował, że puścił na wolność Lutra zgodnie z danym mu listem żelaznym.

Delepierre (*Hist. diffic.* 128) podaje, jakoby Karol V nigdy nie nosił habitu mnicha, w jakim go przedstawił Tizian, a nawet, że nie mieszkał w samym klasztorze, tylko w sąsiednim budynku, dalej, że orszak jego składał się nie z 12, lecz z 50 osób, Robertson opisuje w znany sposób słynną ceremonię pogrzebu; inni pisarze kładą nawet cesarza do trumny i każą mu śpiewać. Victor Duhamel w swojej *Histoire constitutionnelle de la monarchie espagnolle* idzie dalej, gdyż zostawia cesarza samego w trumnie w kościele. Skutkiem tego miał cesarz zapaść w *delirium* i skonać następnego dnia w swojej celi. Lecz ani major domus cesarza, ani jego sekretarz, ani doktor składający szczegółową relację o pobycie cesarza Karola V w Juste, nie o owę niezwykłą ceremonii nie wzmiankują, choć podają, że 15 Sierpnia zaniesionym został do kościoła i przyjął Sakramenta, chorym będąc na podagrę. Zgon cesarza nastąpił 21 Września. Lekkomysłna owa ceremonia, wzbroniona zresztą na koncylium z XIV w. nie harmonizuje z powagą, jaką się Karol V w życiu odznaczał i z trzeźwością jego umysłu do ostatniej chwili ujawnianą. (Barthelemy: *Erreurs et meus histor.* III. 129).

Początki wojny trzydziestoletniej kładą historycy na dzień, w którym Czesi pod przewodem hrabiego Thurn, namiestników cesarskich: Martinitza i Slavatta i sekretarza Fabiciusza wyrzucili oknem, przyczem jednak wszyscy trzej ujęć mieli bez szwanku (23 Maja 1618 r.) Dotąd wszystko jest historycznym, lecz, aby Fabricyusz miał paść na innych i podniósłszy się przeprosić towarzyszy upadku, to nieprawda. (Menzel: *Neue deutsche Gesch.* III. 302). Generalowi Tilly kładą przy zdobyciu Magdeburga (Maj 1631) bardzo złośliwe wyrzeczenie w usta, spopularyzowane nadto przez Szyllera. Gdy go niektórzy oficerowie wezwali, aby powstrzymał rabunek i zniszczenie, miał Tilly odpowiedzieć: „Przyjedźcie za godzinę, namyśle się tymczasem. Żołnierz musi mieć coś za swoje trudy i niebezpieczeństwa“. Nie leżało to wcale w interesie Tillego, aby zniszczyć miasto; zalał się nawet rzewnymi łzami, gdy spostrzegł zasłane trupami ulice; polecił rozdać chleb biednym i nawymyślał jeńcom za słabą obronę miasta. Historia wojny trzydziestoletniej Szyllera nie może stanowić powagi naukowej, tém bardziej, że ją Szyller napisał do *Kalendarza historycznego dla dam* z r. 1791—1793. Sam Szyller, w liście z d. 10 grudnia 1788. do Karoliny von Wolzogen, w następujący sposób się wyraża: „Historia jest to tylko szpichlerz dla mojej fantazyi, a fakta historyczne muszą się godzić z tém, czém się w moich rękach stają. Pozostaną na zawsze niedostatecznym źródłem dla przyszłego dziejopisa, który tyle będzie nierozważny, aby ze mnie korzystać“. Żeby Albert z Wäldszteinu chciał kiedykolwiek zdradzić cesarza, temu zaprzeczył historyk, Gfrörer, w r. 1850. Rankę jest tegoż samego zdania. Planem Wallensztejua było raczej skłonić cesarza do zgody z elektorami protestanckimi, by następnie z tymi ostatnimi iść na Szweda i Francuza. Tego jednak nie życzy-



ła sobie kamarylla wiedeńska, zwłaszcza, spowiednik, Lamormain, i dla tego Wallensztein zginął... lecz nie z powodu zdrady. Dwór wiedeński, zawładnąwszy wszystkimi dokumentami, nie mógł ani jednym wierszem usprawiedliwić swój zbrodni. Według dzieła Schuberta: *Rozwiązanie kwestyi Wallenszteina*, okazuje się, że wyrzucony w roku 1618 oknem Slavata, był autorem potwarzy na Walleuszteina rzuconej.

Do pamięci króla szwedzkiego, Gustawa Adolfa, przywiązaną jest w Niemczech taka sympatya, że nawet stowarzyszenie pomocy dla ewangelików, nosi firmę Gustawa Adolfa, jako protektora i zbawcy protestantyzmu w Niemczech. Droysen, w dziele: *Gustaw Adolf*, sprowadził już do należytej miary tego rodzaju poglądy. Pobudki Gustawa Adolfa były czysto politycznej natury, co wynika już z tego, że w r. 1624 zawarł układy z kardynałem Richelieu, potężnym ministrem katolickiej Francji. Gustaw Adolf pragnął zawładnąć Bałtykiem, a następnie i berłem Niemiec. Z tego względu nie chciał mu pomagać kurfirst brandeburski, Jerzy Wilhelm. I o śmierci Gustawa Adolfa, pod Lützen, d. 6 listopada 1632, popisał Szyller rozmaite poetyczne brednie, mianowicie, że król szwedzki padł od kuli Franciszka Alberta von Lauenburg, który, przez matkę swoją skoligacony z rodziną Wazów, znalazł ongi w Szwecyi gościnnie przyjęcie. Spoliczkowany raz przez króla, szukał zemsty i znalazł ją w bitwie pod Lützen. Wszystko to bajki, niemające historycznej wartości.

Marya Teresa i Fryderyk II byli często przedmiotem fantazyjnych opowiadań. Marya Teresa nie uciekła do Presburga z dzieckiem na rękę, gdyż podczas sceny: *moriamur pro rege nostro*, dziecięcia na rękę nie miała. Przywieziono je dopiero w 10 dni później po owej scenie.

Nieprawdą jest również, aby Marya Teresa pisać miała do margrabiny de Pompadour: *ma chère cousine*. Również bez wartości dziejowej jest bajka o młynarzu z Sanssouci, zaczerpnięta prawdopodobnie z perskiej historii z VI w. po N. Chr.

#### IV.

I historia Francji upstrzoną jest licznymi baśniami i przechwałkami, tak właściwemi charakterowi Francuzów. Najobfitszy bukiet z owych kwiatków fantazyi dziejopisarzkiej zebrał Fournier w znanym swém dziele, a za nim, bez wyboru, poszedł i Herstlet. Rozpoczyna się szereg owych dowcipnie pomyślanych anegdot od historyi Abelarda i Heloizy, grobowiec których odwiedzają liczni podróżni na cmentarzu *Père la Chaise*. Czy owa słynna roman-sowa para rzeczywiście spożywa w odwiedzaném miejscu? Wątpiono o tém czas długi, lecz obecnie istnieje już pewność w tym względzie, tylko namiętno listy miłosne, jój przypisywane, są apokryfami.

Najdawniejszy rękopis, pozostały jako zabytek po Abelardzie i Heloizie, znajduje się w bibliotece w Troyes. Jest on jednak o sto lat późniejszym od śmierci Heloizy... Że król Ludwik XI nie był aniołem dobroci, o tém wie każdy, lecz, aby okropności owe, okazywane po jarmarkach, przy dźwiękach katarynki, a malujące okrucieństwa króla, były prawdziwemi, temu krytyka naukowa przeczy... Opisuja np., że król kazał stracić księcia de Nemours, w obecności sześciorga jego dziatka, kłęczących pod rusztowaniem, tak, aby krew ojca je skropiła. Współcześni nie o takim fackie nie wiedzą.

Krół Franciszek I, po bitwie pod Pawią, miał napisać do matki: „wszystko stracone, prócz honoru“. List króla wszelako był dłuższym i smutniejszym. Pierwszym, który wersję tę podał, był Antonio de Vera, w dziele: *Vida y hechos de Carlos V*, str. 123: *Madama toto se ha perdido, sino es la honra*. Ów król miał na szybie zamku Chamfort wyryć dwuwiersz:

*Souvent femme varie  
Bien foit est qui s'y fie.*

W istocie jednak król na framudze okna napisał tylko:

*Tout femme varie...*

Usiłowano wmówić w Ludwika XIV, że pragnął, z miłości ku pannie de Lavallière, zniszczyć ową nieistniejącą szybę, gdyż wierzył podówczas w miłość kobiety!! Opowiadają dalej, że Diana z Poitiers była kochanką Franciszka I i syna jego Henryka II, lecz brzydka owa historia nie jest prawdziwą. Inna jeszcze zmyślona anegdota o Franciszku I rozpowszechniła się za pośrednictwem znanego obrazu historycznego. Lecz Leonardo da Vinci nie skończył najmużej w Fontainebleau, w objęciach króla, ponieważ 2 maja 1519 r., t. j. w dacie śmierci mistrza, ani on, ani też Franciszek I, nie byli w Fontainebleau, lecz każdy z nich był gdzieindziej. Król Karol IX nie strzelał w nocy św. Bartłomieja z okna do Hugonotów. Komuna paryska postanowiła w d. 29 Vendemiaira R. II (20 paźdz. 1793) *qu'il sera mi un poteau infamant à la place même ou Charles IX tirait sur son peuple*. Pręgierz ów stał przez czas długi, lecz część Luwru w owym miejscu zbudowaną została dopiero za Henryka IV. Przy zwłokach admirała Coligny miał Karol IX powiedzieć, widząc dworzan, zatykających sobie nosy: *L'odeur de son ennemi est très bonne!* Lecz wyrzeczenie to przeniesionem zostało z Vitelliusa. Walter Scott, w *Quentinie Durward*, przypisuje je Ludwikowi XI. Słynny list wicehrabiego d'Orthe do Karola IX, w którym donosi królowi w odpowiedzi na rozkaz zamordowania Hugonotów, że zualazł w Bayonnie jedynie dobrych obywateli i dzielnych żołnierzy, lecz nie oprawców, jest już dlatego podrobionym, że król żadnego rozporządzenia w tym duchu nie wydał; w okólniku zaś o śmierci Coligui'ego oświadczył wyraźnie, że zamordowaniu admirała towarzyszyły raczej polityczne, aniżeli religijne względy.

Częstokroć napotykamy w muzeach i na wystawach artystycznych historyczne obrazy, przedstawiające chwilę, gdy Karol IX swego medyka, Hugonota, Ambrożego Paré, ocala zasłaniając go przy wejściu na salę, do królowej matki, franką. Szkoda tylko, że tak piękny rys charakteru nie jest prawdziwym, gdyż Paré był — katolikiem... Król Henryk IV miał, przy wejściu swém do Paryża powiedzieć, biorąc assumpt ze zmiany religii: Paryż lub jak twierdzą inni — korona warta jest mszy. I to nieprawda, Raczej Rosny, książę de Sully, miał odpowiedzieć Henrykowi IV, na zapytanie, dla czego nie chodzi, jak król, do kościoła: *Sire, Sire, la couronne vaut bien une messe*. I słynne odezwanie się Henryka IV: Zyczę sobie, aby każdy wieśniak w niedziele miał kurę w garnku, wymaga udowodnienia. Krążą jeszcze o tym królu inne anegdoty, szkoda tylko, że nieprawdziwe. Tak np. Baudessou mer z St. Dizier, bardzo był do króla podobnym, do tego stopnia, że szyldwachy, przez omyłkę, prezentowały przed nim broń. *Eh compère*, rzekł król do niego, *votre mère est elle donc allé dans le Béarn?* (gniazdo rodzinne króla). — *Non Sire*, odpowiedział Beaudessou, *c'est mon père qui y demeura*. — *Ventre Saint gris! Je suis payé!* odrzekł na to król. Taką anekdotkę opowiada Macrobiusz w *Saturnaliach* (Ks. II, R. 8) o cesarzu Auguście. Innym razem pragnął Sully mieć u króla audyencyą, lecz dowiedział się, że król leży w łóżku i ma febrę. Sully czekał nieco... w tem spostrzegł jakąś zawołowaną piękność, wymykającą się z pokoju króla. Za chwilę zjawił się król. „Co pan tu robi? Czyż nie powiedziano panu, że mam febrę?“ „Tak, najjaśniejszy panie, lecz opuściła ona waszą kr. mość przed chwilą. Widziałem ją przechodzącą, całą zieloną“... Król uśmieł się serdecznie. Historyjka ta mieści się w Plutarcha: *Demetriuszu*, R. 6. Posel hiszpański miał raz zastać króla na czworakach, z delfinem na karku. Anegdota ta również wziętą jest z Plutarcha, który ją do króla Agesilausa ze Sparty zastosował (R. 25). Opowiadają o skromności Ludwika XIII rozmaite historye; najprzód, że nie śmiał wyjąć z za gorsu pewnej damy listu, przez nią tam schowanego, nadto, że piłkę, tamże schowaną, zasłoniwszy oczy, wyjął cążkami od komina. Obie te bajeczki wymyślił kaznodzieja, prawiać nagrobną mowę, przy pogrzebie króla. Richelieu dodał Ludwikowi XIII Cinq-Marsa jako towarzysza. Gdy jednak Cinq-Mars intrygować zaczął, skazano go na śmierć. „*Je voudrais bien voir la grimace qu'il fait a cette heure, sur cet echafand*“, miał się przy tej sposobności król wyrazić. Anegdota ta jest zmyśloną. Gdy Ludwik XIII leżał na łożu śmierci, miał się spytać syna swego, którego właśnie ochrzczono: „Jak się nazywasz, mój synu?“ „Nazywam się Ludwik XIV“... miał zapytany odpowiedzieć. „Nie jeszcze! Jeszcze nie! I ta anegdota jest zmyśloną. Wyrzeczenie Richelieu'go: „Dajcie mi szesć wierszy, napisanych przez najuczciwszego bodaj człowieka, a znajde w nich powód do powieszenia go“, jest kłamliwym. Ludwik



XIV prawdopodobnie nigdy nie powiedział: *l'état c'est moi!* a scena, przedstawiająca króla, ze spierną w rękę, w myśliwskim ubraniu, w parlamencie, jest fantazyjnym pomysłem.

Gdy piękna Marya Mancini, siostrzenica kardynała Mazariniego, zmuszoną została, na rozkaz tegoż, do opuszczenia króla, miała się wówczas odezwać: „*Vous m'aimez, vous êtes roi et je pars*“. Prawdopodobnie jestto poprawka do wyrazów: *Vous pleurez et vous êtes le maître*...

Epoka Ludwika XIV obfituje w podobnego rodzaju zmyślenia. Pomijając już historią człowieka „o żelaznej masce“, który w żadnym razie bliźniakiem Ludwika XIV nie był, należy tu także gawęda o *Salomonie de Caus*, który odkrył siłę pary, przekazał ją państwu i jako waryat w Bicêtre osadzonym został. Anegdota nie jest historyczną, lecz jest to wdzięczny przedmiot dla malarza i nowelistów. Pierwszy Arago w r. 1828 w *Annuaire de bureau des longitudes*, zwrócił uwagę na pismo de Causa: *Les raisons des forces mouvantes avec diverses machines* z r. 1615. Ztąd też Arago wywnioskował, że de Caus był pierwszym wynalazcą maszyn parowych. W sześć lat po artykule Arago, wydawca dziennika *Musée des Familles* zamówił u Gavarniego rysunek, przedstawiający waryata za kratą. Rysunek ten przyszedł dla pisma za późno, aby go jednak zużytkować, współpracownik pisma p. Bertoud, sfabrykował list niby z r. 1641 od Marion Delorme do Cinq-Marsa, opisujący wizytę w domu waryatów i spotkanie się z de Causem, oraz rozmowę Cinq-Marsa z mniemanym waryatem, z powodu której, Cinq-Mars miał przyjść do przekonania że de Caus niesłusznie jest uwięziony. List ten sprawił wielkie wrażenie we Francji, a choć Berthoud przyznał się do apokryfu, nie to nie pomogło. De Caus umarł w r. 1630 jako *ingénieur du roi*, wielce przez współczesnych szanowany, Gdy ksiądz d'Alençon zebrał się z dziadkiem swoim, Ludwikiem XIV, wybierając się w podróż do Hiszpanii, miał się odezwać: „*Il n'y a plus de Pyrénées*“. Jestto nieprawdą, raczej poseł hiszpański miał się odezwać do króla z powodu zamierzonej przez księcia d'Alençon podróży: „*Que ce voyage devenoit aisé et que présentement les Pyrénées étoient fondues*“. Posłowi angielskiemu, lordowi Stair, miał Ludwik XIV odpowiedzieć na usilne nalegania rozszerzenia kanału Mardick: „*Monsieur l'ambassadeur, j'ai toujours été le maître chez moi, quelquefois chez les autres; ne m'en faites pas souvenir*“. I ten frazes jest zmyślony, przez prezydenta Hénault (*Voltaire, Siècle de Louis XIV*, Ch. 23). Przypisywany królowi frazes: *J'ai failli attendre*, również jest zmyślony, gdyż król był bardzo cierpliwy. Pani de Maintenon nie miała udziału w odwołaniu edyktu Nantejskiego. Nieprawdą jest również, aby król konając miał się do niej odezwać: „*Nous, nous reverrons bientôt*“, na co miała odpowiedzieć: „*Voiez le beau rendez-vous qu'il me donne; cet homme là n'a jamais aimé que lui même*“. Zmyśleniem jest również twierdzenie, jakoby Ludwik XIV rzucił w ogień

rachunki budowy gmachów wersalskich, wstydząc się wygórowanej ich cyfry. Wszystkie te plotki o Ludwiku XIV czepane są z pamiętników księcia Saint Simon, który sam o sobie mówi: *qu'il ne s'est nullement piqué d'être impartial.*

O Ninonie de l'Enclos († 1705) opowiadają, że w 80 roku życia przyzwoliła panu de Gedoin na *rendez-vous* z sobą. Voltaire, w *Mélanges historiques*, nadmienia: *Je suis son légataire. Je l'ai vue les dernières années de sa vie. Elle était sèche comme une momie. De Gedoin był jej przedstawionym i odwiedzał ją czasami z Voltair'em. Il était fort éloigné de sentir des desirs pour une décrépète ridée, qui n'avait sur les os qu'une peau jeune tirant sur le noir.*

Natomiast prawdą jest, iż Ninon w 60 roku życia miała schadzkę z p. de Chateauneuf. Znały frazes Moliera, którym obwieścił publiczności, że prezydent Lamoignon, zabronił przedstawienia *Świętoszka*: „*Monsieur le président ne veut pas qu'on le joue*“ nigdy przezeń powiedzianym nie został, a cała owa anegdota jest naśladownictwem z hiszpańskiego. Gutzkow, we *Wzorze do Świętoszka*, zacytował wszelako ów frazes. O ile zresztą rysy charakterów w owej komedyi historycznemi nie są wykazał Paweł Lindau w swoich: *Literarische Rücksichtslosigkeiten*. Nie powiedział również Moliere: „*Je prends mon bien, ou je le trouve*“, lecz tylko z powodu dwóch scen Cyrano de Bergerac'a: *Pedant joué*, miał się odezwać: „*Les deux scènes étaient bonnes; elles m'appartenaient de plein droit; on reprend son bien ou le trouve.*” Opowiadają, że Rousseau przepisywał nuty dla pani de Pompadour; gdy mu przysłała za to 11 ludwików, miał Rousseau zatrzymać małe należne sobie honorarium, a resztę odesłać. Anegdota ta pochodzi prawdopodobnie z fałszywego źródła, gdyż przeciwnie. Rousseau bardzo był za przesyłką wdzięcznym, a nawet zlagodził pewien ustęp w *Nowej Heloizie*, któryby mógł obrazić panią de Pompadour. Chwilę śmierci Ludwika XVI, i tak już dosyć smutną, u dramatyzował jeszcze więcej Karol His, redaktor ówczesnego *Républicain français*. Kładzie on w usta księdza Edgeworth na rusztowaniu słowa: „Synu św. Ludwika, idź do nieba!” Lecz Edgeworth nie podobnego nie powiedział. Frazes ten ukazał się tego samego dnia, gdy głowa króla spadła, i znalazł ogólne wzięcie.

Ksiądz Sieyès nie wyrzekł przy głosowaniu nad wyrokiem śmierci: „*la mort sans phrase*“, lecz „*sans phrases*“, to znaczy bez dalszych motywów. Inni głosowali tylko przez wyraz: *la mort*. Ze sceny rewolucyi francuskiej, i tak już przez się ohydne, starano się zohydzić do przesady—nie w tem dziwnego. Opowiadają np., że gdy Verdun zajęty został przez Prusaków, a dziewczęta tańczyły z nimi na balu, kazano je wszystkie zgilotynować, tak że się kat nawet nad losem ich wzruszył. Prawdą jest tylko, że najstarsza z owych dziewięć miała lat 69, a najmłodsza lat 22. Dwie młodszego nad ten ostatni wiek deportowano.

Epokowe zdobycie Bastylii, nazwane przez Wiktora Hugo największym w dziejach wypadkiem, redukuje się do prostej awantury motłochu paryskiego, zakończonej skruszeniem łańcuchów zwodzonego mostu i tłumnem zajęciem gmachu. „Stosy trupów“ dopiero później wymyślono, gdyż w rzeczy samej trupów było niewiele. Zamordowano przy tój sposobności komendauta de Launay, co było niepotrzebnem i bezecnem okrucieństwem.

Gilotynę miał wynaleźć Guillotin. a nawet miał należeć do pierwszych jej ofiar. Oba te fakta niezgodne są z rzeczywistością. Guillotin nie wynalazł, lecz zalecił do użycia wynalezioną przed nim maszynę, a umarł 26 maja 1814, powszechnym otoczony szacunkiem. Za pomocą gilotyny, nazywanéj *mannaja*, uśmierconym został już w r. 1507 doża genueński, Demetrius Giustiniani, gdy król francuski, Ludwik XII. zdobył Genewę. (Jean d'Anton: *Histoire de Louis XII, mise en lumière par Th. Godefroy*. Paryż, 1615). Ostatnia biesiada żyrondyistów jest wymysłem Thiers'a (*Hist. de la révol. franc.* 4, ed. V, 460), rozszerzonym przez K. Nodier'a *Oeuvres complètes*, XI, 182), a upiękuszonym przez Lamartina (*Les Girondins*, VII). Bailleul, ich współwyznawca polityczny, ukrywając się w Paryżu, miał im przygotować ucztę: „Wyszukane potrawy, rzadkie wina, kosztowne kwiaty, jarzące świece, okrywały stół więzienny. Był to zbytek ostatniego pożegnania, rozrzutności umierających, niepotrzebujących oszczędzać sobie na dzień następny“. Brzydko tak przeistaczać fakta! Bailleul nie ukrywał się w Paryżu, lecz siedział w więzieniu razem z żyrondyistami, a nawet pozostawał tam przez pięć miesięcy po ich straceniu (13 paździer. 1793). Żyrondyści nie wiedzieli nawet przedtem, kiedy ich egzekucya nastąpi. Stracenie zadekretowano nagle 9 Brumair'a, z mocy wydanego tegoż dnia dekretu konwencyi. Bailleul nie mógł nawet obstałować bardzo skromnéj uczty, gdyż więźniowie oddawali rzeczy wartościowe nadzorczy. Że zresztą uczta taka nie miała miejsca, dowód na to mamy w entuzjastycznych pamiętnikach: *Mémoires d'un détenu pour servir a l'histoire de la tyrannie de Robespierre*, przez Riouffa 1794) uwięzionego przez tyra-  
na i przezeń uwolnionego, jak również w *Bulletins du tribunal révolut.* Była to naówczas epoka strasznej klęski głodowej w Paryżu. Wreszcie nieprawdą jest, jakoby żyrondyści, po skazaniu, śpiewali hymny na cześć Francyi i wolności (Ch. Barthélemy: *Erreurs et mens. hist.*, V Ser.). Inną rewolucyjną legendą jest, że ochotnicy francuzcy (1791—1794) odpędzili sprzymierzonych. Ci ochotnicy nie tylko, że nie byli żołnierzami, lecz byli plugawą czeredą, grabiącą i gwałcą-  
cą tych, których bronić mieli. Ponieważ obierali sami oficerów, więc przy tym obiorze intryga grała rolę główną. Szeregi te bić się nie umiały, gdyż uzbrojenie ich i odzież były w oplakany stanie. Tak zwane pospolite ruszenie *levée en masse* wydało następnie lepsze rezultaty. (Rousset: *Les volontaires*. Paryż, 1870).



Żadna dynastia nie starała się tyle o przejście do historii otoczoną aureolą wielkości, jak dynastia Bonapartych. I pierwsze i drugie cesarstwo jednako w tej mierze postępowały. Raporta o bitwie pod Marengo, jak świadczy Lanfrey, usunięte z archiwów, zastąpione zostały nowemi o fantazyjnym nastroju. Kult dnia Napoleońskiego polegał na fałszu: Bonaparte nie urodził się dnia 15 sierpnia 1769 r., lecz, według *état civil* miasta Paryża, rejestr II, munieypalności II okręgu, N. 290, pod datą XIX Ventose, roku IV Rzplitej, obejmującego akt ślubny Napoleona Bonapartego z wdową Beaubarnais i według metryki urodzenia, pierwszego, w dniu 5 lutego 1768 r. Datę zmyśloną podał Napoleon dlatego, aby przypadła już w epoce przyłączenia Korsyki do Francji. J. Heine dopuścił się takiego żartu, aby się nazywał, że jest pierwszym mężem swego wieku, mimo to, że się urodził w wieku XVIII, bo 13 grudnia 1799. Pod Lodi miał Napoleon ze standarami w dłoni wyprzedzać żołnierzy przy zajęciu mostu, tymczasem w rzeczywistości dowodził on wojskiem z murowanego domu, obok mostu. „Historyczne“ obrazy przedstawiają Napoleona, gdy dotyka się zarażonych w Jaffie. Nie dotykał się ich zupełnie. Przedstawiają go na dziarskim rumaku, na górze św. Bernarda, wśród śnieżnej zamieci. Była podówczas najpiękniejsza pogoda. Nad legendą Napoleońską pracowali gorliwie: sam Napoleon na św. Helenie i pod okiem jego Savary, księżę Rovigo, następnie Thiers, a wreszcie Napoleon III. Jako krytycy, występują: Charras, ofiara grudniowego zamachu, Jules Barni i Lanfrey. Po 18 Brumair'a miał ex-ksiądz Sieyès o Bonapartym powiedzieć: „*Messieurs, nous avons un maître, ce jeune homme fait tout, peut tout et veut tout*“. Sieyès zaprzeczył, aby kiedykolwiek coś podobnego powiedział.

Zazwyczaj nieprawdziwemi są słowa, przepisywane generałom, jako wyrzeczone podczas bitwy. Wrzawa wojenna do frazesów nie usposabia; zresztą, któżby miał ochotę i cierpliwość słuchać i notować takie frazesa, wśród gradu kul, szczęku oręża i śmiertelnej obawy o własną skórę? Generał Cambronne nie powiedział: „*La garde meurt et ne se rend pas*“. On sam przeciwko temu protestował. Wy-myślił ów frazes Rougemont, dziennikarz. Ludwik XVIII nie odpowiedział na pogrózkę Blüchera, iż każe wysadzić most Jena: „*Je m'y ferai porter et nous sauterous ensemble*“. Jest to pomysł hrabiego Beugnot'a, co tenże w swoich pamiętnikach, wydanych w r. 1866, przyznaje. O zgonie Talleyranda (17 maja 1838) opowiada Ludwik Blanc w *Histoire de dix ans*, że gdy umierający miał wyrzec do króla Ludwika Filipa: „*Jesouffre comme un damné*“, król miał nadmienić: „*Deja?*“. Najwiarogodniejsze źródła nie o tém nie wzmiankują. Czy Ludwik Filip istotnie podczas deszczu przechadzał się z parasolem pod pachą? niewiadomo, bo źródłem tej wieści jest poeta Heine (*Werke*, VIII, 49). Słynnego z wyprawy Boulońskiej orła (6-go sierpnia 1846), według relacji świadka wyprawy hr. Orsi (*Prazer's*

*Magasine*, sierpień, 1879), Ludwik Napoleon nie kupował, kupił go jedynie pułkownik Parquin w Gravesend za funt szterling. Ptak przywiązany został do masztu i nikt się nim nie zajmował. Dopiero policya wykryła go następnie. Wiadomość Monitora z 29 czerwca 1859 r. o nieustraszonem mężtwie Napoleona III pod Solferino jest kłamliwą. Napoleon nie narażał się zupełnie. Zajście z *Benedettim* w Ems (1870), które dąto powód do wojny, jest przesadzone. Sam Benedetti wyznał, że w Ems nie było „ani obrażających, ani obrażonych. Wersya o oku Gambetty, wyluszczonej samowolnie, jest również kłamliwą. Gambetta oka sobie nie wyjął, lecz postradał je. przypatrując się, dzieckiem, warsztatowi nożownika. Drobinka metalu wpadła chłopcu w oko i spowodowała operacyę okuliścyczną.

## V.

Legenda głosi, że Anglicy mniej kłamią, niż inne narody, lub też, że zupełnie nie kłamią. Ta ostatnia opinia mniej jest rozpowszechnioną, lecz Anglicy sami krzepko obstają przy opinii, o względnej swęj prawdomówności, choć ta ostatnia na nader wątych opiera się podstawach. Już w takim ich twierdzeniu spoczywa nieprawda, gdyż Anglicy tak samo kłamią, jak i inne narody: niewięcej, ale też i niemniej... W dyplomacyi nawet nosi Albion przydomek „*pérfide*“, co już wiele znaczy, a sami Anglicy określają swoich dyplomatów, jako *men sent abroad to lie for the benefit of their country*. Co leży na dnie owego cyklu podań o królu Arturze, o jego okrągłym stole, bohaterstwach, rycerzach, seneszalach, niewierności żony i o jej Lancelocie? De la Villemarqué, wysłany, imieniem ministryum do Anglii, celem zbadania źródła owych mytów, znalazł, że w początku VI wieku żył w Walii dowódca, imieniem Artur, który ciągle z Saksonami wojował. Z owych to wojen skomponowano, Bóg wie, jakie historye, upamiętnione w pieśniach, balladach i romansach. (*Contes popul. des anciens Brétons avec un essai sur l'origine des épopées sur la table ronde par Th. de la Villemarqué*, 1842 i Ritson: *The life of King. Arthur*, 1825). O królu Alfredzie Wielkim, pisze Buckle (*Hist. of Civ.*, II, 249), że Anglicy, którzy żadnemu ze swych królów pochlebnego przydomku nie nadali, dlatego jedynie Alfreda nazwali Wielkim, że bardzo mało co o nim wiedzieli i mnóstwo instytucyj, jakie już przed nim istniały, jemu przypisali. . Gdy piękna hrabina Salisbury, w tańcu, podwiązkę zgubiła, podnieść ją miał Edward III i wręczyć poszkodowanej, mówiąc *Honni soit, qui mal y pense*. Ma to stanowić początek orderu *of the garter* (1349). Nic pod tym względem pewnego niema, gdyż inni utrzymują, że król powiedział te słowa w bitwie pod Crécy, uczyniwszy własną podwiązkę oznaką wojenną; lecz wyrażenie to przed nim już było popularnem we Francyi. (Haydn: *Dictionary of dates*). Znaną postać Ryszarda III stworzył Shakespeare, według pism Sir Toma-

sa Moora. I podania Hume'a o Ryszardzie czerpią z tegoż samego źródła. Wielkie okrucieństwa, przypisywane owemu królowi, są przesadzone. Brata swego miał jakoby utopić w beczce małmazyi. Nieprawdopodobną tę historię wyjaśniają w ten sposób, że uduszonego w Tower księcia wrzucono do beczki małmazyi, co jest nieprawdą. Prawdą jest tylko, że książę za życia bardzo w małmazyi gustował... (Timbs: *Curiosities of History*. II, 195). Słynna pieśń pożegnalna, utworu niby Maryi Stuart, śpiewana przez nią na pokładzie okrętu:

*Adieu, plaisant pays de France!*  
*O ma patrie*  
*La plus chérie etc.*

nie należała do Maryi, lecz była napisana przez dziennikarza Querlona i pierwszy raz przezeń w r. 1765 wydrukowaną została. Wprawdzie wołała ona ze statku *Adieu, France!* ale wiersze jej do wyborowych nigdy nie należały. Kto zwiedza wystawy obrazów narażonym jest na bolesny widok śmierci pięknego Rizzia pod ciosami wystawców zazdrosnego małżonka. Bolesć taka dość często się powtarza... Szkoda tylko, że w chwili owego wypadku (9 marca 1566) Rizzio miał przeszło lat trzydzieści, a do pięknych mężczyzn, jako garbaty, bynajmniej nie należał. (*Fournier*, 179). Opowiadanie o pierścieniu, darowanym przez królową Elżbietę hr. Essexowi, z warunkiem, że na okazanie owego pierścienia, królowa będzie przychylnie usposobiona względem obdarowanego, o faksie nadto, że gdy Essex, wpadłszy w niełaskę, uprosił hrabinę Nottingham, aby piercień ów wręczyła królowej, czego uproszona nie uczyniła, skutkiem czego Essex straconym został, bardzo nastąpnie żalowany przez królowę, gdy się o czynie hrabiny Nottingham dowiedziała—jest wierutną bajką. Że królowa darowała Essexowi pierścień—to prawda, bo okazują dziś jeszcze trzy jego oryginały, lecz pierwszą wzmiankę o całej owj wzruszającej historii napotyka się poraz pierwszy 55 lat po zgonie Elżbiety... Lord Nottingham korzystał nieprzerwanie z łaskowości królowej Elżbiety. (*Timbs*). Anegdota o Newtonie, iż sławny ów uczony naprowadzonym być miał na myśl o grawitacji ciała, skutkiem spadłego z drzewa jabłka, jest poetyczną, lecz nieprawdziwą. Współcześni Newtona nie o tém nie wiedzą. (*Zöllner: Wissensch. Abhandl.* 222). Za pośrednictwem komedyi Scribego: *Le verre d'eau* (1840) rozpowszechniła się anegdota o niełascie, w jaką popadła księżna *Marlborough* u królowej *Ann*y, z powodu wylanj, na suknię tej ostatniej, szklanki wody... Jest to czezy wymysł. Królowa *Anna* pijała wprawdzie dużo, ale nie wodę... (*Fournier*, 353). Pobudki owj anegdoty wyjaśnione są w *Woltera: Siècle de Louis XVI*. T. I, 22).



## VI.

Czemżesz są wszystkie nowsze monografie historyczne polskie, jeśli nie krytycznym opracowaniem rozmaitych faktów i momentów dziejowych, do przeszłości Polski odnoszących się, a wyjaśniających obiektywnie, na podstawie stwierdzonych dowodów, to, co fantazyja dawniejszych dziejopisarzy, zwyczaj, legenda i tradycja do skarbniicy historyi oczyszczają wprowadziły. Wprawdzie już i Naruszewicz i Lelewel i cała szkoła ich następców oddzielają troskliwie dzieje niepewne, czyli bajki, od okresu historyi wiarogodnej, wprawdzie wszystkie wieści o Krakusie, Popielu, Piascie, Zimowicie, Leszku, Ziemomyśle, dawno już zaliczają się do rzędu obrazowych legend, odtwarzających niektóre rysy dziejowego bytu przedchrześcijańskiej Polski; z tępem wszystkim nowoczesna krytyka, trzymając się metody krytyczno-analitycznej, nie poprzestaje na odrzuceniu legendy, jako legendy, lecz stara się ze źródła i charakteru owych legend, oraz niezliczonych dokumentów piśmiennych wyprowadzić wnioski o istotnym charakterze pierwotnych dziejów Polski, o składowych częściach jej społecznego bytu, o naturze politycznego jej ustroju, o stosunku plemion rządzących do rządzonych, o początkach jej stanów, dostojeństw, państwowej władzy, słowem, o tych wszystkich czynnikach, które się złożyły aa wytworzenie z ogólnych rysów szczeponych, pewnej części politycznej, o wybitnych rysach narodowych, mianem państwa polskiego w X ym wieku zatytułowanej. Ten kierunek syntetyczno-analityczny nadaje historyografii polskiej nowszych czasów, ściśle naukowy charakter, a pobudzając pilnych, a skrzętnych pracowników do coraz głębszych poszukiwań, zapowiada w przyszłości zerwanie stanowcze z dotychczasowymi poglądami na dzieje społecznienia pierwotnej Polski i postawienie w ich miejsce poglądów z prawdą zgodniejszych. Gdyby chcieć przejść porządkiem epok, lat i panowań wszystkie zdobyte naukowe historyi polskiej w ostatnich czasach przyswojone—należałoby napisać obszerną księgę, zatytułowaną: *Prawda historyi polskiej*. Okazałoby się wówczas, ile to z dawniejszej metody historycznej, z dawniejszych opracowań dziejów Polski ostało się faktów pod probierzem nowszej historycznej analizy? Charakter epok, znaczenie faktów głośniejszych, istotna doniosłość osobistości dziejowych, ich dążeń, czynów, zamiarów—wszystko to przybrało odmienne od poprzednich zapatrywań rysy. Jedni z reformatorów, wprowadzając żywioł sceptycyzmu do dawniejszych szowinistycznych poglądów, oceniają fakta dziejowe według ich należytej miary, inni, prostując błędy, zdzierając maskę fałszu i obłudy z mniemanych proroków i zbawców narodu, wypełniają kątól z gleby, przeznaczonę na naukową uprawę historycznej wiedzy. Przetrząsnięcie na nowo lub nowo zbadane archiwa wzbogaciły dzieje Polski masą szczegółów nieznanych i rzuciły jasne światło na to, co okryte było pomroką przypuszczeń lub

też wprost błędnych zapatrywań. Zadanie niniejszego szkicu dozwala tylko na podniesienie kilku, kilkunastu zaledwie szczegółów, z ich anekdotycznój, charakterystycznój strony. Trzymając się metody Herstleta i Fourniera, nie będziemy przechodzić kolejno wszystkich epok i panowań, lecz wybierzemy to, co, zdaniem naszym, mogłoby w przyszłości posłużyć, jako metoda i wskazówka, do opracowania wszystkich zdobyczy naukowych w dziedzinie historii Polski dotychczas już odniesionych, a taki właśnie plan usuwa na stronę zarzut niezupełnej i oderwanój ekspozycyi faktów, być może, nie powiązanych ze sobą systematycznie, lecz noszących na sobie wspólne znamię—prawdy.

Twierdzenie, jakoby Mieczysław I. miał siedm żon—jest mylnem. Mieczysław miał tylko dwie żony, Pierwszą była Dąbrówka, córka Bolesława I. czeskiego, druga porwana Oda, córka margrabiego Dietriecha. Legenda o „Szczerbcu“ Bolesława Chrobrego jest ułamkiem ludowego eposu. Miecz. „Szczerbiec“, który figurował w zbiorach Bazylewskiego na wystawie Paryżkiój z r. 1878, był prawdopodobnie, „Zórawiem“ Krzywoustego, darowanym mu przez cesarza Lotaryusza przy inf feudacyi na Pomorze i Rugią. Uzasadnionem jest również wyłączenie z dziejów Chrobrego „słupów żelaznych“. Małecki i Szajnocha uważają słupy żelazne za istotne znaki graniczne. Leleweł widział w *meta ferrea* Galla symboliczne określenie granic. Zacios w bramie Chrobrego uczyniony ma również znaczenie symbolu. <sup>1)</sup>

Krytyka nowoczesna wyświetliła istotny stosunek cesarza Ottona III do Bolesława Chrobrego i doniosłość Gnieźnieńskiój koronacyi (Małecki *Przewodn. nauk lwows.* T. I, 203, z r. 1875), sprostowała mylne wyobrażenia o charakterze pierwszych Piastowiczów. Według niój, Mieczysław II, następea Bolesława, bynajmniej nie odpowiadał pojęciu „*Gnuśnego*“ monarchy, jakie doń, z moey przydomku, przywiązaniem zostało, gdyż był to mąż dzielny, znakomicie, jak na swą epokę, wykształcony. (Lewicki Anat.: *Mieszko*, II, 1876). Wdowa po Mieczysławie, Ryxa, nie była, jak powszechnie twierdzą, złą i kłótliwą niewiastą, gdyż rządziła Polską bardzo dobrze i jedynie, gdy żywił pogański, podniósłszy głowę, zapragnął zburzyć polityczno-społeczną budowę Chrobrego, wyjechała do Niemiec. (Szajski: *Historji* ks. XII). Syn jój, mylnie mniczem nazwany, bynajmniej zakonnikiem nie był, ani też nie Polacy sprowadzili go do kraju celem zapobieżenia następstwu bezkrólewia. Kazimierz przebywał na dworze czeskim i sam, przy pomocy cesarza Henryka III-go, obawiającego się wzrostu potęgi czeskiój, wrócił do Polski, do dziedzictwa korony swych przodków. (Smolka: *Trad. o Kaz. Mnichu*. Rozpr. Akad. Um. 1877). Bezowocne dobywanie Głogowa i Bytomia przez Niemców za czasów Bolesława Krzywoustego, na-

<sup>1)</sup> (Świeżawki: *Epopea ludowa o Szczerbcu*, 1882).

zywa legenda klęską pod Wrocławiemadaną oblegającym. Krytyka nowsza nazywa owę mniemaną porażkę strategicznym odwrotem. (Bobrzyński: *Dzieje*. I. 132). Czy istrtnie z powodu liliputowego wzrostu nadao księciu brze-ko-kujawskiemu przydomek *Łokietka* — wątpić się godzi. Człowiek, którego „żelazna dłoń“ umiała trzymać w karbach burzliwe żywioly oporu w narodzie, „bohater, wierzący w siłę fizyczną i energię woli“, zapewne cieszył się wzrostem przyzwoitym, tak samo jak i ów Władysław „Laskonogi“ dostatnimi nogami. Zarzucają Mieczysławowi Staremu, iż w operacyach swoich mennicznych miał wyłącznie spekulacyę osobistą na widoku i niepomierną chciwość bogactw. Krytyka wyjaśnia, iż operacye te wynikły z politycznych pobudek zubożenia możnowładczych panów. (Smolka: *Mieszko Stary*, str. 297). Wersya, jakoby Leszek Biały zdradziecko zamordowanym został pod Marcinkowem podczas wyprawy przeciw Świętopelkowi Pomorskiemu,—jest błędną. Autorem tój wersyi był kronikarz Bogufał. Tymczasem krytyka naukowa (Kujot: *Samodzielność książ. pom.* 1875) wykazuje, że zgon Leszka nastąpił w sposób naturalny, podczas godziewie prowadzonej wojny. Gdyby Leszka zamordowano podstępnie, nie darowaliby tój zbrodni Laskonogi i Konrad Mazowiecki, nie przepuściliby jęj bezkarnie kościół. Świętopełk cieszył się nieprzerwanie łaską biskupa kujawskiego. Nadanie liberalnych przywilejów Żyoom przez Kazimierza Wielkiego przypisują wpływowi skandalicznego jego romansu z Esterką. Caro w *Gesch. Polens* przeczy owęj legendzie, uważając ją za wymysł fantazyi. „Nie sądzimy, pisze on, aby historia Esterki była częms innęm nad podanie ludowe“. Już ta okoliczność, że historia biblijna gra w nięj rolę tak przeważną, niemało wpływa na obudzenie wątpliwości w historyku. Przed Długoszem żadne źródło o romansie tym nie wzmiankuje, nawet archidyakon Czarnkowski, który stał przy łożu umierającego króla. Długosz splata ten romans z opowiadaniem o utopieniu księdza Baryczki, lecz podczas gdy archidyakon Czarnkowski o tym ostatnim fakcie wzmiankuje, o żydowskiej metresie przemilcza. Dalsze okoliczności przez Długosza przywiedzione, wcale wiarogodności Esterki nie podnoszą. Córki z Kazimierzowskiego konkubinatu splodzone miały być wychowanemi w religii żydowskiej, synowie zaś w katolickiej. Długosz podaje imiona tych synów: Niemira i Pełka. Imiona te wziął Długosz z archidyakona gnieźnięskiego, który, z okazji przyjęcia testamentu i tranzakcyj testamentowych, przytacza imiona naturalnych synów Kazimierza W. Oba te ustępy tak są pogmatwane, że wszystko się z nich da wyprowadzić“. Iluż to uniesień i podziwów był przedmiotem Mickiewiczowski Konrad Wallenrod, co zdradziecką służbą wrogiemu zakonowi pragnął pomścić własną ojczyzną Litwę. Jakimże był w rzeczywistości i w historii ów sympatyczny bohater? Tolkmięki mnich z pocz XV w. Szymon Grunau przedstawia nam w. mistrza krzyżaków, jako najczarniejszy charakter, ja-



ko męża szatańskiej przewrotności, którego Bóg karze za zbrodnie straszną śmiercią. Inni znowu, jak np. Vogt pojmuje Konrada, jako męża pełnego zasług i sławy, jako mężnego obrońcę, wodza i dzielnego dyplomatę zakonu. Szajnocha przedstawia również Konrada w jasnych kolorach. Antoni Prochaska: (*Konr. Wall. w poezji a w rzeczy*. Przewod. nauk. lwow. 1875 I, 68) widzi w Wallenrodzie wroga mnichów, zakonnic i księży, nawzajem przez nich niecierpianą osobistość. Litewski rodowód Wallenroda jest poetyckim pomysłem. W rzeczywistości był Wallenrod potomkiem frankońskiej szlachty. Jako poseł dyplomatyczny przed Jagiellą wykazał zdolności, jako wódz krzyżaków był miernotą. Sympatyczny Konrad był szkaradnego oblicza. Nie zdobyły Konrada „ubóstwo, skromność i pogarda świata“, gdyż rozrzutność i duma były stanowczemi jego wadami. Co do skromności jego należy postawić znak zapytania. Romanse z damami światowemi nie dowodzą jej zupełnie. Szpecił go przytęm nałóg pijaństwa. Rycerz Mickiewiczowski był tchórzliwym obłudnikiem, co, z udaną pokorą, słał listy i prośby na wsze strony. Wyprawa na Litwę była najazdem, w widokach grabieży podjętym. Wallenrod, w poemacie, ginie, jak samobójca, po nieszczęśliwej wyprawie. W historii przeżywa on tę wyprawę lat parę. Umiera haniebnie. (*Eines schendlichen Todes*). Poetyczna Aldona, owa Dorota z Montowy, nie prowadziła z wieży romansu z Wallenrodem, bo go nawet nienawdziła serdecznie... Sympatyczna postać córki króla Ludwika Węgierskiego *królowej Jadwigi* również nie ocalała pod skalpelem historycznej krytyki. Szajnocha poświęcił Jadwidze najpiękniejsze swe dzieło, a mimo to, że z pod pióra mistrza postać ta wychodzi jasną, świetlaną i czystą, niepodobna oprzec się uczuciu wątpliwości co do tych zalet, gdy się rozważy bliżej stosunek Jadwigi do austriackiego księcia Wilhelma. Szajnocha redukuje ten stosunek do rozmiarów czysto platonicznych, ale obok argumentów historyka jest siła faktów, siła dokumentów, a te wprost na niekorzyść bronionej przemawiają. Moraczewski w *Dziejach Rzplitej*, T. I, 283 i ksiądz Łętowski w *Katalogu*, bliżsi są prawdy, jeśli, opierając się na wersyi Długosza, stanowczo utrzymują, że Wilhelm, na zamku Krakowskim, przez dni 15, żył *matrimonialiter* z Jadwigą... Długosz wyraźnie pisze: *Neque enim a plurimorum notitia sciebat ignoratum, quod cum praefato Wilhelmo duce Austriae post contracta de praesenti sponsalia 15 diebus in thoro, carnali copula etiam subsecuta, manserat.*

Moraczewski wyjaśnia, że Jadwiga w klasztorze Franciszkanów odbywała z Wilhelmem schadzki, przeplatane ucztami i płasami. „Niewiadomo, czy wtedy dopiero, czy później ślub brali, lecz to niewątpliwe, że po ślubie byli“... „Są momenta w historii — ostrzeżę ks. Łętowski, — co je czas poświęci, a do źródła nie chodź, abyś nie czerpał brudnej wody“...

Sądźmy przeciwnie. Po kryniczną prawdę tylko do źródła chodzić należy. Tylko ztamtąd czerpać, a gdy to uczynimy, to i w

historji Jadwigi: Hajmburgskie śluby, zamach na wrota krakowskiego zamku, stosunek do Jagiełły, historia Gniewosza z Dalewic we właściwym ukażą nam się świetle. Jeśli wierzyć Długoszowej wersji o stosunkach Jadwigi z Wilhelmem, trudno toż samo powiedzieć o historii *Gniewosza z Dalewic*. Mniemany ów, zdaniem Długosza, potwarca (*Hist. Pol.*, X, 110), miał uchyliwszy karku, wleźć pod ławę, a po głośnem wyznaniu, że fałszem było i niegodziwą potwarzą, co przeciw królowej Jadwidze nakłamał, głośno zaszczezać (*publicum latratum edidit*). Tak, surowym wyrokiem, ocalono sławę i niewinność Jadwigi. Opowiadanie to powtórzył Szajnocha w całości. (*Jad. i Jog.*, T. IV, 103. Wyd. I). Dr. Caro (*Gesch. Polems*, III, 69 i 646, Beil. II), poddawszy ów fakt krytycznej analizie, dochodzi do wniosku, że scena odszczenia pod ławą jest mitycznem rozwinięciem paragrafu statutu wiślickiego, ale że się w rzeczywistości nie odbyła. Najwięcej dowodów przeciw podaniu dostarcza krytykowi osobistość Gniewosza. Nie był on wcale podkomorzym krakowskim, jak sądzi Długosz, gdyż był nim w latach 1385 i 1393 Spytek z Tarnowa; kasztelan wiślicki. Jeżeli Gniewosz był potwarcią ukaranym, nie mógłby dojść następnie do godności posła przy traktacie z wojewodą Siedmiogrodzkim. Ani jedna z kronik współczesnych (*Hochmeisterchronik w Script. res. pruss.*, III, 609), ani *Pomniki Helcla*, ani *zapiski sądowe* nie wzmiankują o procesie Gniewosza. „Przy opowieści niesnasek między królem i królową—pisze Maurer (*Przewod. nank. lwows.*, 1875, t. II, 1042),—Długosz powiada, że sprawcą ich w r. 1388 był Gniewosz. I dlaczegoż to zaraz nie wytoczono mu procesu? a gdy drugim razem małżonkowie znów się godzą, pocóż cały ten proces? I dlaczegoż to Długosz, który tak lubi przytaczać całe szeregi świadków (np. w procesie w r. 1427 wytoczonym Sonce, czwartej żonie Jagiełły), nie przytacza nam więcej imion z owego „grona panów do tej sprawy zebranych, jak tylko Jaśka z Tenczyna, lub owych 12 rycerzy, co pomścić chcą szarpnięcie się na sławę Jadwigi, lub wreszcie dlaczego Długosz więcej imion donosicieli nie wymienia, tylko właśnie Gniewosza. Gdzież to zresztą jest w statutach uzasadnione, aby magnatowi kazać leżeć pod ławę? nie mówiąc już o szczenianiu... Zważywszy przeto — kończy Maurer,—iż ani w zapiskach sądowych owego czasu, ani w kronikach współczesnych niema o procesie żadnej wzmianki, że dalej Długosza w *Historji Polskiej* sprzeciwia się temu, co w księdze nadał o tym samym Gniewoszu powiedział, że sceny podczas procesu opowiedziane nie mają uzasadnienia w statutach, — że nakoniec Gniewosz, od czasu procesu, w łaskach u dworu wzrasta, przychodzimy do wniosku, iż Długosz cały proces wysnuł sobie z fantazyi, a jako ofiarne gozła, wybrał sobie Gniewosza z Dalewic, którego, z niewiadomych nam przyczyn, nie lubi“.

Zwróćmy się w stronę innych faktów.

Powtarza się, w każdym podręczniku historycznym, podejrzenie, rzucone przez Długosza, że Witold, pragnąc zerwać, ciężące na nim, więzy unii z Polską, starał się o litewską koronę, u Zygmunta Luxemburczyka, i w ten sposób, starca, który posiwał, spełniając wiernie artykuły horodelskie, obwiniają o zdradę. Otwarte podwoje archiwum krzyżackiego doprowadziły historyka Prochaskę do przekonania, że takie oszczerstwo, rzucone na Witolda, jest wynikiem złej woli lub nieuctwa. (Prochaska: *Ostatnie lata Wit.*, 1882).

Utrzymują, że zdrajcy Glińskiemu wylupiono w Moskwie oczy. Wyśpiewał ów fakt Niemcewicz. Z tem wszystkim, wieść ta nie ma podstawy. Gliński, oskarżony przed Heleną Iwanówną, iż z bojarem Woroncovem chce opanować rządy, został uwięziony i trzymany w lochu. Umarł 15 września 1534, mówią, że z głodu. Pochowany został za Jamskim dworem, a nazajutrz odwieziony do monasteru św. Trójcy. (Jul. Bartoszewicz: *Enc.*, IX).

Chwilę zgonu Kopernika przedstawiają dramatycznie. Gassendi, w życiorysie astronoma, opowiada, że Kopernik, na łożu śmierci, otrzymał egzemplarz swego pomnikowego dzieła i w parę godzin później, skonał. Istotnie, Kopernik umarł, ale w kilka dni po owym fakcie (*Kosmos*, III, 344, 497). Twórcą legendy o śmierci Kopernika był kanonik Donner. Przez niego i Gizegó rozpowszechniła się owa legenda. Ks. Polkowski (w żywocie *Kopernika*) ostrożnie się wyraża, iż przyniesie księgi Kopernikowi odbyło się „na parę dni przed jego zgonem—czy też tego samego dnia“ (str. 240).

Królowi Olbrachtowi przypisują zamiar wyprawy na Turka w r. 1497. Dr. ŁSt. Lucas, w *Albumie młodz. polskiej, poświę. J. I. Kraszewskiemu*, Lwów, 1879, dowiódł, że mniemanie takie stanowi fałsz historyczny, popełniony przez kronikarza Bern. Wapowskiego, za którym poszli i inni. „Wapowski zrobił z Olbrachta bohatera chrześcijańskiego, piastuna wielkiej idei, któremu zdawałoby się, tylko męczeństwa brakuje, człowiekiem nieustanną myślą nieszczęście chrześcijaństwa trapiącym“. Klęskę szlachty na Bukowinie wyrażoną w przysłowiu: „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta“ i przypisywaną radom Kallimacha odnieść należy do zupełnie innego powodu. „Podejrzenie to jest niedorzeczne—pisze Korzon (*Hist. powsz.* III, 205) bo jakiś plan może być wykonywany przez porażki i klęski? Kallimach umarł przed wyprawą (1496) mógł on pouczać dawniej Olbrachta o tajemnicach polityki włoskiej, zachęcał do utworzenia przeciwko Turcyi przymierza z Polską, Cesarstwem i Wenecyą, mówią w czasie poselstw i pismami, lecz tak zwane „Rady“ jego są późniejszą trawestacją satyryczną“.

Co głosi tradycja o królowej Bonie? Wszyscy zniesławiają jej pamięć. Była to mównia niewiasta ambitna, chciwa, guiewliwa, podstępna, trucicielka... istne wcielenie niegodziwości. Wszelako Bona nie otruła nikogo, nikogo, „należała do najrozumniejszych kobiet w Polsce ówczesnej; pełno wszędzie napotykanymy śladów chara-



kteru i rozumu Bony... Kochała wielkość Jagiellońskiej Polski — pisze Bartoszewicz — i wielkość swojej dynastji i przestrzegala wszędzie z godnością powagi tronu polskiego". (*Enc. Orgel.*, IV, 23). A Barbara Radziwiłłówna? Uczony Starowski zachował napis na nagrobku Barbary, nieodżałowanej towarzyszkji Zygmunta Augusta, postaci tysiakkrotnie już wskrzeszonej w poezji, w malarstwie i tradycji. „Niejednemu pomogła, nikomu nie szkodziła“, tak brzmiał ów napis. Powtarzano bardzo często ów frazes o królowej Barbarze. W życiu prywatnem jestto bezwątpienia dostateczny tytuł do chwalby. „Atoli dla bohaterki dziejów — nadmienia Szajnoch — zbyt blada to aureola. Przy wielkich postaciach historycznych, przy ofierze królowej Jadwigi, przy bohaterstwie Chrzanowskiej — gwiazda Barbary przygasa... Wielkość historyczna wykwiła z wyczajnie z wielkości poświęcenia, a Barbara niczego nie poświęciła, Barbara własnego jedynie pragnęła szczęścia“. (*Dziela*, t. I, 197). Toż samo dałoby się powiedzieć o Annie Jagiellonce. Jaką była Anna Jagiellonka w historii? wyjaśnia to jej postępowanie podczas elekcyi. „Pięćdziesięcioletnia owa dziewica o niczem innem nie marzyła, jak o królewskim małżonku... Anna na całą kwestyą elekcyi zapatrywała się ze stanowiska osobistego: w jej oczach ten byłby królem najlepszym, ktoby się przyrzekł z nią ożenić. W stan chorobliwy niemal przeszła w niej ta żądza małżeństwa, narażała ją na śmieszność i na obmowę. Ale infantki nie zrażało to wszystko: za obietnicę małżeństwa gotowa była każdego popierać swym wpływem“. (*Zakrzewski: Po uciecz. Henr.*, 370).

Czy wyświetliła wistorya dokładnie dzieje Samozwańca Dymitra i żony jego Maryny Mnischówny? Szujski twierdzi, że znalazł ścisłą spójnią między awanturą samozwańczą a rokoszem Zebrzydowskiego, lecz związku tego dopatrzeć się niepodobna. Kto był Dymitr? Hermann, w *Gesch. Russl.*, III, 784, nazywa go synem naturalnym Batorego. Ks. Jan Wielewicki mieni go wychowawcem Jezuitów, czemu Szujski przeczy. Jaki był koniec Maryny? Petrejus twierdzi, że jej podruzgotano twarz, inni zapewniają, że Marynę utopiono pod lodem. Pewniejsza wszakże, że zginęła w więzieniu (Szujski: *Rozstrz. hist.*, I, 96).

Jakże wygląda wygląda „prorocy a nieszczęśliwy“ Jan Kazimierz w świetle nieuprzedzonej krytyki? „Żołnierz Jezuita, kardynał, król, tułacz, jak niektórzy chcą, prorok, ex-król, opat bogatego klasztoru, w 80 roku życia jeszcze niestatecznością swoją pisarzów zabawiający, mógł Jan Kazimierz, tą pozorną tragicznością swych kolei, budzić współczucie u ludzi, którzy zdala i przeważnie, jako na króla polskiego, na niego patrzyli, lecz przyrzawszy się tej tragiczności bliżej, rażą i oburzają nas jej płocze rysy“. (J. K. Plebański; *Jan Kazim. Waza*, 1862). Słowa Jana Kazimierza „*utinam falsus vates sim...*“ uważane jako proroctwo, redukują się w świetle naukowej krytyki do streszczenia traktatów, które

z Karolem Gustawem elektor brandeburski i Rakoczy zawierali. a potem do opisania pretensyi, z któremi tak Austria, jako i W. Ks. moskiewski, występował, gdy Jan Kazimierz z nimi przeciw Szwedom związku szukał. „Jan Kazimierz tedy nie nie powiedział nadzwyczajnego, ale to, na co cały kraj patrzył. Ozdobił to tylko retorycznym, w owych czasach bardzo używanym frazesem: *utinam* etc.“

Kubala, w *Szkicach hist.* (I, 149) żywi dla Jana Kazimierza z powodu traktatu Chmielnickim „śmiertelną pogardę“.

A Marya Kazimiera?

Owa najśliczniejsza serca królewskiego Marysienka „była w rzeczywistości Xantypą, której próżność nawet praw natury łamać się nie wzdrygała“. (Plebański: *ibid.*).

Ocalenie Trębowli w r. 1675 przypisują pięknej „Judycie“, Zofii Chrzanowskiej, zonie neofity, Samuela Chrzanowskiego, która żarliwą przemową pobudzić miała do walki zniechęconego dowódcę i sprowadziła porażkę Turków. Za to bohaterstwo uczcił miano Chrzanowską kamiennym pomnikiem, a Aleksander Lesser wymalował heroinę z dwoma nożami, jak każe Wł. K. Wójcicki, rzucającą się na męża z okrzykiem: „Zabiję ciebie jednym, a siebie drugim nożem“! Z tem wszystkim C. Biernacki (*Enc. Orgelbr.*, XXV, 542) fakt istnienia pomnika do rzędu podań zalicza.

Twierdzenie, jakoby Bohdan Chmielnicki w r. 1621, w czasie obężenia Chocima przez Turków i Tatarów, odniósł świetne zwycięstwo na Czarnem morzu i zatopiwszy 12 statków tureckich, sam Carogród nabawić miał śmiertelnego strachu, jest wietrutnym fałszem. „Nigdy, a nigdy—pisze Szajnocha (*Dziela*, t. IV, 5) — nie stało się takie zwycięstwo, takie zatopienie okrętów i taki postrach, Stambułowi zadany przez Chmielnickiego, który od pierwszych dni października 1620 r., t. j. w dniu ostatecznego rozbicia pod Cecorą, u brzegów Dniestru, dostał się w dwuletnią, do pierwszych dni października 1622 r., niewolę w Krymie i w murach carogrodzkich. Chmielnicki nigdy nie rozbijał po Czarnem morzu“.

## VII.

Tym sposobem, wytrząsnąwszy z woreczka dziejów grubsze orzeszki o pozłacanej lupinie, dla zabawy ludzkości wybrane, okazało się, że orzeszki te są wewnątrz puste, lub też, że zawartość ich przez robaka nieprawdy lub przesady stoczoną została. Fantazyjki historyczne owe, przez Herstleta nazwane: *Treppenwitzse der Weltgeschichte*, mają swoje okrośnione piętno. *They o'erstep the modesty of nature*—jak mówią anglicy. Radeby zawsze wszystkie wypadki wtłaczać w arystoteliczne jedności. Można by istotnie bardzo wiele ze sobą zestawić katogoryj, służących do dokładnego sprawdzenia podobnego rodzaju historycznych anekdot. I tak, można uważać za

podejrzane wszelkie opowiadania i wieści, w których kabalistyczna cyferka siedm odgrywa rolę główną; wszystkie sceny, które w malarstwie, poezji, legendach zwłaszcza, sławione lub też uscenizowane bywają; anegdota o pierwszych czynach młodych geniuszów, o ostatnich słowach umierających, jeżeli takowe w zupełności trywialnemi nie są; dalej, wszelkie, podczas wrzawy wojennej głoszone frazy, wszelkie jakoby spełnione proroctwa, wszelkie opowiadania, w których nazwiska bohaterów lub sceny ich działalności, rażąco do czynów ich lub nazwisk pasują; dalej, większość wersyj, wyjaśniających pochodzenie herbów, dewiz, nazwisk, miast, ziem i rodzin i wszystkiego, co typowem i alegorycznem się stało, wszystko, co jest epokowem, wruszającym, porywającym, lub też płaskim i odrażającym. Historia nie jest poetyczną. Dzieje ludzkie odbywają się i urabiają bardzo prozaicznie. Historia nie tworzy się frazesami i pięknymi słówkami. Na dnie większej ozięci czynów wielkich spoczywają drobniutkie pobudki ambicyi, interesu osobistego, żądzy przewagi, a nadewszystko poziomego instynktu samozachowawczego, wyłączającego poetyczną aureolę... Fantazyjki historyczne, przekazywane tradycją, sławione wierszem, pędzlem i dżutem, podobne są do pięknych ilustracji tekstu i dlatego też przedewszystkiem zwracają na siebie uwagę tłumów. One to wdrażają się najłatwiej w pamięć, łatwiej nad tekst właściwy. Barwa danego przedmiotu stanowi to, co nam przedewszystkiem wpada w oko, choć jest rzeczą najmniej ważną... Lecz dziecko, ciągle na obrazki spoglądające, czytać się nie nauczy. Chwyta ono tylko symbole, bawi się niemi, nie wiedząc co oznaczają. Jestto również wadą parlamentaryzmu, że w parlamentach bardziej się zwraca uwagę na kłótnie mówców, wymianę słów i kwestye czysto incydentalne, aniżeli na dysputy w ważnej kwestyi—budżetowej... Z tem łączy się również, że mowy, których się gładko słucha, czytają się źle i na odwrót te, które się dobrze czytają, w słuchaniu wychodzą gorzej. (Plutarch: *Demosthenes*, 11). Właściwy powód, dla którego owe fantazyjki historyczne wrażają się łatwo w pamięć, leży w tem, że się w nich odbija pewna tendencya jednostki, stronnictwa, sekty, narodu, epoki i t. d., podczas gdy w rzeczywistości tendencya taka nie znajduje pola swobodnego i musi się do kompromisu skłaniać. Istotnem, łudzącem złem we wszystkim, co jest teatralnem, jest owa dążność do zwycięstwa bez walki... Radość i zachwyty, odczuwane w obec takich tendencyjnych anekdotek, równają się wrażeniu, wywieranemu na nas sztucznie wywołanem, fizycznem lub chemicznem doświadczeniem, podsuwając nam przed oczy działania pewnej naturalnej siły w drobnych rozmiarach, oddzielone od zewnętrznych wpływów, które nigdy w przyrodzie właściwej miejsca niema. W takich tendencyjnych anekdotkach historia pragnie to wykrystalizować ze siebie, co natura daje naukom przyrodniczym, w wydarzeniach zwanych przez anglików: *glaring instances* (*instantiae ostensivae*, Bakona Werulamskiego. *Nor.*



*Org.*, II, 24). Anekdoty te komponują się dla ludzi, schlebiając wyłącznie ich próżności; podczas gdy wydarzone rzeczywiście fakta takimi nie bywają... To, co jest wymarzonem, jest po większej części nieprawdziwem, ztąd też anekdotki historyczne sprawiają na nas wrażenie sztuczne, zadawalniają nas, podczas gdy rzeczywista historia, jako umiejętność, a nie sztuka, nigdy nas nie zadawalnia... Tem się również wyjaśnia, dlaczego anekdotki tego rodzaju wrażają się łatwo w fantazję i pamięć malarza, rzeźbiarza, retora i romansopisarza. Historia traci z wolna swoją kunsztowną powłokę, przybierając znamiona nauki suchej i skłaniając się z wolna ku statystyce, tak, iż, kto wie, czyli nie dojdzie z czasem do zupełnego owych nauk zrównania, a piękne i romantyczne epizody dziejów *post factum* skomponowane, kto wie, czy nie będą stanowić odrębnej umiejętności. Dzisiejsze niektóre dzieła historyczne, w których autor na każdej stronicy musi w dopiskach prostować owe bajki, sprawiają wrażenie kogoś, kto by pisząc, nieustannie, od much się natarczywych opeędzał. Ze statystyki i historii wyprowadzą się z czasem elementarne prawa, rządzące losami społeczeństw, tak jak prawa Keplera z pilnych obserwacyj Tychona, a prawa dziedziczności i powinowactwa organizmów z mozolnych badań nowoczesnych przyrodoznawców. Już w oczach naszych staje się historia umiejętnością, a przestaje być lexikonem chronologicznym powieściowych faktów, lub też wyliczeniem bitew. Jestto ulubione porównanie Bakona, że czas, jak strumień, to, co lekkie i puste, na wierzch wyławia, ciężkie zaś i spójne pozostawia na dnie. W ogólności biorąc, zdanie to, być może, trafnem nie jest, lecz tu, w tem miejscu, jest zasadnem, a tak jak dzieciom podaje się morał w końcu bajek, tak narodom podaje się go w naczyniu mytów i wierzeń, ludziom ukształconym zaś pod formą anekdot, jako tym, którym zbywa na rzeczy najpożądanšej dla nauki—na czasie...

# Robotnicy przemysłowi i opieka nad nimi

CZYLI TAK ZWANA

Kwestya robotnicza. \*)

Przez

Witolda Łateńskiego.

## Opieka nad robotnikami w Belgii.

Wzorem państwa kapitalistycznego jest Belgia. <sup>1)</sup> Nie posiada ona dotąd żadnego prawa fabrycznego, pomimo dawniejszych rozporządzeń, ankiet i projektów do praw. Obowiązuje bowiem dotąd dekret cesarski z d. 3 Stycznia 1813 r., zabraniający używać do robót w kopalniach dzieci do 10 lat wieku. Wskutek znakomitęj pracy p. Dupetiaux o pracy nieletnich, postanowioną została ankietą urzędowa dla zbadania stosunków roboczych w przemyśle i w kopalniach. Rezultaty jej wydrukowano w dwóch tomach w 1846 i 1848 r. Sprawozdawcy komisji, prowadzącej wyżej wspomnianą ankietę, Dupetiaux i Vischers przygotowali projekt do prawa, ograniczającego pracę dzieci w fabrykach, ale ten projekt upadł wskutek oporu przemysłowców. W czasie następnym ministerjum Rogier przygotowało nowy projekt do prawa, ale podczas rozpraw 1869 r. ministerjum liberalne Pirmez i Frère-Orban, które zastąpiło poprzednie, okazało się przeciwne wszelkim ograniczeniom prawnym. W skutek jednak ruchu socjalistycznego w Belgii i ciągłych nieporządków robotniczych, potrzeba przepisów prawodawczych coraz bardziej czuć się dawała. Rozkaz królewski z d. 28 Czerwca 1884 r. zabronił używać do pracy w kopalniach chłopców do 12 i dziewcząt do 14 lat wieku. Rozkaz królewski z d. 15 Sierpnia 1886 r. utworzył komisją robotniczą, która

\*) Dokończenie. Zob. Zesz. na mies. listopad r. b.

<sup>1)</sup> Viktor Mataja Arbeiterschutzgesetzgebung in Belgien. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. str. 467.

przedsięwzięła ankietę na wielką skalę, powołując przed swój trybunał także robotników. Rezultaty tej ankiety są dotychczas bardzo skromne. Prawo z d. 16 Sierpnia 1887 r. zabroniło wypłaty zarobków nie w monecie obiegającej i powołało do życia nadzorczych radców przemysłu i pracy. Prawo z d. 28 Maja 1888 r. zajęło się opieką nad dziećmi w przemysłowcach koczujących, jakimi są: akrobaci, tancerze na linach, w cyrkach i t. p. Na sesji parlamentu z d. 17 Czerwca 1887 r. przedstawił rząd projekt prawa, stawiającego jak najmniej przepisów ściśle oznaczonych, pozostawiając zarazem najwięcej swobody dla rozporządzeń rządowych, ażeby tym sposobem dać możność uwzględnienia stosunków indywidualnych pojedynczych gałęzi przemysłu. W obradach parlamentarnych 1889 roku przeważały interesa jednostronne przemysłu i uwidocznił się brak wszelkiego socjalno-politycznego wykształcenia pomiędzy deputowanymi. Przeciwno święceniu niedzieli i świąt wystąpiła partya liberalna, uważając ten przepis za przeciwny konstytucyi, oprócz tego znalazł się silny opór przeciwko prawnej opiece nad kobietami; zgodzono się tylko na niedopuszczanie do stałych zajęć dzieci przed 12 rokiem, a jako maximum pracy dzienniej oznaczono 12 g., zabroniono pracy nocnej, wprowadzono odpoczynek jednego dnia w tygodniu dla osób zostających pod opieką prawa; zabroniono używać do robót podziemnych kobiet do 21 lat wieku i przewidziano wypadki, w których można odstąpić od przepisów prawa, zastępując je postanowieniami przechodniemi. Rząd wyznacza urzędników, którym nadzór nad wykonaniem prawa ma być powierzony. Powyższy projekt prawa fabrycznego jeszcze nie został zatwierdzony przez senat.

### Prawodawstwo opiekuńcze w Holandyi.

W Holandyi <sup>1)</sup> do czasów ostatnich nie było praw opiekuńczych nad pracującymi w fabrykach. Początek stanowi tu prawo z d. 19 Września 1874 r., zabraniające zatrudniać dzieci przed ukończeniem 12 lat wieku. We Wrześniu 1886 r. utworzoną została parlamentarna komisya, która w lipcu 1887 r. przedstawiła swoje sprawozdanie wraz z wnioskami. Wykryte nadużycia poruszyły opinią publiczną i po długich rozprawach uchwalono prawo (d. 5 Maja 1889 r.) zabraniające zatrudniać dzieci przed ukończeniem 12 l. wieku. Pozostawiono zaś rządowi oznaczenie zajęć, w których, z powodu niebezpieczeństw, zagrażających życiu i zdrowiu, używanie do pracy nieletnich aż do 16 lat wieku i kobiet, ma być zupełnie zabronione, albo dozwolone tylko pod pewnemi warunkami. Praca nieletnich do 16 lat i kobiet w fabrykach i warsztatach nie może trwać dłużej nad

<sup>1)</sup> A. Kordijk Arbeiterschutzgesetzgebung in den Niederlanden. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. str. 469.



11 godzin dziennie i to w czasie od 5 g. rano aż do 7 g. w wieczór, z odpoczynkiem obiadowym najmniej jednej godziny. Wyjątki co do godzin rozpoczęcia i ukończenia pracy w fabrykach, są dopuszczalne drogą rozporządzeń rządowych, ale na 24 g. nie powinien robotnik być zajęty dłużej nad 11 g. i od 1 Stycznia 1892 r. nie będzie dozwolona praca nieletnich aż do 14 lat i kobiet w czasie od 10 g. w wieczór do 5 g. rano. Władze lokalne i prowincjonalne władne są przedłużyć czas pracy o 2 godziny dziennie w wypadkach nadzwyczajnych i tylko na kilka dni. W niedziele nie wolno zajmować nieletnich i kobiet. Położnice uwolnione są od pracy w fabrykach w ciągu 4 tygodni po rozwiązaniu. Utworzono 3 posady inspektorów przemysłowych i wydano przepisy specjalne w razie wydarzonego nieszczęśliwego wypadku w fabryce.

Powyższe prawo, pomimo całej swój doniosłości, nie uczyniło jeszcze zadość wszelkim wymaganiom i dlatego przyobiegał rząd przedsięwzięcia nowego projektu o środkach zabezpieczenia zdrowia robotników w fabrykach i warsztatach. Z pod działalności prawa 1889 r. wyjęte zostały zajęcia rolnicze, ogrodnictwo, leśnictwo, chów bydła i praca w torfiarni.

### Prawa opiekuńcze nad robotnikami w Danii.

Z pomiędzy państw skandynawskich ogłosiła D a n i a <sup>1)</sup> (23 Maja 1873 roku) prawo, dotyczące pracy dzieci i nieletnich w fabrykach i warsztatach. Pod nadzorem fabrycznym znajdują się w Danii przedsiębiorstwa prowadzone fabrycznie oraz takie, które zatrudniają osoby mniej niż 18 letnie. Dzieci przed ukończeniem 10 lat niewolno zatrudniać w fabrykach. Dzieci w wieku od 10 do 14 lat nie powinny pracować w ciągu 24 godzin więcej nad 6½ g. dziennie, z których ½ g. przypada na odpoczynek i niewolno im rozpoczynać pracy przed 6 g. rano a kończyć po 8 g. wieczór. Nieletni obu płci od 14 do 18 lat wieku nie powinni pracować więcej nad 12 g. dziennie w fabrykach i warsztatach i tylko podczas dnia t. j. od 5 g. r. do 9 g. w. W ciągu 12 godzin pracy postanowiono 2 godziny odpoczynku, z których 1½ g. przed 3-cią g. po południu. Policja zdrowia może nakazać wyznaczenie osobnych lokali nieletnim robotnikom dla odpoczynku i spożycia pokarmów. Dzieci nie powinny być używane do pracy w nocy, w niedziele i święta kościoła narodowego. Niewolno także używać dzieci i nieletnich do oczyszczania machin w fabrykach i warsztatach podczas ruchu. Właściciel fabryki, zatrudniający dzieci lub nieletnich, powinien o tém zawiadomić piśmiennie władzę policyjną. Wyciąg z prawa fabrycznego powinien być wywieszony w fabryce, w miejscu dostępnem dla

<sup>1)</sup> Petersen-Studnitz. Arbeiterschutzgesetzgebung in Dänemark. Handbuch der Staatswissenschaften, str. 475 i nast.

robotników, wraz z adresem inspektora pracy. Dwóch takich inspektorów, w zależności od ministra spraw wewnętrznych, czuwa nad wykonaniem prawa i przedstawia sprawozdania roczne. Prawo powyższe nie jest wystarczającym i zewsząd podnoszą się głosy, dopominające się jego uzupełnienia i rozszerzenia. Rząd proponuje, aby rozszerzyć zakaz przyjmowania dzieci do fabryk do ukończonych; lat 12 wieku, zamiast obowiązujących dotąd 10 lat skończonych; z drugiej strony wymagają robotnicy oznaczenia normalnego albo maximalnego dnia pracy, przeciwko czemu występują energicznie pracodawcy.

Osobne prawo z d. 14 Lutego 1874 r. zabroniło wytwarzania zapalek z białego fosforu i dozwoliło fabrykacji tylko takich, które zapalają się przy potarciu o pewne specjalnie przygotowane powierzchnie. W skutek tego zakazu wszystkie fabryki zapalek w Danii zostały przerobione na sposób szwedzki.

12 Kwietnia 1889 r. wydane zostało prawo o zapobieganiu wypadkom przy użyciu machin. Przy niebezpiecznych machinach rolniczych mogą być zajęte dzieci do 10 lat wieku tylko przy ciągłym nadzorze ich rodziców. Prawo to nakazuje, żeby zabudowania, w których praca odbywa się przy pomocy machin, były dobrze oświetlone i dozwala ministrowi sprawiedliwości zabronić użycia pewnych gatunków machin centryfugalnych do wyrobów nabiału, które okazały się jako szczególnie niebezpieczne. Dla nadzoru pod tym względem, prócz inspektorów fabrycznych, mają władze gminne naznaczać osobnych nadzorców dla małych miasteczek i wsi. Lekarz obowiązany jest zawiadomić władzę o każdym wypadku leczenia osoby skaleczonej przez maszynę.

### Prawa opiekuńcze nad robotnikami w Szwecyi.

Prawo opiekuńcze nad robotnikami postanowiła Szwecya dopiero 10 Maja 1889 r. <sup>1)</sup>; ale istniały już wcześniejsze przepisy, dotyczące pracy nieletnich robotników. Prawo z dnia 18 Listop. 1881 r. zabrania zatrudniać dzieci do ukończenia 12 lat wieku w fabrykach, rzemiosłach i innych zajęciach; nieletni aż do 14 lat wieku nie mogą pracować więcej nad 6 g. dziennie z pauzą pół godz., nieletni do 18 lat najwyżej 10 g. z pauzą 2 godzinną. Pracy nocnej nie dozwala się nieletnim. W kopalniach i łomach kamieni nie mogą być zatrudniane dzieci do 14 lat i kobiety do 18 lat wieku. Powyższego prawa mało jednak przestrzegano. Złożyły się na to dwie okoliczności, najprzód, że nadzór nad wykonaniem prawa powierzony był władzom komunalnym i powtóre, że zarówno rodzice dzieci jak i pracodawcy nie mieli ochoty zastosować się do przepisu pra-

<sup>1)</sup> Pontus Fahlbeck Arbeiterschutzgesetzgebung Schwedens u. Norwegens. Handwörterbuch der Staatswissenschaften. str. 477.

wa. Osobne przepisy wydano dla fabryk zapalek (prawo z d. 18 Lutego 1870 r.), odnoszące się do użycia fosforu i do zapobiegania wypadkom nekrozy fosforycznej u robotników. Również wydane zostały osobne przepisy dla kopalni i zakładów górniczych w d. 16 Maja 1884 r. Nakoniec na zalecenie parlamentu utworzona została w r. 1884 r. osobna komisya dla zbadania stosunków robotniczych i wypracowania projektu prawa, opiekującego się robotnikami.

Po pięcioletnich pracach przygotowawczych ogłoszono w d. 10 Maja 1889 roku prawo, odnoszące się do opieki w razie wypadku w przemyśle. Prawo to nie dotyczy przemysłu drobnego, górnictwa i budownictwa i zaleca rozmaite środki dla ochrony od wypadków i chorób. Głównym środkiem jest wyznaczenie trzech inspektorów fabrycznych, którym powierzono także nadzór nad pracą nieletnich robotników. Opozycja w parlamencie wymogła wyłączenie małego przemysłu z pod działalności nowego prawa.

### Opieka nad robotnikami w Norwegii.

W Norwegii przepisy ogólne o ustanowieniu komisji sanitarnych z d. 16 Maja 1860 r. zalecają dokładną wentylację w lokalach, w których zatrudnioną jest znaczniejsza ilość osób.

Szczególne przepisy dotyczą miasta Christianii. Kilka ogólnych przepisów zawiera prawo górnicze z dn. 14 lipca 1842; osobne zaś prawo z dn. 17 czerw. 1885 r. reguluje czas pracy w piekarniach. W 1885 r. utworzoną została komisya parlamentarna, która pod koniec 1887 r. wygotowała projekt prawa o opiece nad robotnikami przy pracy, o pracy dzieci, nieletnich i dorosłych robotników. Komisya proponuje ograniczyć dzień pracy robotników, mających więcej niż 14 lat wieku, do 10 g. dziennie. Projekt powyższy jeszcze nie przeszedł przez ogień rozpraw parlamentarnych i nie został przyobleczony w formę prawa.

### Prawa opiekuńcze nad robotnikami w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Rząd związkowy Ameryki Północnej nie wydał dotąd prawa, któreby się mogło odnosić do całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych, i któreby miało na celu ochronę życia, wolności oraz interesów robotników. Wszystkie sprawy tej kategorii pozostawiano kontroli i prawodawstwu Stanów pojedynczych. Wydano tylko przepis ogólny, ograniczający do 8 g. dziennie pracę listonoszów w całej Unii. Prawodawstwa pojedynczych stanów różnią się bardzo pomiędzy sobą. Większa część praw opiekuńczych wydaną została po wojnie wewnętrznej, ukończonej w 1865 r. Jedno z najdawniejszych jest



prawodawstwo stanu Connecticut, w którym znajdują się przepisy jeszcze nawet z r. 1650 <sup>1)</sup>. W tym stanie podług prawa z 1842 r. żadne dziecko, nie mające 15 lat skończonych, nie może być zajęte przy pracy przemysłowej, jeżeli podczas poprzedzających 12 miesięcy nie uczęszczało do szkoły publicznej lub prywatnej przynajmniej w ciągu 3 miesięcy. To samo prawo ogranicza pracę dzieci przed ukończeniem 14 lat wieku w przędzalniach bawełny do 10 godzin dziennie. W 1855 roku zabroniono zatrudniać w fabrykach i warsztatach dzieci przed ukończeniem 9 lat wieku. W 1856 roku posunięto wiek, od którego mogą być używane dzieci do pracy w fabrykach, do 10 lat skończonych i ograniczono 69 godzinami tygodniowo pracę nieletnich w wieku od 10 do 18 lat.

Prawodawstwo fabryczne jest najbardziej rozwinięte w stanach Nowej Anglii: Mainu, Newhampshire, Vermont, Massachusetts, Rhode-Island, Connecticut. Najbardziej do nich zbliżają się Stany środkowe: New-York, New-Jersey i Pensylwania. Z małymi wyjątkami stany południowe nie zdobyły się dotąd na żaden przepis prawodawczy, rozciągający opiekę nad robotnikami.

Prawodawstwo amerykańskie <sup>1)</sup> rozróżnia prawa fabryczne (factory laws) od praw górniczych (mining laws). Dla zabezpieczenia osoby robotnika wymaga przepis stanu Connecticut, żeby, za wyłączeniem parteru, każde piętro fabryki było zaopatrzone w więcej niż jedno wyjście, mianowicie żeby miało schody wewnętrzne i drugie urządzone zewnątrz gmachu na wypadek pożaru. Podobne przepisy istnieją w Rhode-Island i w Illinois.

Przepis ostatniego stanu wymaga prócz tego, żeby na każde 50 zajętych osób był jeden aparat ratunkowy od pożaru. W innych Stanach wymaga prawo, żeby w każdym lokalu przynajmniej przy jednem oknie była przytwierdzona lina albo łańcuch, któreby służyły do ratunku w czasie pożaru. Wszelkie walce, koła zębatę i w ogóle wszelkie części niebezpieczne machin powinny być ogrodzone albo zabezpieczone specjalnymi przyrządami.

Praca dzienna dorosłego robotnika wynosi 10 g. w stanach Maine, Minnesota, Nebraska, Ohio i Rhode-Island; 8 g. w stanach: California, Connecticut, Illinois, New-York i w Pensylwanii. Normalny dzień pracy kobiet wynosi 8 g. w Wiskonsin i 10 w Dakota, Massachusetts, Michigan i w Minnesota. Zabrania zatrudniać dzieci aż do 10 lat wieku prawodawstwo stanów: Michigan, Massachusetts, Rhode-Island, Vermont; — aż do 12 lat wieku — New-Jersey (dla chłopców), Kansas, Indiana; aż do 13 lat wieku, prawodawstwo Pensylwanii; aż do 14 l. New-Jersey (dla dziewcząt) i Ohio. Nieletni robotnik nie może być zajęty dłużej nad 8 g. dziennie w Californii i Wiskonsin (dla osób do 18 lat wieku) — 10 g. w Connecticut (oso-

<sup>1)</sup> Clintou R. Woodruff Arbeiterschutzgesetzgebung Amerikas. Handwörterbuch der Staatswissenschaften, str. 492.

by do 15 l. wieku), Indianie (osoby do 18 lat), Maryland (osoby do 16 lat), Massachusetts (do 18 l.), Michigan, od 10 do 18 l.), Minnesota (osoby do 18 l.), New-Hampshire (osoby do 16 l.), Vermont (osoby między 10 i 13 latami). Obowiązek odwiedzania szkoły wynosi przeciętnie 3 miesiące rocznie dla dzieci do 16 lat wieku.

Prawo robotników stowarzyszania się uznaje prawodawstwo stanów Pensylwanii, Marylandu i New-Yorku. Wolno jest robotnikom, czy pojedynczo czy zbiorowo, zaniechać pracy, jeżeli podług ich rozumienia zarobki są niedostateczne, albo obejście złe, albo zachodzą inne okoliczności, przeciwne zasadom ich związków, bez narażenia się na odpowiedzialność sądową za złamanie kontraktu najmu. Zabrania nawet prawo pociągać do odpowiedzialności osoby, które drugich wstrzymują od pracy albo przeszkadzają w szukaniu zajęcia.

W ogóle nie widzimy odpowiedzialności przedsiębiorców za wypadki. Tylko w czasach ostatnich rozwinęła się agitacja, dążąca do zaprowadzenia odpowiedzialności sądowej. Cały szereg Stanów uznał konieczność zmian prawodawstwa obowiązującego — w tym kierunku. Obecnie, jeżeli tylko przedsiębiorca postawi na swe miejsce dozorcę albo pełnomocnika, uwalnia się od odpowiedzialności za uszkodzenia osobiste robotnika. Prawo uwalnia przedsiębiorcę od wszelkich zobowiązań, wypływających z uszkodzenia jego robotników, jeżeli przyczyną nieszczęśliwego wypadku jest niedbalstwo zastępcy odpowiednio upelnomocnionego. To postanowienie, uwalniające od odpowiedzialności wielkich przedsiębiorców, uwalnia również i korporacje i stowarzyszenia.

Prawo górnicze stanu C o l o r a d o, które posłużyło za wzór prawodawstwu górniczemu innych stanów, zawiera przepisy, zabezpieczające życie pracujących w kopalniach, przepisy, dotyczące wentylacji, naznaczenia osobnych majstrów górniczych dla każdej kopalni i ilości zajętych w nich górników. Dzieci przed ukończeniem 12 lat, kobiety i dziewczęta wszelkiego wieku, nie mogą być użyte do pracy w kopalniach, jak również chłopcy do 16 lat wieku, jeżeli nie umieją czytać i pisać. Bardzo skutecznie w kierunku rozszerzenia opieki nad robotnikami oddziaływały t. zw. u r z ę d a r o b o c z e (Labor-Bureaus), z których urząd Stanu Massachusetts rozpoczął swą działalność w 1873 r. a stan Pensylwanii w 1875 r.

### Międzynarodowe prawodawstwo fabryczne.

Widzimy z powyższego, że za wyłączeniem kilku państw drugorzędnych: Belgii, Rumunii, Hiszpanii, Portugalii i półwyspu bałkańskiego, wszystkie państwa europejskie posiadają prawa, regulujące pracę w fabrykach i warsztatach dzieci, nieletnich, kobiet i nawet robotników dorosłych i że pomimo oporu klas przemysłowych, to prawodawstwo robotnicze coraz bardziej się rozwija. Przyznać jednak należy, że każde ulżenie pracy i skrócenie czasu zajęcia powiększa

koszta wytwarzania przedmiotów i czyni spółzawodnictwo na rynkach międzynarodowych trudniejszym dla krajów, w których prądawstwo fabryczne jest bardziej rozwinięte.

Przedstawia się zatem konieczność międzynarodowego prądawstwa fabrycznego<sup>1)</sup>, któreby przemysłowców wszystkich państw postawiło względem kosztów pracy w przemyśle w tych samych warunkach. Myśl międzynarodowego porozumienia nie jest zupełnie nową, bo już pod koniec trzydziestych lat obecnego wieku proponował ją pewien przemysłowiec alzacki. Podnosili następnie myśl kongresu międzynarodowego w kwestyi robotniczej Wołowski, Schönberg, Ad. Wagner, Seyfferth i in. Może najbardziej posunął tę sprawę kongres międzynarodowego stowarzyszenia robotników (International) odbyty w Genewie w 1866 r.

Pierwsza Szwajcarya skierowała rozwiązanie kwestyi robotniczej na drogę dyplomatyczną. Postanowieniem 19 grud. 1880 r. szwajcarska rada narodowa wezwała radę związkową do wójścia w porozumienie z głównymi państwami przemysłowemi, w celu urzeczywistnienia prądawstwa międzynarodowego fabrycznego. Uczyniła to rada związkowa w 1881 r., ale na przesłane zapytanie otrzymała z Niemiec i innych państw — odpowiedź odmówną. Niezrażona tą odmówną wystąpiła Szwajcarya powtórnie w 1889 r. z projektem konferencyi międzynarodowej, która miała się zebrać 5 Maja 1890 r. w Bernie. Urzeczywistnieniu tego projektu stanęło na przeszkodzie niespodziane wystąpienie cesarza Wilhelma II.

### Reskrypta cesarza Wilhelma II-go.

Cesarz Wilhelm II w dwóch reskryptach z d. 4 lutego 1890 r., adresowanych do kanclerza państwa i do ministra robót publicznych, handlu i przemysłu<sup>2)</sup>, wskazuje na konieczność utrzymania przemysłu niemieckiego w tym stanie, ażeby mógł wytrzymać spółzawodnictwo na rynku międzynarodowym, obok czego uznaje konieczność zadostycuczenia potrzebom i pragnieniom robotników, ujawnionym podczas bezrobocia lat ostatnich. Polepszenie losu robotników, któremu stoi na przeszkodzie spółzawodnictwo międzynarodowe, może być dokonane tylko drogą porozumienia międzynarodowego państw, mających przewagę na rynku międzynarodowym. Dla tego wzywa cesarz kanclerza, ażeby zaprosił rządy państw, które się interesują kwestyą robotniczą, do przyjęcia udziału w konferencyi, mającej się zebrać w Berlinie.

<sup>1)</sup> Lujó Brentano: Die gewerbliche Arbeiterfrage. Schönberg: Handbuch d. politischen Oeconomie. B. I. 1882. str. 905 i nast.

<sup>2)</sup> G. Schmoller Jahrbuch f. Gesetzgebung, Verwaltung u. Volkswirtschaft. Leipzig. 1890. 2 Heft, str. 361 in. Zob. „Bibl. Warsz.“ 1890. T. I. str. 452—457.



Socjalny swój program rozwija Wilhelm II-gi w drugim re-skrypcie do ministra handlu. Zwraca tam najprzód uwagę na potrzebę uzupełnienia prawodawstwa o ubezpieczeniu robotników, przechodzi następnie do kwestyj ogólniejszych, utrzymuje, że obowiązkiem jest rządu uregulować czas trwania i rodzaj pracy robotnika w ten sposób, ażeby było zabezpieczone jego zdrowie i żeby stało się zadość zasadom moralności, wymaganiom ekonomicznym pracowników i ich dążeniu do równości w obec prawa. Dla zapewnienia zgodnego stosunku pomiędzy chlebobdawcami i robotnikami potrzeba dać robotnikom legalną reprezentacją ich praw i interesów.

Życzeniem jest cesarza, żeby kopalnie rządowe służyły za wzór dla zakładów prywatnych tego rodzaju. Cesarz wzywa na sesję nadzwyczajną swą Radę stanu, powiększoną pewną liczbą osób fachowych i kompetentnych, w celu przedwstępnego rozbioru kwestyi i ułożenia programu, uznając całą trudność objęcia prawidłami prawodawczemi stosunków robotniczych, w obec konieczności obrony interesów przemysłu narodowego, przy jego spółzawodnictwie z zagranicą.

Na mocy programu, opracowanego przez pruską Radę stanu, nastąpiło zaproszenie państw zagranicznych, interesowanych w polepszeniu losu robotników górniczych i fabrycznych, na konferencję do Berlina. Program cesarza niemieckiego bardzo mało się różni od programu niedoszłej konferencji w Bernie, chociaż Szwajcaryja musiała ustąpić pierwszeństwa Niemcom.

### Konferencja Berlińska 1890 roku.

Konferencja międzynarodowa zebrała się rzeczywiście w Berlinie w d. 5 Marca 1890 r. Przyjęli w niej udział reprezentanci państw następujących: Niemiec, Austrii, Węgier, Belgii, Danii, Hiszpanii, Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, Hollandyi, Portugalii, Szwecyi, Norwegii i Szwajcaryi. Protokół konferencji, podpisany w Berlinie w d. 29 marca 1890 r. <sup>1)</sup> zawarł życzenia, będące rezultatem obrad upelnomocnionych państw wyżej wymienionych.

Pierwszy rozdział odnosi się do pracy w kopalniach. Konferencja wyraziła życzenie, żeby wiek dzieci, pracujących w kopalniach, był stopniowo podwyższony tak, żeby z czasem tylko po ukończeniu 14 lat wieku dzieci do tych robót przyjmować można było. Dla państw południowych zniżono ten wiek do 12 lat. Zabroniono także używać kobiet do pracy pod ziemią. Gdyby nie udało się nauce zmniejszyć niebezpieczeństwa, wynikającego dla zdrowia z eksploatacji pewnych zakładów górniczych, to należy

<sup>1)</sup> Veröffentlichungen des Kaiserlichen Gesundheitsamtes. Berlin 22 April 1890. Nr. 16 str. 237. Journal des économistes, Avril 1890 str. 98.

natenczas skrócić czas zajęcia. Życie i zdrowie robotników powinno być podczas robót zabezpieczone wszelkimi środkami, podawanymi przez naukę i zostającymi pod nadzorem rządu. Należy rozwijać wedle możliwości instytucje opiekuńcze, zabezpieczające górników i ich rodziny od wypadków nieszczęśliwych, jako to: choroby, przedwczesnej niezdolności do pracy, starości i gwałtownej śmierci, w celu polepszenia losu górników i przywiązania ich do zajęcia. W celu zabezpieczenia ciągłości produkcji węgla, należy zapobiegać pojawianiu się bezroboci. Jako środek najlepszy prewencyjny uważa konferencya sądy pojednawcze (arbitrage).

Drugi rozdział, odnosi się do pracy niedzielnej. Konferencya wyraziła życzenie, żeby jeden dzień w tygodniu był przeznaczony na odpoczynek, zarówno dla osób w biurach pracujących jak i dla wszystkich robotników, i żeby tym dniem dla wszystkich była niedziela. Wyjątek zrobiono dla przedsiębiorstw wymagających zajęcia bez przerwy, czy to ze względów technicznych, czy też dla dostarczenia publiczności przedmiotów najniezbędniejszych, których produkcya musi być codzienna. Ale nawet w zakładach tego rodzaju każdy robotnik powinien mieć wolną jedną niedzielę z dwóch następujących po sobie.

Trzeci rozdział dotyczy pracy dzieci. Byłoby do życzenia, żeby dzieci przed ukończeniem 12 lat wieku, a w państwach południowych 10 l., nie były używane do pracy w zakładach przemysłowych; żeby dzieci poprzednio uczyniły zadość przepisom o wykształceniu elementarnem; żeby dzieci do 14 lat wieku nie pracowały w nocy i w niedzielę; żeby ich praca nie przenosiła 6 g. dziennie i była przegrodzoną pauzą przynajmniej półgodzienną i nakoniec, żeby dzieci nie używano do zajęć niezdrowych i niebezpiecznych.

Rozdział czwarty odnosi się do pracy nieletnich robotników. Życzyć należy, żeby nieletni robotnicy obu płci od 14 do 16 l. wieku nie pracowali w nocy i w niedzielę, żeby ich zajęcie nie przenosiło 10 g. dziennie i było przedzielone pauzą przynajmniej 1½ godziny, oraz żeby wyjątki były zrobione dla pewnych przemysłów. Należy także rozszerzyć opiekę prawa nad chłopcami w wieku od 16 do 18 lat, odnośnie do maximum pracy dziennej, do pracy w nocy, w niedzielę i do zajęć szczególnie niezdrowych i niebezpiecznych.

Rozdział piąty poświęcony pracy kobiet. Życzyć należy, żeby dziewczęta i kobiety od 16 do 21 lat wieku nie pracowały w nocy, żeby również dziewczęta i kobiety liczące więcej niż 21 l. wieku nie pracowały w nocy i żeby praca ich nie przenosiła 11 g. dziennie, z pauzą przynajmniej 1½ godziny, żeby położnice nie były przyjmowane do pracy przed 4-ma tygodniami po rozwiązaniu.

Wyjątki są dopuszczalne dla pewnych zajęć i pewne ograniczenia dla gałęzi robót niebezpiecznych i szkodliwych dla zdrowia.

Ostatni rozdział szósty odnosi się do wykonania prawideł, zaleconych przez konferencyą. Konferencya zaleca mianowanie urzędników specjalnie wykwalifikowanych do czuwania nad wykonaniem przepisów. Sprawozdania roczne tych urzędników powinny być komunikowane rządowi reszty państw. Zaleca się: 1) zbieranie danych statystycznych, odnoszących się do kwestyi zbieranych przez konferencyą; 2) peryodyczne zjazdy delegatów urzędowych dla komunikowania sobie wzajemnych rezultatów, osiągniętych z zastosowania środków zaleconych przez konferencyą berlińską. Życzenia konferencyi mają być przedstawione odpowiednim rządowi do uwzględnienia.

Prace konferencyi berlińskiej są pierwszym krokiem na drodze prawodawstwa międzynarodowego o robotnikach, dla tego też postanowienia niektórych państw przekraczają program konferencyi i idą dalej niż jej skromne życzenia. Szło bowiem najprzód o ujednostajnienie prawodawstwa fabrycznego pojedynczych państw w ciasniejszych granicach, nakreślonych przez konferencyą. Dla tego też zarówno teoretycy jak i praktycy stawiają żądania dalej sięgające, niż sformułowane przez konferencyą, która nie poruszyła kwestyi unormowania pracy robotnika dorosłego, powołania do życia sądów rozjemczych, izb pojednawczych i reprezentacyi stanu roboczego, nie uwzględniła ubezpieczenia robotnika w razie choroby, nieszczęśliwych wypadków, niezdolności do pracy, śmierci, braku zajęcia i zabezpieczenia pozostałych wdów i sierot po robotnikach.

### Program partyi socjalistycznej niemieckiej.

Znacznie dalej sięga program partyi socjalistycznej niemieckiej, wydrukowany w czasopiśmie „Europa“<sup>1)</sup>. Partya ta wymaga: oznaczenia 8 godzin pracy dzienniej, jako maximum dla robotników dorosłych; zabrania pracy dzieci przed ukończeniem 14 l., dla nieletnich zaś od 14 do 18 l. w obu płci ograniczenia pracy do 6 g., zakazuje pracy w nocy, z wyłączeniem jedynie przemysłów, wymagających zajęcia nieprzerywanego; nie dopuszcza pracy kobiet w zajęciach szkodliwych dla organizmu kobiecego, zakazuje pracy nocnej kobietom i robotnikom aż do 18 lat wieku, domaga się odpoczynku nieprzerwanego 36 g. tygodniowo dla każdego pracującego; zabrania pewnych rodzajów przemysłu, albo pewnych sposobów fabrykacyi, szkodliwych dla zdrowia robotników; zakazuje targowanie się (marchandage); zabrania wypłaty zarobków w naturze i patronalnych stowarzyszeń kooperacyjnych; zamyka biura stręczeń a dopomina się nadzoru nad wszelkimi warsztatami i zakładami przemysłowemi, włączając do tego i przemysł domowy; ustanawia

<sup>1)</sup> Journal des économistes. Mars 1890. str. 410.



inspektorów płatnych przez rząd i wybieranych przynajmniej w połowie przez samych robotników.

Są to daleko sięgające żądania partii robotniczej w Niemczech.

### Program socjalny cesarza Wilhelma II-go.

Dla poznania programu socjalnego Wilhelma II przedstawia się nam jeszcze jedno źródło. Trzy artykuły wydrukowane w dodatku do gazety rządowej Cesarstwa i podpisane przez p. Hinzpetera streszczają myśl cesarską <sup>1)</sup>. Główna ich treść jest następująca. Już cesarz Wilhelm I w swym liście cesarskim z d. 17 listop. 1881 r. i w prawach oubezpieczeniu robotników dał inicjatywę do polityki socjalnej, jakiej położenie obecne wymaga. Polityka ta jest przeciwną teorii manchesterskiej, podług której obowiązkiem jest państwa przypatrywać się beczynnim walce o byt, przeciwną również jest socjalizmowi, który chce zburzyć podstawy społeczeństwa dzisiejszego i zastąpić walkę kapitału i zarobków przez stowarzyszenia produkcyjne. Reforma socjalna, przedsięwzięta przez rząd pruski, nie jest socjalistyczną, ponieważ zachowuje prawo prywatne i własność prywatną, będące cechą charakterystyczną naszego społeczeństwa. Głównym celem jest doprowadzenie do porozumienia pomiędzy robotnikami i przedsiębiorcami, które obecnie trudne jest do urzeczywistnienia, z powodu wysokich wymagań robotników z jednej i niemożności pogodzenia się z myślą traktowania z robotnikami jak równy z równym, z drugiej strony. W obec położenia obecnego przedstawił cesarz do rozwiązania Radzie stanu i konferencji, zebranej w Berlinie, kwestye pracy kobiet i dzieci, pracy nocnej i niedzielnej, wszystko przedmioty agitacyi dla partii socjalno-demokratycznej. Pozostają jeszcze do uregulowania kwestye odnoszące się do zarobków i do długości pracy, w których rozwiązaniu sami chlebobdawcy powinni przyjąć udział jak największy. Rozwiązanie zadania wymaga współdziałania całego społeczeństwa, zarówno kościoła, szkoły jak i wszystkich partii politycznych. Monarchia pruska nie uważa za swoją misyą identyfikować się z klasami panującymi; Wielki Elektor uczynił monarchią pruską wolną od przewagi szlachty a spokój społeczny w Prusach jest następstwem polityki socjalnej, dbałej o interesa klas najniższych. Tak się przedstawia program społeczny cesarza niemieckiego.

### Normalny dzień pracy.

Największą opozycyą napotyka ograniczenie pracy dzienniej robotnika dorosłego, czyli t. zw. normalny dzień pracy.

<sup>1)</sup> Journal des économistes, Avril. 1890. str. 101 i nast.

Podług Steina <sup>1)</sup> leży w interesie przedsiębiorcy przedłużyć jak można najbardziej zajęcie dzienne robotnika; w większej liczbie wypadków ma on też dosyć władzy przedłużyć do tego stopnia czas pracy, że sama praca staje się szkodliwą dla robotnika; w takim wypadku szkoda wyrządzona ogółowi jest większą niż korzyść pojedynczego. Nie groziłoby podobne niebezpieczeństwo, gdyby przekroczenie zwykłego czasu pracy było tylko wyjątkowe, zrównoważone przez większe zarobki, płacone za pracę nocną lub dodatkową. Ale przy wielkiej podaży pracy i przy spółzawodnictwie przedsiębiorców, następuje zwykle stałe zwiększenie czasu pracy produkcyjnej, bez odpowiedniego podwyższenia zarobków. Ponieważ jednak każde skrócenie czasu pracy prowadzi za sobą zmniejszenie produkcji, przeto przy każdym skróceniu dnia pracy powstaje pytanie: w jaki sposób zużywa robotnik pozostały czas swobodny? Idzie mianowicie o to, żeby czasu, wolnego od zajęcia, robotnik używał produkcyjnie: jeżeli bowiem czas, który dawniej przepędzał w fabryce, będzie trwonął w szynku, to wyniknie ztąd strata bezpowrotna. Zeby czas, wolny od pracy wskutek prawnego ograniczenia pracy dziennej, był produkcyjnie użyty, potrzebne są zakłady dla kształcenia fachowego i ogólnego robotników, jakimi to zakładami są: czytelnie, odczyty, widowiska i in. Natenczas może przyjść do urzeczywistnienia ideał robotnika amerykańskiego: 8 g. pracy, 8 g. snu i 8 g. dla odpoczynku i kształcenia umysłowego.

Praca kobiet zamężnych w fabrykach przedstawia wiele stron ujemnych. Brak ogniska domowego zmusza robotnika fabrycznego do szukania w szynku zaspokojenia potrzeby rozrywki i napędza mu myśl nad przewrotem porządku społecznego. Kobiety albowiem są z natury konserwatywnymi i najlepszymi obrońcami istniejącego porządku społecznego, ale do tego potrzebują życia rodzinnego. Dla tego ideałem Steina <sup>2)</sup> jest zasada, że żadna kobieta zamężna nie powinna pracować w fabryce. Również chciałby on wyłączyć od pracy fabrycznej dzieci do 14 lat wieku i dozwolnić tylko pracy 6 godzinnej dla młodzieży do 18 lat wieku. Wolałby przy pomocy zakładów wychowawczych i kształcących powiększyć kapitał moralny i umysłowy dzieci, niż powiększać kapitał pieniężny przedsiębiorców. Ale, żeby zapobiedz spółzawodnictwu widzi, Stein potrzebę prawodawstwa międzynarodowego, regulującego pracę kobiet i dzieci.

Przeciwko ograniczeniu pracy dorosłego robotnika do 8 godzin występował w izbie gmin angielskich deputowany radykalny Brad-

<sup>1)</sup> Handbuch der Verwaltungslehre. 3. Aufl. 1888. III Th. str. 167.

<sup>2)</sup> l. c. str. 163.

Laugh<sup>1)</sup>, który przewiduje dwa następstwa ścisłego zastosowania podobnego prawa: albo zmniejszone zostaną odpowiadająco zarobki, na co nie zgodzą się robotnicy, ponieważ uważają dotychczasowe za niskie; albo zyski przedsiębiorców będą odpowiednio zmniejszone, ale Bradlaugh wątpi bardzo, żeby zyski obecne były dosyć wysokie, aby mogły wytrzymać podobne zmniejszenie.

Podług sprawozdawcy *Journal des Economistes* (Avril 1890)<sup>2)</sup> ludzie dorośli nie mogą być traktowani na równi z nieletnimi, i pod tym względem różni się sprawozdawca od socjalistów państwowych, zaprzeczając bowiem temu, żeby robotnicy [byli] niezdolni sami ocenić warunki najmu i żeby byli na łasce przedsiębiorców. Znakiem to ekonomista amerykański Fr. Walker oświadcza, że robotnicy otrzymują zawsze to, czego żądają sprawiedliwie, albowiem w rzeczywistości są oni silniejszymi.

Zbyt daleko posunięta opieka nad nieletnimi może doprowadzić do tego, że większa ich liczba przeniesie się do przemysłu domowego, gdzie z nimi gorzej się obchodzą, mniej płacą niż w wielkim przemyśle i gdzie ich położenie przez to się pogorszy. Jest to następstwem tej okoliczności, że przemysł domowy w większej części państw został wyjęty z pod kontroli inspektorów fabrycznych. Rada związkowa niemiecka, w swjej opozycji przeciwko rozszerzeniu prawodawstwa fabrycznego niemieckiego, powoływała się również na niebezpieczeństwo większego przyływu dzieci do przemysłu domowego.

### Urzędy robotnicze.

Robotnicy wymagają dla obrony swych praw, obok powszechnego głosowania, utworzenia specjalnych urzędów robotniczych, na wzór izb handlowych i przemysłowych, broniących praw przemysłowców ich chlebobawców.

O potrzebie takich urzędów w Austrii pisał Max Menger, deputowany, występował ks. Starheimberg w izbie panów, a poseł dr. Kopp przedstawił memorandum związku „Volksstimme“ w izbie deputowanych i in. Nakoniec na posiedzeniu izby deputowanych w Wiedniu dn. 5 paźdz. 1886 r. przedstawili dep. v. Plenner, Exner, Wrabetz i in. projekt prawa o urzędach roboczych. Proponują oni utworzenie 29, odpowiednio do ilości izb handlowych, urzędów roboczych, jako ciał doradczych wobec wszelkich życzeń i projektów, dotyczących stosunków robotniczych ich okręgu. Mają one zbierać dokładne wiadomości statystyczne o przemyśle i przedstawiać roczne sprawozdania ministerstwu handlu. Każdy urząd miał posiadać 12 — 36 członków, pobierających dyety i koszta podróży. Prawo wyborcze czynne miało

<sup>1)</sup> *Journal des Economistes*. Avril 1890 str. 57.

<sup>2)</sup> str. 151.



przysługiwać robotnikom, płci męskiej, mającym 24 lat skończonych, umiejącym czytać i pisać, poddanym austriackim, zamieszkałym od dwóch lat w okręgu urzędu i zapisanym do kasy chorych tego okręgu. Może być wybranym ten kto od 4 lat jest wyborcą do urzędu, ma 30 lat skończonych i należy do sekcji, z której wybór następuje. Wybory powinny być jawne, za pomocą kartek wyborczych. Przewodniczącego i jego pomocnika wybiera na 1 rok sam urząd i zatwierdza minister, jak również sekretarza i urzędników pomocniczych; 29 takich urzędów wybiera 9 posłów do Rady Państwa, ale tylko z liczby członków samych urzędów robotniczych.

Delegacya izby deputowanych w d. 3 Grudnia 1888 r. postanowiła przesłuchać ekspertów z różnych kół zainteresowanych i takich ekspertów było 25. Wszyscy byli za utworzeniem urzędów robotniczych a żaden nie pochwałiał przygotowanego projektu prawa. Żądali owszem rozszerzenia kompetencji urzędów, mianowicie ich wpływu na rozwój prawodawstwa opiekuńczego nad robotnikami i udziału w inspekcji fabrycznej, przez mianowanie doradców fachowych. Żądano większej liczby członków w urzędach i ich reprezentantów do izby deputowanych, prawa wyborczego tajnego i bezpośredniego i stanowiska mniej zależnego samych urzędów wobec rządu. Żądano 15—20 delegowanych do Rady państwa, ażeby mieli prawo stawiania wniosków samodzielnych, regulamin bowiem izby wymaga dla każdego wniosku podpisu 15 deputowanych.

Pomimo, że kwestya utworzenia urzędów robotniczych agituje się w Austrii od 1872 r., kiedy w d. 26 Sierpnia t. r. Oberwindler przedstawił memorandum w tej sprawie ministrowi spraw wewnętrznych h r a b i e m u T a a f f e, nie ma jednak nadziei, ażeby tak prędko przyszło do załatwienia tej kwestyi na drodze prawodawczej. <sup>1)</sup>

Na tém zatrzymujemy się dziś i pozostawiamy innemu artykułowi przedstawienie znaczenia i rezultatów b e z r o b o c i a (strikes), téj broni, używanej przez robotników w celu wywalczenia wyższych zarobków albo polepszenia stosunków robotniczych, jak również rozbiór kwestyi ubezpieczenia dobrowolnego albo przymusowego robotników na wypadek choroby, kalectwa itp.

Warszawa dnia 23 Maja 1890 r.

### *Sprostowanie pomyłek.*

W pierwszej połowie artykułu p. W. Załęskiego w Zeszycie listopadowym r. b. należy sprostować omyłki następujące:

<sup>1)</sup> Dr. K. Grünberg „Der öster. Entwurf eines Gesetzes über die Errichtung von Arbeiterkammern. Conrad. Jahrbücher f. Nationalökonomie u. Statistik. 1890. B. XX. 4 Heft. str. 393.

Str. 163	wiersz 18	z dołu zam. prywatne—czytać innych osób;
„ 175	— 19	z góry „ i „ „
„ 176	— 15	„ usunąć przyimek <i>do</i> przed 60 g.
„ 177	— 8	„ zam. urzeczywistnienia do — czytaj: postanowienia.
„ 184	— 1	„ „ od 1 do 4 mies. — „ aż do 1 roku i 4 m.
„ 184	— 11	„ „ ściślej — „ ściśle.
„ 185	— 7	„ z dołu: zam. 1873 — „ 1738.
„ 185	— 11	„ „ „ 1878 — „ 1678.
„ 185	— 12	„ „ „ 1874 i 1875 — „ 1674 i 1675.

---

# DRUGI ZJAZD HISTORYKÓW POLSKICH

we Lwowie d. 17, 18 i 19 lipca r. b. \*)

PRZEZ

B. G.

Wieczorem uczestnicy zebrali się na raucie w kole literacko-artystycznym, gdzie prezes p. Albert Wilczyński i zarząd starali się uprzyjemnić czas gościom, którzy stawili się według scenariusza komitetowego w „stojach uroczystych“. Zabawę urozmaicała gra kapeli towarzystwa „Harmonia“.

Dzień 19 lipca zgromadził na posiedzenie ogólne wszystkich niemal uczestników zjazdu. Posiedzenie rozpoczęło się od zaostreżenia regulaminu w przewidywaniu, że dyskusje mogą się nadto przeciągnąć. Po tém przygotowaniu dr. Balzer odczytał referat d-ra Ksawerego Liskego „W jaki sposób dałby się rozbudzić i rozwinąć ruch naukowy na prowincyi?“ Praca ta została zresztą już wydrukowana w książce referatów zjazdowych. Szanowny prezes towarzystwa historycznego proponuje, aby ze względu na zasoby materyałów, znajdujących się po miastach i miasteczkach, wszędzie organizować kółka naukowe, na podobieństwo niemieckich wissenschaftliche Vereine. Kółka te zbierałyby materyały dziejowe najrozmaitszego rodzaju i wspólnemi siłami przygotowywałyby opisy powiatów. Ze względów praktycznych dr. Liske radzi, aby podobne instytucje łączyć, gdzie można, z kasynami. Wniosek jego zamykał się ostatecznie w tych słowach: „Wysokie zgromadzenie zechce uchwalić: wzywa się towarzystwo historyczne, aby po myśli powyższego referatu przystąpiło niebawem do ukonstytuowania kółek naukowych z celem powyżej oznaczonym w odpowiednich miastach i miasteczkach kraju naszego“ (t. j. Galicyi). Wykonanie tego wniosku obok niezaprzeczonych korzyści dla nauki, miałyoby i tę zasługę, że wzniosłoby trochę więcej światła i szlachetnego zajęcia do partykularzy, gdzie ludzie w najgłupszy sposób marnują życie,

---

\*) Dokończenie. Zob. zesz. na mies. listopad r. b.



dla tego przyjęto go entuzjastycznym oklaskiem. Zabierający głos w dyskusji rozwijali myśl prof. Liskego. Dr. Maryan Sokołowski, zwracając uwagę na napisy po kościołach, nagrobkach, figurach, podnosił potrzebę *Corporis inscriptionum*, dr. Stanisław Kubisztal, profesor gimnazjum w Kołomyi, rozpowiadał, jakby należało się wziąć praktycznie do rzeczy, aby *honoratiores* prowincjonalni nie stawiali przeszkód, i oznajmił, że już takie kółko historyczne istnieje w Kołomyi. Podobnież uzasadniał rzecz całą p. Józef Drzewicki, profesor gimnazjum w Sanoku. Dr. Dembiński pragnął, aby podobną organizacją zajęły się towarzystwa naukowe w Poznaniu i Toruniu, a p. Karol Rawer, profesor gimnazjum we Lwowie, zwracał się do dziennikarstwa, aby goręcej popierało dążenia towarzystwa historycznego. Nakoniec p. Franciszek Zych, profesor gimnazjum w Drohobyczu, zrobił uwagę, że towarzystwa pedagogiczne lokalne oraz kasyna mogłyby stanowić punkt oparcia dla kółek historycznych. Zamknął rozprawy w zastępstwie referenta dr. Balzer i wnioski wraz z dodatkiem d-ra Dembińskiego został jednomyślnie przyjęty.

Następny referat prof. Tadeusza Korzona p. t. „Błędy historyografii naszej w budowaniu dziejów Polski“ budził oddawna niepomiernie oczekiwanie. Z powodu ważności przedmiotu czujemy potrzebę przedstawienia po krótku jego genezy. Szereg ludzi, którzy oddali nauce dziejów niewątpliwie znaczne usługi i wytworzyli nawet pewną szkołę, zwaną (przez przeciwników) krakowską, pozostał i zostaje w ścisłym związku z partją polityczną, odgrywającą w Galicyi dominującą obecnie rolę. Ze partja ta pragnie i usiłuje oddziaływać na naród w swym duchu, że używa do tego wszelkich i to niemałych zasobów swoich w publicystyce i literaturze, jest to rzeczą bardzo naturalną. Tylko wkroczenie tendencyi stronnicych na pole nauki, która, jak to wyznał sam pierwszy zjazd historyczny, — powinna rozwijać się pod sztandarem „nagięj prawdy“, jest, co najinniej, rzeczą szkodliwą dla samój nauki.

Każda partja posiada swoje zasady i swój program, do którego wykonania dąży wszelkimi siłami i ku temu celowi nagina wszelkie, pod wpływem jęj zostające czynniki życia publicznego i umysłowego. Otóż idzie o to, aby nauka, a zatem i historia nie poszły w służbę innych celów, innych czynników, ale aby służyły same sobie, albo też, jeżeli koniecznie już chcemy zasady celowości, aby przyczyniały się do jednego wielkiego celu, wyniesionego ponad wszelkie dążności koteryjne i stronnice, do celu doskonalenia człowieka pojedynczego i zbiorowego. Ponieważ historia należy do tych nauk, których uprawy nie można zamknąć w ciasnym kole specjalistów, przeto nic dziwnego, że budzi czujność opinii publicznej, ilekroć występuje w przebraniu, narzuconém jęj przez dotkryną niepopularną, a ludzie bezstronni, wyniesieni ponad *profanum vulgus*, potępiają ją i wtedy, gdy przybiera strój, miły ogółowi. Pamiętajmy

dobrze, jakiego wrzasku nabawiło nas niegdyś wystąpienie prof. Antoniego Walewskiego, a jeżeli ów niefortunny szwarcelber poszedł w zapomnienie, to jedynie dla tego, że o dium popuła re skupiło się na p. Michała Bobrzyńskim. Publiczność mało interesowała się tém, że jego „Dzieje Polski“ krytyka specjalistów potępiła za różne braki ze stanowiska naukowego, jęj werdykt opierał się na sędzie doktryn, które nie były może gorsze niż u innych, a w każdym razie niż u Walewskiego. Potępienie ogółu padło dla tego, że doktryny owe były wyrażone jaskrawiej i pretensjonalniej. Nagość jest może rzeczą nieprzyzwoitą, do salonów wpuszczają nawet w obłudnej barwie, byle tylko nie w obnażeniu, ale historia musi być wyższą nad wszelkie ceremoniały salonowe i stronnice, musi być „nagą prawdą“. Dziejopisarstwu powinno iść tylko o to, aby przedstawić przeszłość w całej pełni i rzeczywistej wyrazistości, a bynajmniej nie o to, aby kazać jęj przemawiać do dzisiejszych pokoleń z nauczkami, które jęj—mąż tej lub owęj partii politycznej sufferuje. Smieszniej jeszcze wyglądają kazania, prawione przez syna XIX w. mężom, których kości już dawno spruchniały w mogiłach, kazania a d usum terażniejszych słuchaczy. Historia sama przez się przemówi do ludu, sama przez się stanie się nauczycielką ich żywota, pozwólmy tylko mówić jęj samęj, nie kładźmy jęj w usta swoich własnych przekonań i poglądów, których nieraz trzymamy się z uporem, niegodnym człowieka szukającego prawdy i miłującego prawdę.

Postawienie tej zasady. protest przeciwko jęj naruszaniu—stanowi najżywotniejszy interes naszej nauki, leży nawet w interesie stronnictwa, które pod tym względem stawiają w stanie oskarżenia. Stronnictwo to posiada wielkie, olbrzymie, jak na nasze stosunki zasoby, liczy pomiędzy sobą znaczny poczet mężów zasługi, talentu, nauki, przygarnia skwapliwie ku sobie młodzież zdolniejszą i więcej obiecującą, szkoda więc, że naraża się na zarzut doktrynerstwa i naciągania nauki do swoich celów. A do czego doktrynerstwo i tendencye polityczne doprowadzić mogą, mamy rażący przykład choćby na Syblu i całej historyografii urzędowej pruskiej.

Te i tym podobne poglądy nurtują wśród społeczeństwa i nic dziwnego, że głosy w tym duchu pragnęły ozwać się w zgromadzeniu historyków. Komitet, jak widać ze wszystkiego, nie miał ochoty pozwolić na to, a jeżeli dopuścił do wystąpienia p. Korzona, to zapewne dla tego, że liczył się nieco z jego zasługą na polu badań dziejowych a może i dlatego, że głos ten wydał mu się mniej niebezpiecznym. Nie ubliżę bynajmniej zasłużonemu autorowi „Wewnętrznych dziejów“, jeżeli, oddając wszelki hołd jego nauce, odwadze i niepodległości sądu, wyznam otwarcie, że referat jego nie całkiem mnie zadowolnił. Brakło mu, zdaniem mojem, pochwycenia kwestyi jak byka za rogi, a to właśnie było nieodzownem w owęj sprawie. Brakło jasnego, dobitnego wyluszczenia zarzutów, prostoty w wypo-

wiedzeniu swoich poglądów, a ta jedynie ma siłę i energią przekonywającą. Gdyby nie wnioski, sformułowane na końcu, czytelnikowi przychodziłoby za mozołem wylawiać te miejsca, w których leży rdzeń zarzutów p. Korzona.

Referent rozpoczyna od oświadczenia, jak radosnym napełnia go uczuciem widok wszystkich działów nauki dziejowej, zajętych pod uprawę w granicach własnego krajoznawstwa, ale w spostrzeżeniach najgłębszych, we wnioskach najogólniejszych, w konstrukcyi zdobywanego z ciężkim trudem materiału naukowego zamierza szukać samych wad i zboczeń. Potem przechodzi do sądu o kilku wydatniejszych postaciach i najważniejszych sprawach dziejowych Polski, wygłoszonych w ciągu ostatniego 40-letcia i szeregiem cytat wykazuje najróżnorodniejsze sprzeczności, dochodzące do karykaturalnych przeciwnieństw. Zapytuje więc, coby powiedział naród, gdyby czytał wszystkie te dzieła. Powiedziałaby twierdzi p. Korzon—, że sami nic nie wiemy, albo że kłamiemy. I kłamiemy złośliwie, ponieważ urojenia swoje poprzedzamy poniżaniem wielkich dziejopisów dawniejszych, Naruszewicza i Lelewela, wywyższaniem nowej szkoły „krakowskiej“, uroczystymi zaklęciami „w imię prawdy dziejowej“. Szczęściem dla tych historyków jest, że naród czyta mało i nie kontroluje mężów „imponujących togami i biretami“. Chwyta tylko „urywkowe zdania i zarysy“... dorywcze wrażenia“. „Najłatwiej szerzą się słówka jaskrawe, cięte, lub sądy, uderzające nowością czy oryginalnością o królach i mężach wstawionych, najgłębiej zaś wpadają do duszy wykrycia „win naszych ojców“... Trzeba niezwykłego u nas wyrobienia umysłu, żeby zrozumieć logiczne uchybienie i obrazę sprawiedliwości, jaka się mieści w potępianiu czynów, które w swoim czasie, dla swojego pokolenia czyniły zadość jakiegóż potrzebie, a z których wynikła szkoda dla potomków po latach kilkudziesięciu, albo i kilkuset. Wszak można tym potomkom powiedzieć: czemu nie czyniliście pracy dnia swojego?“

„Źródło pierwotnego gorszącego rozgwaru we wnioskach syntetycznych historyografii“ pan Korzon widzi bardzo słusznie w politykowaniu. Szujski i Walewski powtarzają, że historia jest *vita et magistra*. „Ten oratorski, w dodatku skałeczony frazes Cyce-rona, powtarzają też pp. Bobrzyński i Bogusławski“ (Edward)..: „Sami nie uprawiali polityki ani praktycznie, ani teoretycznie, żadną politeją nie rządźili, żadnego aparatu państwowego zbliska nie znali... sądźili więc królów, kanclerzy, hetmanów, podskarbieh. sejmy i całe klasy społeczeństwa wedle swęj doktryny, ułożonęj pod wrażeniem chwili—ciężkięj, drażniącej, dręczącej nad wyraz“.

P. Korzon dotyka pobieżnie różnych błędów doktrynerskich „szkoły krakowskiej, które są jakby zaprzeczeniem tego, co sam Szujski jeszcze w r. 1868 był powiedział: „Byłoby samobójstwem, gdyby (naród)... stracił szacunek, miłość i ufność ku zasadom, które go niegdys wielkim czyniły, któremi wyprzedził Europę“. W dal-



szym ciągu p. Korzon utrzymuje, że „błędne sądy urojenia i zabobony nasze wynikają częstokroć z niedostatecznego oswojenia się z historią powszechną“. Pod tym względem zwala winę na szkoły i uniwersytety. W przypisku cytuje rażący przykład z Walewskiego i Szujskiego, dowodzący, jak słabo panowali nad przedmiotem. Wytyka także brak wykształcenia filozoficznego, a sędzi, „żądać jeszcze wypada od historyków naszych podniesienia punktu widzenia, trafniejszego orientowania się wśród różnorodnych objawów życia, obostrzenia ścisłości logicznej we wnioskowaniu przez studia nad teorią i nad filozofią historii“. Braki historyków naszych pod względem filozoficznym są tak wielkie, iż „ani pod względem układu, ani pod względem siły umysłowej nasze próby systematyczne nie dosięgły stanowiska i skali „Prospektu Historji Narodu Polskiego, na którym podpisał się d. 5 listopada 1809 Staszyc“. Historyk wykształcony filozoficznie i z historią powszechną obeznany wznieślenie się do takich wyżyn, z jakich „spoglądając na dzieje narodowe, ... nie będzie lżył nikogo, nie będzie płodził oskarżeń i panegiryków, lecz z pogodą mędrca wykładając spostrzeżenia nad działalnością wkrzeszanych przez naukę pokoleń, „poczuje się w ludzkości“; jak tego pragnął Szujski w 25-ém roku życia“.

Takie, w gruncie słuszne, ale nieco mętnie formułowane poglądy prowadzą p. Korzona do „projektu uchwał“, w którym żąda, aby zjazd 1) naganął stosowanie do badań i do wykładu dziejów frazesu Cyce-rona: *Historia est magistra vitae*, 2) w czém leży jądro kwestyi — aby odrzucił subiektywizm utworzonej w ostatniem 20-leciu szkoły krakowskiej w sądzeniu i wykładzie zjawisk dziejowych, wybujały tak dalece, że zamiast określania cech wieku, faktu lub działacza historycznego, członkowie jęj wysuwają żarliwość swoją dla wyznania katolickiego, uległość swoją kościołowi rzymskiemu, lojalność swoją względem dynastyi, obronę pewnej formy rządu, zalecanie pewnych sojuszów, sympatye lub antypatye dla pewnych narodów, niechęć do pewnych kierunków naukowych lub filozoficznych, jedném słowem: sprawy swoje osobiste, zatracając samą część nauki, która zarówno potrzebną i pożyteczną jest kurji rzymskiej, dynastjom i narodom“.

Trzeci wniosek uderza na małą znajomość historii powszechnej i przypisuje winę szkole średniej, która „dostarczała i dostarcza zaledwie nomenklatury i zewnętrznych rusztowań historii powszechnej“. Wnioskodawca uważa za rzecz pożądaną, aby „Kwartalnik historyczny“ wprowadził do swego programu studia i sprawozdania z całego obszaru wiedzy historycznej, aby towarzystwo historyczne utworzyło sekcye: 1) historii powszechnej i 2) teoryi i filozofii historii, aby słuchało ich referatów na posiedzeniach ogólnych i zachęcało do rozpowszechnienia sprawozdań i opracowań w kołach szerokich przez popularne pisma lub odczyty“.

Kiedy p. Korzon wstąpił na mównicę, czuł dobrze, iż znalazł się w położeniu człowieka, co w ul dmuchnął. Wiedział dobrze, że „z pióra jego spłynęła gorycz piołunowa“. Proponował oponentom, aby sprawdzili czy trafnie, czy dokładnie, czy rzetelnie określonym został przez niego ujemny rezultat pracy, zrobionę przez „szkołę nową krakowską“ w okresie od r. 1867, t. j. od wydania znanęj przedmowy ks. Kalinki. W razie stwierdzenia tego „smutnego zjawiska“, proponuje uznanie „bez dyskusyi, że to jest klęska, którą usunąć jak najrychlej należy za wszelką cenę, największemi wysileniami umysłów naszych“. W obec tego nie żąda nawet uznania projektu naprawy, podanego w referacie, który — mówiąc nawiasem — jeśli się tam istotnie znajduje, to nie występuje dość wyraźnie. W końcu czując dobrze, iż mógłby go ktoś posadzić o osobistą niechęć lub urazę, zapewnia i „dyktuje do protokołu“, że od osób, wymienionych w referacie i od osób obecnych w sali „nie doznał szkody, a nawet najłżejszego ubliżenia“.

Korreferentem z urzędu był dr. Balzer, który poprosił o pozwolenie przedłużenia swej mowy nad przepis regulaminowy. W przygotowanęj od dawna starannie replice bronił zaczepionych w sposób świetny, ale li tylko adwokacki. Wybornie wyzyskał słabe strony referatu p. Korzона, gniewał się na pojedyncze wyrazy, jak np. na wyraz „kłamiemy“, na oskarżenie o niedostateczną znajomość historyi powszechnęj, opartemu na „jednym“ dowodzie z omyłek Walewskiego i Szujskiego, oburzał się na zaliczenie do szkoły krakowskieј Świeżawskiego i Edwarda Bogusławskiego. Ze swęj strony jednak przeczył istnieniu „szkoły krakowskieј“. Aby i dyabłu postawić świeczkę, odrzucając dwa pierwsze wnioski p. Korzона, godził się na trzeci. Piotr Chmielowski, zażądawszy głosu, objawił zdanie, że główna myśl referenta leży nie tyle w trzech jego wnioskach, ile w słowach referatu: „Przykładając miarę naukową do prac naszych, przekonamy się, że chlubić się nam wolno tylko z edytorstwa i badań monograficznych, ale całokształtu dziejów Polski, ani określeń przydatnych do konstrukcyi ogólnęj nie posiadamy wcale. Mamy porządną cegielnię, lecz budownictwa jeszcze uczyć się musimy. Umysł ludzki potrzebuje uogólnień i prawd.—Ważną istotnie kwestyą podniósł p. Chmielowski, ale wątpimy, czyby o to głównie referentowi chodziło.

Złą bardzo przysługę własnemu stronnictwu oddał ks. Eustachy Skrochowski. Chwalebą zaiste ze swego stanowiska żarliwość religijną przeniósł na niewłaściwe pole, przeprosiwszy z góry, że będzie „rąbał“. Ks. Skr. poczytuje referat Korzона za jeden z epizodów walki pomiędzy subiektywizmem i obiektywizmem. Bóg tylko jeden jest obiektywny, a człowiek musi pozostać subiektywnym. Przypisując p. Korzonowi stanowisko antykatolickie, ks. Skrochowski wdał się w tęj chwili niepotrzebnie w obronę katolicyzmu i zakończył przemówienie swoje słowami: „Uważam referat p. Korzона

za jego krzyk subiektywny przeciw pojęciom, które mu się nie podobają“.

Wystąpienie ks. Skrochowskiego przyniosło i sprawie *quaestio nis* wątpliwe poparcie. Nie więcéj przysłużył jej się dr. Dembiński, przyrównując „subiektywizm pana Korzona, zabarwiony pesymizmem“ do książki Bourdota „*Histoire des historiens*“, która ze stanowiska „*histoire à refaire*“ chce naukę dziejów odnowić za pomocą statystyki. Ponieważ p. Korzon o żadném odnawianiu historii nie myślał, a tylko wytykał błędne, według niego, kierunki, przeto porównanie powyższe nie miało żadnej zasady. Za to dr. Dembiński, wierny swojej roli na zjeździe, poparł uprawianie historii powszechnéj i filozofii dziejów.

Ponieważ ksiądz Stanisław Załęski zrzekł się głosu, przeto przemówił jeszcze p. Mańkowski, który zbijał z jednéj strony ks. Skrochowskiego, utrzymując, że obiektywne sądy są możliwe, z drugiej zaś strony wyraził żal do referenta, że krzywdzi naukę dziejów w szkołach galicyjskich.

Słabe strony obrony i wystąpień oponentów, omijających jądro rzeczy, ułatwiły zadanie referentowi, który téż zabrawszy głos dla ostatecznego zamknięcia kwestyi, mógł rzecz traktować nawet z pewnym humorem, robiącym na obecnych dobre wrażenie. Oświadczył z samego początku, że mógłby już zrzec się głosu, przyznanego mu przez regulamin zjazdu, chyba więc na żądanie dostarczy dodatkowych wyjaśnień. Gdy więc obecni zawołali „*prosimy*“, pan Korzon przedewszystkiem oświadczył, że bynajmniej nie pomawia „szkoły krakowskie“, o brak elementarnych wiadomości z historii powszechnéj, ani też nie obwinia szkół galicyjskich o zły wykład historii. Odnosi się to w ogóle do mylnego pojmovania nauki dziejów w szkołach w całej Europie. Daléj w obec zaprzeczenia przez d-ra Balzera istnienia szkoły krakowskiej przytacza odpowiednie ustępy z Bobrzyńskiego i St. Smolki, „które wystarczyć mogą nawet za meldunek policyjny“. Inny ustęp dowiódł, że nawet Antoniego Walewskiego, którego się wypierano, polecali gorąco uczeni krakowscy. Co do Edwarda Bogusławskiego, potępionego przez prof. Smolkę, p. Korzon przytacza, że sam krytyk przyznał mu, że zna tylko dwa dzieła o historii polskiej — Szujskiego i Bobrzyńskiego; o Świeżawskiego zaś nie upiera się bynajmniej. Zbywszy daléj w sposób humorystyczny ks. Skrochowskiego, w podobnyż sposób traktował maksymę „*historia jest mistrzynią życia*“.

Ponieważ hr. Tarnowski, jako prezes objawiać począł oznaki zniecierpliwienia, że referent prawi za długo, p. Korzon urwał, zszedł z mównicy i miało się rozpocząć głosowanie. Bystre oko Alfonsa Parczewskiego ogarnęło i oceniło sytuację, poprosił więc ku wielkiemu zdziwieniu prezydium o głos... w kwestyi formalnej. Otrzymawszy go, zaproponował, aby zgromadzenie zechciało uchwalić, że nie uznaje się za kompetentne do rozstrzygania większością



głosów dwóch pierwszych wniosków referatu p. Korzona. Prof. Bobrzyński, który przez cały czas owych rozpraw trzymał się na boku, łącząc się z wnioskiem p. Parczewskiego, proponował uchwalenie przejścia do porządku dziennego, co, według niego, miało wychodzić na jedno. Żart był trochę za gruby, więc protest p. Parczewskiego przeciwko temu poparto szmerem potwierdzenia. Propozycja powyższa okazała się bardzo pożądaną dla wszystkich tych, którym sumienie nie pozwalało potępić wniosków, ale którzy krępowali się najrozumiajszymi względami osobistymi, zadowoleni więc byli niepomniernie, że tak na razie nastęrczono im możność wykręcenia się sianiem. Niemal hałaśliwie uchwalono swą niekompetencją co do pierwszych dwóch wniosków, trzeci zaś zatwierdzono z małą poprawką, proponowaną przez d-ra Balzera.

Poparcie owego trzeciego wniosku było może nietyle przyznaniem się do swoich braków, ile raczej kością odprawy, rzuconą na pastwę natarczywemu przeciwnikowi. Zdaniem naszym, kwestya nie została postawioną jak się należy. Nie idzie o to bynajmniej, abyśmy komukolwiek mieli wzbraniać pracowania na niwie dziejów powszechnych, jeśli kto będzie miał do tego zdolności i ochotę, bynajmniej jednak nie widzimy potrzeby zachęcania swoich do pracy, gdzie pracowników dosyć i ci bez wzmocnienia szyków przybyzszami obejdą się wyśmienicie. Czas jednak, aby przejąć się myślą, która zresztą nie obcą już była i dawniejszym dziejopisarzom i nauczycielom historii przed Szujkiem, że należy dzieje nasze traktować w związku z dziejami ogólnoeuropejskimi, bo przecież nie żyliśmy bynajmniej jakimś izolowanem od innych narodów życiem. Wypada pobudzić do jak najszerzego stosowania metody porównawczej, zwłaszcza w historii kultury i obyczajów. Może na tej drodze rozwieją się ostatecznie marzenia o jakiejś rodzimj cywilizacji polskiej lub słowiańskiej. Może uznamy w końcu ten fakt dziejowy, że cywilizacja właściwie jest jedną, a narody przechodzą tylko w ruchu ewolucyjnym rozmaite jej formy, stopnie i fazy i że to, co za indywidualną, narodową cywilizacją poczytujemy, jest właściwie tylko kombinacją owego stopnia i owej fazy z wpływami obcych narodów, zostających na innym stopniu i w innj fazie. Po tej walnej batalii, zakończonj stratagemem wojennym swojego rodzaju, nastąpiła dłuższa niż zwykle przerwa, a co gorsza, znaczna część uczestników straciła wszelki dla dalszych obrad interes. A szkoda, bo dwóm ostatnim referatom nie podobna nie przyznać wielkiego znaczenia.

Dr. Maryan Sokolowski, profesor uniwersytetu krakowskiego, wystąpił z referatem: „O znaczeniu i potrzebie badań nad historją handlu w Polsce“. Referent w swj pracy tłómaczy się, dla czego, będąc tylko historykiem sztuki, podjął temat, wychodzący po za zakres swj specjalności, ale ponieważ obecny zjazd wywiesił na swj chorągwi syntezę, sądzi, że historia handlu należy dotychczas, bez których szerszj i głębszj syntezy być nie może. Dalej wyraża zda-

nie, że nie potrzebuje się zastrzegać przeciwko twierdzeniu, iż nasz handel był mało znaczący i że miał tylko znaczenie dla mieszczaństwa, złożonego z obcych przybyszów, gdyż i przybysze ci spolszczeni i od wieku XIV do połowy XVI handel nasz miał wielkie europejskie znaczenie i sama szlachta brała w nim czynny udział. Na to ostatnie twierdzenie prof. Sokołowski przytacza dowody.

Prof. Sokołowski przebiega dotychczasową literaturę naszego handlu, zamkniętą w nielicznych dziełach polskich i niemieckich, potem wskazuje dzieła i pomniki, w których znajdują się materiały do naszych stosunków handlowych z Hanzą, Flandryą, Hiszpanią, Anglią i Wenecją. Dalej powiada, że „jeżeli stosunki z tym dalekim i szerokim światem są tak mało nam znane, to nie wiele lepsze mamy wyobrażenie o stosunkach nam najbliższych, a mianowicie o głównych drogach handlowych, które z krajów sąsiednich przez naszą ziemię prowadziły i o ich kulturalnej doniosłości“. Tutaj prof. Sokołowski przypomina Wrocław, drogę południową z Węgier przez Spiż, drogę wschodnią przez Lwów oraz najmniej znaną drogę przez Wilno i Litwę. Przytaczając wszędzie odpowiednie dzieła, wyraża zdanie, że byłoby „pożyteczną rzeczą stworzenie karty historycznej naszych dróg handlowych, na którejby wszystkie te drogi, zarówno lądowe jak wodne, przecinające kraj wzdłuż i szerz (sic) w rozmaitych kierunkach, były nakreślone, z oznaczeniem miast i osad, które im swe powstanie i swój rozkwit zawdzięczały“.

Przechodząc do przedmiotów handlu, prof. Sokołowski za najważniejszy uważa zboże i powiada, że handel niem „stosunkowo może jest najlepiej nam znany“. Mniej znanym jest handel solą, który nie rozwinął się tak, jak tego nasze zasoby przyrodzone wymagały. Nie mamy także bliższego wyobrażenia o handlu sławnym niegdyś wyrobem, „polskiem sukniem“. Pożądanymi byłyby także monografie o stanie mieszczaństwa. Lwów zyskał taką monografią, dzięki Władysławowi Łozińskiemu, Kraków czeka na podobną, lubo ma znaczne materiały do swych dziejów wewnętrznych, ogłoszone przez doktora Piekosińskiego. O Poznaniu, Warszawie, i innych miastach prof. Sokołowski nie wspomina. Dalej zastanawia się p. S. nad tēm, jak wypadki zewnętrzne oddziaływały na handel, a jeszcze bardziej na „wypadki wewnętrzne“. Przedewszystkiem ustawodawstwo nasze musiało handel doprowadzić do upadku. Do takich szkodliwych zjawisk zaliczyć trzeba: zwalnianie szlachty od ceł, zabronienie kupcom polskim wywozić miejscowe i przywozić zagraniczne towary, z pozostawieniem tego cudzoziemcom; nakoniec monstrualna konstytucya z r. 1643, która pozornie rozciągając opiekę nad mieszczaństwem polskim i chrześcijańskim, w praktyce wychodziła na korzyść cudzoziemcom i żydom. „Pierwszorzędną przyczyną kwestyą ustawodawczą i ekonomiczną dla historii całego naszego handlu jest kwestya składów w głównych miastach, zastrzeżonych przywilejami i konstytucyami“. Składy te zaczynają upadać

w końcu XVI w., w skutek rozluźnienia się przywilejów i nieprzestrzegania praw. Przy tej sposobności prof. Sokołowski przytacza ustępy z mało znanej broszury z r. 1602 Stanisława Cikowskiego z Wojsławic, podkomorzego jeneralnego województwa krakowskiego, administratora ceł koronnych p. t. W sprawach celnych od-pis. W końcu referent zaznacza potrzebę „zrozumienia i ocenienia chociażby przybliżonego wartości w rozmaitych peryodach czasu, bez czego wszystkie dane z archiwów wydobyte pozostaną dla nas w znacznej części literą martwą“. Jako jednostkę wspólną, „której względna wartość dałaby nam miarę porównawczą wartości innych“, Referent poczytuje żyto.

We wnioskach swych prof. Sokołowski proponuje uchwalenie: 1) aby w przyszłych wydawnictwach źródeł zwrócono szczególniejszą uwagę na źródła archiwalne, dotyczące rozwoju handlu, przemysłu, sztuk i rzemiosł w Polsce, 2) aby uznano pożyteczność monograficznego opracowania wielostronnych kwestyj w tym przedmiocie, dalej 3) konieczność opracowania wewnętrznego, miejskiego i handlowego życia miasta Krakowa, oraz 4) innych większych naszych miast w przeszłości, a w końcu 5) konieczność opracowania naszego ustawodawstwa handlowego.

W dyskusji nad referatem i przemówieniem referenta, które właściwie było tylko kategorię streszczeniem referatu, p. Leonard Lepszy poddał krytyce tablice ewaluacyjne Czackiego i radził, aby za miarę wartości monet przyjąć ceny produktów w Gdańsku, Krakowie i Warszawie. Dr. Balzer, uznając ważność kwestyi, proponował, aby riał zajmować słuchaczów po seminariach historycznych. Parczewski, polemizując z Lepszym, stawiał znaczenie cen netylko żyta, ale wszelkich zbóż i samej ziemi i zwracał uwagę na kontrakt dzierżawne po księgach sądowych. Prof. Korzon rozwinął dalej krytykę ewaluacji Czackiego, a w kwestyi zajęć po seminariach zwracał uwagę, że te mogą opracowywać tylko materiały drukowany a tu ważniejszą jest rzeczą wydobywanie materiału archiwalnego, przyczem zalecał, aby nie zapomniano o archiwum izby skarbowej w Warszawie.

Ostatnim był referat d-ra Ludwika Finkla, docenta uniwersytetu lwowskiego, p. t. „Jakiego podręcznika historii polskiej koniecznie nam potrzeba i jaką drogą dojsć do niego?“ Temat niesłychanie ważny — wiadomo bowiem, jak młodzież i w ogóle szersza publiczność pożąda takiego dzieła. W braku tegoż, ludzie uczą się z książek, już mocno przestarzałych, jak z dzieła Bandtkiego, Lelewela *Historji dla synów* ców, mozoła się nad zawilym wykładem Szujskiego, nawet w ostateczności uciekają się do rzeczy tak nieodpowiednich w szkole i wychowaniu jak *Dzieje Bobrzyńskiego*, *Pogadanki Świeżawskiego*, a co gorzej *Historja Edwarda Bogusławskiego*. Była nawet chwila, gdy praca Czajewskiego miała niejaki powodzenie.



Referent wychodzi z punktu, że publiczność zapytuje skwapliwie, „z jakiej książki najlepiej, najdokładniej i najłatwiej można dowiedzieć się o dziejach Polski?“ Wobec wydania tylu nowych źródeł tylu opracowań monograficznych zachodzi pytanie: jestże dzieło, któreby główne, ważne rezultaty tego ruchu w naukowym streszczało, któreby te rezultaty szerszym kołom, całemu narodowi niosło ku oświeceniu i pożytkowi?“

Dr. Finkel widzi tylko dwa możliwe podręczniki, mianowicie Szujskiego *Historii... ksiąg XII* i Bobrzyńskiego *Dzieje Polski* w zarysie, wyznaje wszelako, że mają tylko „oddzielną sferę czytelników, ale potrzebom podręcznika nie odpowiadają, bo nie są „rezultatem badań i postępów nauki historycznej u nas i gdzieindziej“. Dr. Finkel podejmuje się przedstawić, jakim zdaniem jego, powinien być taki podręcznik.

Wychodząc dalej z punktu, że „przebudowanie dziejów naszych jest w pełnym toku“, referent oznajmia, że postąpiono już daleko na drodze wydania źródeł i krytyki materiałów. Do czasów Piastowskich aż do r. 1386 materiał już prawie w zupełności przygotowany, nad wiekiem XV praca postępuje szybko, dla wieku XVI „listy Hozyusza, Uchańskiego i Zebrzydowskiego, dyaryusze sęjmowe i t. d. przyniosły nie mało światła“. Przy tej sposobności dr. Finkel zaleca metodę ogłaszania źródeł w streszczeniu, zwłaszcza co do ostatnich trzech wieków, dla których także zgromadzonym jest spory materiał. Na podstawie tych źródeł obaliby monografie mnóstwo opinii utartych, mniemanych dogmatów historycznych. Wszelako nawet najinteligentniejsza publiczność nie czyta monografii, a w najlepszym razie nie umiałaby ocenić znaczenia ich „dla całości dziejów lub większej epoki“. O tém, „co już przeistoczyło całość budowy“ t. j. o materiałach—ogółnie ma wcale pojęcia. Piszący podręcznik nie może przedzierać się przez las dokumentów i dla tego pomimo wydania *Monumentów* o epoce Piastowskiej „stoimy na stanowisku Roepella“, a dzieje Kazimierza W. powtarzamy za profesorem Caro. „Ale ten brak nie wyczerpania, lecz wydobycia najważniejszych chociażby rysów dziejowych nie jest jedynym niedostatkiem dawnych podręczników. Jest drugiemniżej ważny. Podręczniki nie dają tego, czego czytelnik szuka i pragnie dowiedzieć się od nich. Poważny zwrót w historyografii europejskiej ku dziejom cywilizacji i kultury nie doznał u nas dostatecznego uwzględnienia“... Podręczniki nie uwzględniły także warunków ekonomicznych i społecznych przeszłości. Szczegółów, „które wydobyła na jaw w zbiorach i monografiach praca lat ostatnich, nie ma nigdzie zebranych. Nawet historyk u wstępu do zawodu swego, chcąc objąć całość dziejów, miałby z takiego rzeczy traktowania wielką korzyść“. Uznawszy potrzebę podręcznika, referent zadaje sobie pytanie, w jaki sposób dojść do niego. Potępiając na tém polu

pracę zbiorową, z powodu dość dziwnego, „że zamiar Towarzystwa Przyjaciół w Warszawie powierzenia członkom swoim dalszego ciągu *Historji Naruszewicza*,” nie przyniósł należytego owocu, p. Finkel poczytuje ten przykład za niezbitą dowód, że taką rzecz jeden tylko napisać może. A jednak referent „pozwała sobie twierdzić, że myśl sama nie była tak bardzo z gruntu fałszywą, tylko liचे jej wykonanie i zbyt wielkimi nadzieje z nią związane. <sup>1)</sup> Daléj twierdzi sz. prof., „że gdybyśmy mieli więcéj prac, obejmujących dłuższe okresy naszéj historyi, gdyby one stanowiły pewną łączność, to ułożenie z nich całości dziejów, ułożenie podręcznika, o jakim myślę (oczywiście nigdy bez znajomości głównych źródeł) byłoby bardzo ułatwioném“. Mając na względzie brak ich, oraz zbyt wielkie luki, dr. Finkel proponuje „na wzór roczników niemieckich (*Jahrbücher*) szczególówką rewizyą dotychczasowych badań, jednakże w udanie się tego pomysłu nie bardzo wierzy, jak również w rychłe udanie się „*Historji Polski w oddzielnych obrazach*“. Plan syntetyczny, według referenta, „musiałby być ułożony przez większe grono historyków i być możliwie szczegółowym“... „Powinienby oczywiście zawierać 1) przegląd głównych wypadków, 2) główne zagadnienia polityczne, 3) określenie wybitnych postaci, 4) stan materyalny narodu, 5) stan oświaty i kultury. Daléj referent przywiązuje wielkie znaczenie przygotowawcze do wstępów przy wydawnictwie źródeł, żąda, aby seminaria historyczne porozumiały się z sobą, aby przynosiły „szczegółowe sprawozdawcze prace z większych publikacyi, opracowania pewnych ciemnych punktów historyi“. Rzecz całą zakończy wnioskiem: „Drugi zjazd historyków polskich we Lwowie uznaje potrzebę nowego podręcznika dziejów polskich, któryby był wynikiem dotychczasowych nabytków historyografii polskéj i odpowiadał obecnemu stanowi umiętności historycznéj“.

Temu referatowi, pełnemu twierdzeń zapewne słusznych, ale ujętych niejasno, rozłączających się, jak źle zeszyta suknia, odpowiadał niestety wykład referenta mdły, a nawet nieuchwytny. Biorący udział w dyskusyi nie wiele kwestyą rozjaśnili. Dr. Lewicki określał nawet ilość tomów i arkuszy druku przyszłego wyobraźalnego podręcznika, żądał, aby ten szedł śródkową drogą pomiędzy zbyt szczegółowym podręcznikiem Szujskiego, a zbyt ogólnikowym Bobrzyńskiego, aby dawał przegląd kwestyi spornych i cytował literaturę monograficzną, ale jądra rzeczy i p. L. nie tknął wcale. Hr. Tarnowski, mając na względzie, że studenci nieraz na egzaminach prawią brednie o dawnych dygnitarzach, wymagał, aby podręcznik przedstawiał dokładnie całą maszynę administracyjną. Prof. Bobrzyński skorzystał ze sposobności—co prawda, nieco spóźnionéj—do wycieczki przeciwko referatowi p. Korzona, ale do kwestyi nie dorzu-

<sup>1)</sup> W przytoczeniach dla wierności musimy pozostawić nietkniętą całą niezdarność stylową referatu.

cił najniższego objaśnienia. Tak więc, ani referat, ani dyskusja nie odpowiadały ważności i doniosłości kwestyi podręcznika.

Zamknięcie zjazdu nastąpiło tegoż dnia po południu. Dopełnił go Stanisław hr. Tarnowski. Mowa jego, wygłoszona z właściwą mówcy elokwencyą, obracała się w kole zwykłych w takich razach omówień, do których przymieszał się ni ztąd ni zowąd komplement dla pana Bołoz-Antoniewicza, jak gdyby referat jego był najznakomitszym objawem zjadowym. W końcu prezes oznajmił, że następny walny zjazd odbędzie się znowu za lat dziesięć w Krakowie i zostanie związanym z jubileuszem uniwersytetu jagiellońskiego, ale przedtém zwołanym zostanie mniejszy zjazd w r. 1895 w Poznaniu, do którego to miasta zapraszał August hr. Cieszkowski.

Sumując całą działalność zjazdu, musimy uznać, że najlepiej i najowocniej na przyszłość przedstawia się postęp nauki historii w referatach i rozprawach, odnoszących się do publikacyj wydawniczych. W tym dziale najwięcej widniała gorliwość, pracowitość i zamiłowanie przedmiotu naszych pracowników, zdobywających i obrabiających materiały dziejowe. Kilka referatów, odnoszących się do dziejów wewnętrznych, dziejów kultury, oświaty i sztuki było także pocieszającym dowodem, że i na tém polu idzie praca, może drobiazgową, rzemieślnicza, ale skrzętna i pilnie gotująca materiały. Żałować tylko należy, że pod tym względem tak mało szerszych kwestyj stawiano.

Historia literatury nie osobiwie przedstawiała się na zjeździe. Referat hr. Tarnowskiego dał tylko sposobność oponentom wykazania, że referent dostatecznie przedmiotu swego nie ogarnął i nie poznał wielu niezbędnych materiałów. Co się zaś tyczy referatu pana Bołoz-Antonowicza, to tylko dziwić się można, że taki prospekt wydawniczy dopuszczono do obrad zjazdowych, a co gorsza, że pozwolono przy tój sposobności wyekspensować tyle gadaniny, reklamy i fałszywego kadzidla. W kwestyi syntetycznej referat p. Korzona zrobił swoje, bo pomimo zamazania sprawy głos opinii zabrzmiła ostrzegająco w uszach doktrynerów i może oddziałać z czasem na oczyszczenie atmosfery historyografii naszej z nadmiaru niedojrzalego politykowania.

Ktoby chciał sądzić historyków naszych z większości referatów, drukowanych w książce, powziąłby nader nieszczególne wyobrażenie o ich zdolnościach formalnych, stylowych. Braki tego rodzaju są tęp dziwniejsze, że gdzie indziej najbardziej zawile, specjalne kwestye nie dają już prawa do torturowania czytelnika i słuchacza, a jasność stylu, dobitny, zajmujący wykład, forma artystyczna należą dziś do niezbędnych przymiotów prawego historyka, który przecież powinien odtwarzać żywą przeszłość, nie zaś wyprowadzać nagie, odrzające szkielety, bezpośrednio z mogił dobyte. Niejasne, męczące krążenie około przedmiotu, nadużycie pseudo naukowego żargonu, nieudolna budowa zdań i okresów prawie nie pozwalają doczytywać referatów



do końca. W przeciwieństwie do Horacyuszowego „brevis esse laboro, obscurus fio“, są one po większej części rozwlekłe i ciemne, pomimo pozorniej krótkości, która widocznie krępowała niejednego. Między innemi wadami stylowemi razi u uczonych galicyjskich ciągle kładzenie przymiotnika przed rzeczownikiem, co jest przeciwne i duchowi i tradycji języka. A przecież, grzebiąc ciągle w starych pomnikach, mają nieraz do czynienia z wzorami pięknej, majestatycznej polszczyzny.

Wypowiedziawszy szczerze i bez ogródki wszystko, co mi się nie zdawało, muszę jednakże zakończyć tém wyznaniem, że Zjazd pozostawił w ogólności nader miłe wspomnienie. Niejednen, przysłuchując się obradom, wiele się nauczył i wątpię, czy był kto z obecnych, coby nie cieszył się nadzieją, że nowy zjazd, uniknąwszy wad poprzedniego, pomnoży to dobre, które tamten nam przyniósł. Słyszac z ust Wielkopolan trzeźwą krytykę Zjazdu lwowskiego, możemy spodziewać się, że komitet poznański lepiej, a w każdym razie nie gorzej sprawę przygotuje, a przedewszystkiem wolny będzie od faworyzowania bliższych sobie kosztem dobra ogólnego. Zjazdowi in spe życzyć tego należy, a nadto poparcia ze strony całego ciała historyków naszych. Sądzę, że niejednen z uczestników obrad lwowskich powtórzy za nami to życzenie dla siebie i dla innych.

---

# Brzydka dziewczyna.

POWIEŚĆ

PRZEZ

*Zygmunta Grabowskiego. \*)*

---

## XI.

W końcu lipca, w Górówce wszystko znów wróciło do dawnego trybu. Inżynier naczelny przyjechał, na swoje miejsce, dla kierowania mniej już ważnemi robotami, wysłał pierwszego swego pomocnika.

Lila zakłęła Michasię, aby o liście Joanki nic nie wspominała Kruszewskiemu; sama też przyjęła inżyniera z wymuszonym trochę spokojem. Za to, kłam temu obejściu, chłodnemu na pozór, zadawały piękne jęj oczy, którym nie umiała nadać stosownego wyrazu, — kłam zadawało drobiazgowo zajmowanie się wygodami inżyniera. Po dniach całych myślała tylko jak uprzyjemnić mu trochę jednostajne w zakładach życie — stworzyć to dolce far niente, za którym przepadają zamożni ludzie. Czuła, że był to człowiek wyrwany z innych ziem i z innych stosunków, z innego otoczenia — starała się też o to, aby ład panował w jego pokojach, kuchnia wyborowa, napoje niepodrabiane i t. p.

Czuwanie nad dobrobytem Kruszewskiego poleciła ciotce Firleckiej, która przyjmując coraz nowe zlecenia siostrzenicy, zacierała ręce, pewna, że niedługo spełnią się jęj marzenia co do przyszłości Lili; — kochając ją, wołała przecież widzieć ją żoną człowieka pracy, człowieka wykształconego i mającego zasługi przeszłości — niż jakiegoś tam nicponia w rodzaju Kawskiego lub innych.

Firlecka, pamiętająca dobrze dawne czasy, żywiła dla większej części dzisiejszej młodzieży nieograniczone lekceważenie, dla niej ta młodzież nie miała ani serca, ani rozumu, ani siły fizycznej, ani

---

\*) Dokończenie. Zob. Zeszyt za miesiąc listopad r. b.

moralnego zdrowia. Szkołą życia były dla młodego pokolenia nie cierpienia i niedole, nie hart ducha, czerpany w niepowodzeniach i zawadach, które łamać należało, ale salony, gdzie kręciły się lalki i manekiny, po za nimi — knajpa z wódką i kufkami piwa, kręgielkami i piramidką. Kruszewski, będąc w dobrém usposobieniu, opowiadał nieraz z pewną zgryźliwością o rozczarowaniu, jakiego doznał wracając po tylu latach do Warszawy, gdzie spotykał chuderlawe, wybladłe zastępy przedtem niewidziane, kobiety żyjące nad stan, często ze źródeł zagadkowych, postrojone i paplające jak sroki lub papugi. Opowiadał, że w cukierniach, poważne tygodniki i dzienniki krajowe i obce leżały nieporuszone — oglądano tylko... ryciny, za to pismidła tak zwane humorystyczne, rozszarpywano. Brukowe obce romansidło znajdowało tuziny tłumaczy, odbijane za ledwie w kilkaset egzemplarzy, na półkach księgarskich niszczyły mole, lub szły na makulaturę. Pamiętała to wybornie i nie pomijała sposobności, aby sypać docinki tym, co o przeszłości kraju wiedzieli mniej, niż Papuasowie o swoim, ale za to mieli nielada zacięcie do kieliszka i płci nadobnej, na gwałt emancypującej się z niemitych i niewygodnych węzłów kobiecych obowiązków.

Raz, gdy Lila, wieczorem, siedziała na przeciwnej stronie zamysłona, głaszcząc pyszną głowę Phidyasa:

— Czemu Kruszewski nie oświadczy się o ciebie, moja droga — zagadnęła niespodziewanie.

Dziewieczyna, pomieszana, nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Zkądże cioci to dziwactwo przyszło do głowy? szepnęła.

— Kochacie się... wiem o tém.

— On chyba, i moje miliony.

— Lilo!

— Patrzę przecie co dzień w zwierciadło.

— A ty — kochasz go dla czego?

— Ja, ja? bronila się.

— Tak; ty.

— Ciociu! zawołała — czy za mało cierpię jeszcze, że i ty nawet...

— Właśnie chcę, abyś cierpieć przestała...

— Ah, gdyby pewność, że on mię kocha dla mnie tylko!..

— Chcesz, pomówię z nim.

— Za żadną cenę, ciociu! były chwile, że łudziłam się...

— Nie rozumiem:

— Sądziłam, że kocha istotnie. Chciałam go wystawić na próbę...

— I cóż?

— Odstąpiłam od pierwotnego zamiaru — odparła ciszej, zniechęcona. Stara się podobać, rozkochać, jeżeli się da, wszystkie młode, jakie zna, kobiety.



— Wątpię; zresztą, być może, ale do ciebie wiąże go i wdzięczność jeszcze.

— Ależ ja nie chcę żadnej! nie chcę! wybuchnęła rozdrażniona. Przy tém, znam go tak mało...

— Jedź do Paryża: przez pułkownika poznasz się z Grabińskimi, coś dowiesz się—to podobno nieposzlakowanej prawości ludzie; ona kuzynka, razem się chowali: on jego towarzysz ze szkolnej ławy... druh z tyłu bitew...

— Ah, gdybym mogła, jak ów Samuel z fantastycznego romansu Sue'go, spalić w jednej minucie całe mienie—mówiła Lila—nie odpowiadając ciotce — z jakąż radością, pierwsza, rzuciłabym mu się w objęcia...

— Lilo!

— Powiedziałabym mu sama: kocham cię, jestem równie biedna jak ty... opromienieni wzajemną miłością, będziemy pracowali, walczyli w życiu o byt, o jutro naszych dzieci...

Ciotka była rozsądną kobietą—lubiła inżyniera, kochała bez granic Lile, której ojciec ocalił kiedyś jej męża od hańby i ruiny...

— Rozumujesz fałszywie Lilucho moja. Według ciebie, bogaci z bogatymi łączyłyby się tylko musieli; ubogiemu mężczyźnie trzeba by wyrwać z piersi serce, aby go o samolubstwo i wyrachowanie nie posądzono,— bogata dziewczyna nie miałaby prawa do szczęścia wcale. Biedne dziewczęta muszą polować na mężów zasobnych — a bogatym cóż po milionach, jeżeli nawet za popędem uczuć iść nie mogą?

Kruszewski nie szukał cię przecie—okoliczności zbieg—was poznał, nic innego. Gdyby gonił za milionami, nie miałby tej szalonej pani de Villars?

— Tam grało rolę obrażone poczucie osobistej godności... niedotykalnym jest na punkcie honoru...

— Tembardziej tedy, z kąd przypuszczenie, że go nęcą twe miliony? Masz ich za dużo; człowiek to wymagań skromnych, zahartowany w twardej szkole życia... cóż robiłby z tyle złota?...

Mówiła długo jeszcze... na pół przekonała Lile.

Wtedy dziewczę, pokazało jej list Joanki, pisany do panny Hube.

Firlecka ruszyła lekceważąco ramionami.

— Głupie to i złośliwe... pełne przesady; z każdego słowa czuć cel ukryty...

— Ona go kocha...

— Tu, szyjębym dała, że gra rolę jego posada. Kawscy ostatkami gonią...

— Jednakże bywać zupełnie u nas przestała!

— Dość jej narobiliście z Michasią przykrości... Lecz wracając do rzeczy, mamże zrzęcznie wybadać inżyniera?..

Pomyślała chwilę.

— Nie ciociu, później może—zostawmy wszystko czasowi...

Tymczasem, najdziwaczniejsze wieści obiegały okolicę.

Życie istotne t $\acute{e}$ m si $\acute{e}$  różni od opisywanego w powieściach— że często to ostatnie, choćby najkrańcowiej skresłone, pozostaną jeszcze blad $\acute{e}$ m odbiciem rzeczywistości. Daremnie niektórzy twierdzą, że opowiadania polegają przeważnie na t $\acute{e}$ m, z jakiego punktu sam autor na życie si $\acute{e}$  zapatruje— że postaci, występujące w nich, s $\acute{a}$  cz $\acute{y}$ stym wytworem wyobraźni, o tyle zbliżonym do prawdy, o ile prawdopodobnemi powstan $\acute{a}$  w głowie autora.

Najśmielszy jednak z pisarzy; nawet sam E. Zola nie byłby zdolny odtworzyć wiernie kałuży, w jakiej cz $\acute{y}$ stka ludzkości nurza si $\acute{e}$  z musu lub upodobania. Te sceny, na których obmyślenie potrzeba czasu i nielada twórczej wyobraźni — powstają w życiu w jednej chwili— uważane s $\acute{a}$  za co $\acute{s}$  zwykłego. Jeżeli zaś do powodów czysto realnej natury przymiesza si $\acute{e}$  zawiść jeszcze, wtedy przesładowcy, szczególnie $\acute{j}$  kobiety, zatracają zupełnie poczucie tego, co zł $\acute{e}$ m a co dobr $\acute{e}$ m jest — wpadają na pomysły tak wstrętne, wykonywają je z taką zimną krwią i taki $\acute{e}$ m wyrachowaniem — że powtórzone w powieści, wygl $\acute{a}$ dają jakby wytwory chorobliwej wyobraźni tylko.

I czytelnicy wołają niechybnie: co za pomysł szatański. To rzecz nie do wiary!

Dla tego te $\acute{z}$  żywcem z życia brane sceny nie do wiary s $\acute{a}$ , choć istnieją.

Jak ongi ś. p. Walter tak i córka jego cieszyła si $\acute{e}$  ogólną sympatją dalszej nawet okolicy. Drugie i trzecie numera hypotek majątków, były znaczne, pożyczonemi w Górówce kwotami obsadzone, na niski procent, bo zaledwie 4 lub 5% wynoszący.

Niektórzy zawdzięczali j $\acute{e}$ j byt cały—inni ocalenie od ruiny.

Same datki wykazywano w rocznym budżecie zakł $\acute{a}$ dów od dziesięciu do piętnastu tysięcy rs.

Ztamtąd te $\acute{z}$  najzjadliwsze wypadały pociski.

Opowiadano sobie po cichu, nast $\acute{e}$ pnie coraz głośnie $\acute{j}$  o scenach podejrzanego romantyzmu, rozgrywających si $\acute{e}$  w Górówce mi $\acute{e}$ dzdy obiema dziewczętami a dorodnym, Bóg wie zkąd przybyłym inżynierem. Rzeczy zasły tak daleko, że Kawscy musieli zerwać z Górówką stosunki, gdzie córka ich miała haniebne przykłady, Michaś ju $\acute{z}$  po deklaracyi, mimo milionów Lili, musiał wycofać si $\acute{e}$  zupełnie.

„Otóż to Niemcy! mówiono. Przybłądy, ongi bose, odarte, przybyłe na wózku przez chude psy ciągnionym. Dziś sieją demoralizacyą bezkarnie—bluzgają nam w oczy wydart $\acute{e}$ m tuziemcom mieniem.

„Obie dziewczyny: właścicielka i córka dyrektora, rozbijały si $\acute{e}$  najpierw o Kruszewskiego — mało nie zagryzły; pogodził je nareszcie grozbą utraty łask swoich. Przyjęły wyrok w pokorze,

nchyliły czoła... Ale dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie,—przyjdzie chwila, że miły gagatek ulotni się z kasą, do której klucz oddała mu Lila i zostawi obie nowożytna czcicielki Westy na koszu“.

Że te niecne, zapewne z Kawina rozpuszczone gadki nie doszły do uszu Lili i Hubego, zawdzięczać należy taktowi i życzliwości oficyalistów i urzędników Górówki, którym je w uszyna każdym odpuszcie, przy każdym spotkaniu w miasteczku lub w powiecie, wsuwano miłosiernie.

Biedne dziewczyny, dobrowolnie osamotnione, nie wiedziały przynajmniej jak okolica wywdzięczać się umiała za dobrodziejstwa—jak ci, którym z Górówki przyszło wybawienie, wypłacali się ze świętego długu.

Michasia, nieobdarzona ani zalotnością i beczelnem narzucaniem się Joanki, ani powagą i stanowiskiem panny Walter, choć kochała z całej duszy inżyniera, wiedząc, że kocha go i jój dobrodziejka—cierpiała w cichości, unikając nawet dłuższych z nim rozmów i przebywania w jego towarzystwie, choć lubił ją bardzo i skarżył się nie raz, że go unikać się zdaje. Ani ojciec, ani Lila i nikt w zakładzie, nie podejrzewali, co się w tém biednem małym serduszkuz działa. Wiedziała, że miłość ta bez nadziei, daremna, uczucie nie mogące być zadowolonem—jednakże odmawiała upornie starającym się o nią, nie dawała nawet powodu.

Na zapytania, nalegania czasem ojca i Lili — miała zawsze jedną odpowiedź: mam dość jeszcze czasu—dobrze mi z wami...

Na nią też spadł pierwszy grom potwarzy, wylęglój w Kwinie, kolportowanej skwapliwie przez okoliczne panie, które nie mogły darować mieszkańcom Górówki ładu, w jakim żyli, dobrobytu, jakim byli otoczeni.

Z oryginalną a bezsercową, istotnie kobiecą logiką, gdy kto z bezstronnych zwracał im uwagę na potworność czernidła, odpowiadały: to Niemcy,—nasze wrogi,—lutry i t. p. a gdy mężowie od nędzy przez Lilę ocaleni, żądali uciszenia: eh, jaka tam łaska! mówiły—kilkatysięcy rs., to dla Walterki tyle znaczy, co dla nas rubel, mniej nawet!

Prawdą w tém wszystkim było to: nienawidziły dziewczęcia dla jego majątku, i że go właścicielka Górówki używać go dnie nie umiała. Z takiem mieniem olbrzymiém, można było z dochodów tylko żyć w Paryżu, latem rozbijać się i ołsniewać u wód zagranicą — opłacać seciny przystojnych kochanków, karmić ich i odziewać i grube pensye płacić nawet. Za dochody można było tysiące popełniać infamii, których, niestety, nie dosięga prawo; ponieważ ciężą rodzin, wlec pod pręgierz wszystko, co dobre, zacne, szlachetne

Brrr! co za ohyda!

Tak było jednak istotnie.



Takie potwory są często przykładnemi pozornie matkami rodzin, pozornie dobrymi żonami, należą do każdego towarzystwa filantropijnego...

Osobista reklama—nic więcéj.

Ta sama dama, która w obec cisnącego się motłochu, ociera łązy wywołane myślą o niedoli bliźnich — odtrąci nędzarza, który do jéj drzwi zapuka — każe go wyrzucić za drzwi.

Michasia, często dla towarzystwa żony jednego z pomocników jéj ojca, bywała w katolickim kościele.

Po sumie, przystąpiła do nich jedna z pań z okolicy i bez ogródki, pod pozorem ostrzeżenia, wypowiedziała wszystko, co wypadkiem doszło jéj uszu—upiększając jeszcze zajmujące opowiadanie.

— Oto co o was mówią w okolicy! zakończyła. Ja brzydę się obmową—gardzę pociskami z za płota—uważam jednak za obowiązek sumienia...

— Dziękuję pani serdecznie! odparła Michasia, bez mrugnięcia wysłuchawszy plotek wstrętnej baby. Lila za miesiąc, gdy jaki wierzyciel nóż im na gardle położy—znów ich ocali i będzie miała tę przynajmniej pociechę, że mężowie i ojcowie tych, co dziś szarpią naszą sławę, czołgać się będą u jéj drzwi w pokorze.

Odwróciła się, i oddaliła się z towarzyszką.

Przejeżdżając około willi Kruszewskiego, poleciała zatrzymać powóz i przywołać inżyniera.

— Czekam pana u nas, zaraz jeżeli można! zawołała.

Niebawem nadszedł i zastawszy ją samą w salonie:

— Cóż się stało, śliczna moja mała przyjaciółko, zawołał wesoło, ujmując rączkę dziewczęcia.

Jednym tchem wypowiedziała wszystko, co jéj doniesiono.

Zbladł jak płótno w pierwszej chwili— opamiętał się jednak niebawem i ruszył tylko ręką pogardliwie.

— Trudna to walka z kobietami!.. rzekł chodząc po salonie.

— Mają mężów, ojców, braci...

— Nie mogę przecież policzkować i przyjmować wyzwania całej okolicy.

— Alboż tacy ludzie wyzywają kiedy?

— Są i odważni... zabiję jednego...

— Po co zabijać... ludzi u nas dość... zaprosić dwóch lub trzech do Górówki.

Patrzył zachwycony na zirytowaną, rezolutną dziewczeczkę.

— Zaprosić dwie lub trzy.. to rozumiałbym jeszcze...

— Żartujesz... masz serce w takiej chwili!..

— Jest sposób inny, moja Michasiu. Nie mam prawa mięszać się w te brudy... ale w tych dniach, otrzymam je może.

— Od Lili?

— Tak.

— A to jakim sposobem?

— Oświadczając się o jej rękę...

Okrzyk zadziwienia, powiemy więcej: żalu — wyrwał się z piersi dziewczyny.

— Pan? szepnęła złamana teraz, choć wiedziała dawno, że się kochają.

Czy odgadł, co się w jej serduszku działo? Zapewne—ale ujął jej rączki i rzekł łagodnie.

— Kocha mię... wyrwała z nędzy, ocaliła od bolesnej konieczności zebrania znów pracy i chleba na obcej ziemi.

— Kochasz ją także, — prawda?

Zawahał się... był dziwnie wzruszony.

— Nie wiem, szepnął... zdaje mi się jednak, że jednakowo kocham was obie. Posiadając cię, bolałbym nad stratą Lili, w objęciach tej dziewczyny za tobą tęskniłbym z pewnością...

— A ja myślałam, że raz tylko w życiu prawdziwie i jedno tylko kochać można...

Uśmiechnął się smutno. Może inni... ja w tych warunkach myślę i czuję inaczej...

Wszedł stary Hube. Oboje pomieszani zaczęli doń mówić razem, opowiadając rzeczy nie mające związku i sensu wiele.

— Nic a nic nie rozumiem; odparł, śmiejąc się dobrodusznie.

Lepiej pójdźcie na śniadanie, bo p. Kruszewski musi zaraz jechać do Warszawy.

— Ja? cóż się stało? pytał zadziwiony.

— Bank hrabiego Eselberga chwieje się—dzisiaj lub jutro zawiesi wypłaty... mamy tam ćwierć miliona. — Pomówimy przy śniadaniu, zaraz jechać będzie trzeba!

— Wspominałeś pan co pannie Walter?

— Zawiadomiona przed chwilą.

Przeszli do jadalnej salki, gdzie już zastali kilku techników, zaproszonych przez dyrektora.

Po południu Kruszewski pojechał do stacji kolejowej.

## XII.

Owego dnia, o zmroku — szalony huragan rozparzał się nad okolicą — początek października zapowiadał jesień nieciekawą. Musiano zatrzymać roboty nocne—przygasić ogniska...

Zdawało się że nieznanu u nas cyklon pustyni amerykańskich zawitał w gościnę. Trzy kominy fabryczne runęły od razu, czwarta część drzew parku została uszkodzona.

Około północy dopiero Lila, zawiadomiona, że nigdzie na razie pomocy nie potrzeba i że bez wielkich strat materialnych się obyło, a żaden z ludzi nie postradał życia, pożegnała towarzystwo codzienne, zebrane w salonie, i udała się na spoczynek.

Wchodząc do sypialni, w której obywatela się zawsze bez pomocy pokojowej, zastała tam Joankę w czarnym, podróżnym stroju.

— Ty—tutaj—o podobnej porze? zawołała.

Panna Kawaska położyła palec na ustach.

— Przybyłam sama moim jednokonnym wolancikiem.

— Ale cóż zaszło takiego? mówiła trochę niechętnie—wieki cię nie widzieliśmy.

Joanka zanosila się od płaczu.

Płacz rozbraja kamienne serca; płacz kobiety—na inne nawet kobiety wywiera pewne wrażenie. Lila nie cierpiała panny Kawskiej—miała jednak złote, poczciwe serce. Przystąpiła do dawniej przyjaciółki...

— Joanko!.. Joanezko! co tobie? Pewno matka i brat może?

Otarła oczy i usuwając się trochę:

— Opuściłam teraz dom nasz—opuściłam na zawsze.. szepnęła złamana.

— Ty? co mówisz?.. z jakiego powodu?

Znów zapłakała.

— Powiedz mi prawdę! badała Lila, zaniepokojona, zapomniawszy już zupełnie dawniej urazy. Może ja co poradzę? Strwożnił twój posąg, prawda? Wymówki!.. scena!.. ależ ja mam miliony... damy sobie radę!..

Skinęła główką przecząco.

— Bóg mię ukarał, ukarał ciężko...

— Za co takiego? cóżś przewiniła?

— Przeciw tobie... byłam nieszczerą... ale ja go tak kochałam... Kocham jeszcze!.. mówiła cichutko, ukrywając w dłoniach twarzyczkę.

Lila drgnęła, słysząc te słowa.

— Wytłómacz się wyraźniej Joanko. Płacz—to nie objaśnienie przecie. Na każdą niedolę jest lekarstwo...

— Tylko nie na moją!..

Dostała strasznego ataku spazmów, podobnego zupełnie do epilepsji.

Lila, przerażona — nie wiedziała co począć. Słyszała, że w takich razach najlepiej zostawić chorą w spokoju...

Biedna dziewczyna odwróciła się do okna—wielka litość opanowała jej serce—całym mieniem rada byłaby oszczędzić chorą cierpienia—sobie okropnego widoku.

Śród ciszy sypialni słychać było tylko miarowy tyk zegara i szelest, jaki sprawiały szaty Joanki, przy dreszczach wstrząsających jej ciałem.

Nareszcie odetchnęła ciężko, raz i drugi — rozwarła oczy i z wysileniem siadła, opierając głowę na ręce, z wzrokiem utkwionym przed siebie.



Lila podała jęj salcerskiej wody z trochą etheru i waleryany. Wypiła duszkiem, nieprzytomna jeszcze.

— Gdzież jestem, szepnęła głucho.

— Ależ tu, u mnie, u twęj przyjaciółki, Joanko...

— Prawda...

— Czy podlegasz takim... spazmom?

— Nigdy... mój Boże! Ah!..

Krzyknęła, chwytając się za łono...

— Mów-że! zawołała Lila... nie dręcz mię...

— Porzucił mię...

— Kto taki? pytała, obawiając się usłuszeć znane imię — prosząc Boga, aby nie zostało wymienione.

— Któżby?... on... Ignacy!

Zaczeła płakać cicho — widocznie chciała opanować żal i boleść.

— Kochasz go? kochasz tak bardzo? Biedna Joanko... mówiła Lila, spokojniejsza już — nie przypuszczała bowiem nic, prócz rozpaczę Joanny, na wieść, że Kruszewski jęj nie kocha.

— Nie kochać go? ah, do śmierci, mimo że wyparł się świętych przysięg, obietnic, że mię posłubi...

— Co mówisz?

— I tu widywaliśmy się tajemnie, w domku leśniczego; rodzice dom mu wymówili — szeptała złamana. Liczyłam, że dziś — czy jutro, z twą pomocą Lilo, będziemy mogli połączyć się na zawsze... tymczasem...

Lila słuchała stojąc przed nią niema, bez ruchu, jak posąg z wzrokiem utkwionym w załzawioną twarz Joanki, która mówiła dalej, urywanie:

— Tymczasem wczoraj napisał list niegodziwy, upokarzający mię... W domu wszystko się wydało...

— Ale co takiego? Ja nic, mówiąc prawdę, nie rozumiem jeszcze, zauważyła panna Walter.

— Napisał list ostrożny, jakby o trzeciej osobie, jako odpowiedź na moje zaklęcia, aby oświadczył się rodzicom lub wreszcie zwierzył tobie i Michasi...

— Pokaż ten list! szepnęła Lila.

Wyjęła go z kieszonki.

Panna Walter podeszła ku kominowi, zapaliła świece w kandelabrach i zaczęła czytać półgłosem, drząc ze wzruszenia:

„Donoszę, że osoba, o którą chodzi, daremnie się martwi i za-, truwa spokój sobie i drugim. Myśli przecie o niej, kocha ją bez granic, i dla tego pragnie w przyszłości otoczyć zbytkiem, kró-, lewskim przepychem. Na to jednak trzeba czasu i cierpliwości, głównie, w swym własnym interesie nie należy krzyżować ko-, chanęj osobie zamysłów, od których urzeczywistnienia wszystko

„zależy. Wszakże i po za małżeństwem szczęście znaleźć można, „tem bardziej, gdy innego środka nie ma“!

Na sto dziewcząt mniej prawych, mniej naiwnych i niedoświadczonych niż Lila — dziewięćdziesiąt dziewięć byłyby taką Kawską wraz z jej żalami i niedolą, po prostu, wyrzuciły za drzwi: każda byłaby jej powiedziała: co mię to obchodzi, moja panno, czy cię zdradzano, czy nie? racz uwolnić mię od roli powiernicy.

Lila jednak, mimo wykształcenia i czytania, mimo że bywała w świecie, nie znała wcale życia. Dla niej trzy czwarte ludzkości składało się z aniołów; — jeżeli zaś zli ludzie istnieli, to jako rzadkie osobniki, sprowadzone z dobrej drogi, pożerane chęcią powrotu na łono cnoty i prawdy. Tak zwanego zepsucia, brudoty usposobienia i niskich popędów w nikim nie przypuszczała — co najwyżej lekkomyślność i nieumiejętność panowania nad sobą. Dla niej Joanka była kokietką, lekkomyślną, złośliwą trochę, ale niezdolną do rozmyślnej nikczemności.

Z takimi poglądami na ludzi, cóż dziwnego, że Lila była wyszukiwaną sposobem oburzającym na wszystkie strony.

List Kruszewskiego, zapewne nader zrzęcznie podrobiony, przyjęła za szczerą prawdę, za dowód przewrotności ze strony inżyniera. Dręczyło ją widmo jej milionów, wytworzyło stan nie-normalny — a raz wmówiwszy w siebie, że dla osobistych przymiotów kochaną być nie może — łatwo już każdej w tym kierunku wierzyła potworności.

— Uspokój się Joanko, rzekła po chwili zastanowienia — p. Kruszewski nigdy nie będzie moim mężem... jeżeli marzył o czemś podobnem — przeliczył się.

— I ze mną się także nie ożeni, szepnęła Kawaska, znów krzywiąc się do płaczu. Co do mnie, przybyłam błagać cię o pomoc Lilo...

— Czy nielepiej byłoby zostać tu? ja jutro pojechałabym sama do Kawina, udobruchała twych rodziców.

— Nie, nie! zawołała. Tam już wszystko skończone! Zaklinam: nie nalegaj...

— Ale gdzie się udasz?

— Do ciotki Idalki, w Sandomierskie...

— Kiedy chcesz jechać?

— O świecie — do pierwszego pociągu... lecz proszę cię, pożycz mi trochę pieniędzy?

— Ile ci potrzeba.

Zastanowiła się chwilę.

— Na wypadek, gdyby ciotka... szepnęła.

Lila poszła do małej szafki, umieszczonęj w buduarze, i wyjmując zeń paczkę sturubłówek, wręczyła przyjaciółce.

— Jest tu dwadzieścia tysięcy złotych; napisz do mnie, co się stanie; — w żadnym razie nie odmówię ci pomocy. Teraz nakreśl

słów kilka co chcesz, do rodziców—odeślę wraz z wolantem jutro do Kawina, ciebie zaś sama do stacyi odwiezę.

Pocałowała ją w czoło—smutna, tłumiąc łzy cisnące się jej do oczu!

— Śpij tu — rozbierz się — ja zdrzemnę się na sofce w bu-duarze.

Wyszła z sypialni...

Wtedy Joanka, tak złamana przed chwilą, otarła oczy, wy-prostowała się i z tryumfującym na ustach uśmiechem, wsuwając do kieszeni paczkę biletów bankowych:

— Teraz chyba go już nie zaślubi! szepnęła.

Usiadła przy stoliczku i nakreśliła, co następuje:

„Kochana mamo.

„Daruj, że nie mówiąc w domu, robię wycieczkę do ciotki „Idalki. Lila mię odwozi do stacyi kolejowej, z miejsca więcęj „napiszę. Całuję cię mamo i rączki ojczulkowi. Proszę wysłać „mi moję bieliznę i czarną wizytową sukienkę do Sandomierza.

*Joanka*“.

Zgasiła kandelabry i zrzuciwszy suknię, gorset i buciki, po-łożyła się na łożu panny Walter.

Biedna Lila tymczasem, oparłszy czoło o zwierciadlaną szy-bę balkonowego okna, dumiała zapatrzona w noc czarną — słucha-ła szumu wiatru, który szalał jeszcze dokoła, choć już z mniejszą niż przedtem siłą.

Dla niej, wszystko w życiu było niepowrotnie skończone — zawiodła się na jedynym człowieku, który umiał zbudzić w niej śpiące serce—zasłużyć na żywsze uczucie. Co pocznie teraz — jak postąpi? Nieodświadczył się jej dotąd—to prawda — sądząc jednak z listu do Joanki, uczyni to niebawem. Czy będzie tedy czekać wyznania niegodziwca, czy też prosto, usunie go z Górów-ki zaraz, pod pierwszym lepszym pozorem?

Usunięty, zostałyby znów bez chleba; na łasce losu — bez da-chu nad głową. Chciał frymarczyć jej sercem i majątkiem, ale na taką nędzę skazywać go nie miała chyba prawa? Byłaż sądem w obec winnego? Zakrawałoby to na zemstę... Może lepiej u-czyni stawiając czoło burzy, — przy pierwszym gorętszem słowie z ust Kruszewskiego, zwróci go chłodno na drogę właściwą, albo też zostawi rzeczy jak są, wynajdzie pozór, zda wszystko Hube-mu i wzięwszy Michasię, wyjedzie na czas dłuższy za granicę. Przebywać bowiem teraz z inżynierem niemal pod jednym da-chem, byłoby dla niej niemożliwą rzeczą — cochwilową, straszną katuszą.

Czuła się bardzo nieszczęśliwą, kochała tego człowieka — może teraz, gdy był dla niej stracony—bardziej niż kiedykolwiek.

.....



Serce kobiety to przepaść niezgłębiona—siedlisko najróżnorodniejszych uczuć; najdziwniejszych zachcianek. Wszystko uszione na dnie, w ciszy głuchéj—jak mieszaniny kopalne w ognistém wnętrzu wulkanu. Dopiero w miarę jak szaleć poczynają namiętności—zmysłowe dreszcze wyrzucają je na zewnątrz i czynią z kobiet stosownie do okoliczności, coś czystsze niż anioł w naszym pojęciu, lub coś podléjszego od najniżéj upadléj hetery.

Lila przemarzyła noc całą; różowy świt zastał ją opartą o tę samą szybę, zapatrzoną na park i górzyste na nim przestrzenie.

Więc nie miał dla niéj nic—prócz chęci posiadania czystéj, niewinnéj dziewczyny i zagarnięcia jéj majątku. Dla tego nawet ocalił ją od podruzgotania na drodze lub w parowie—bo cóżby potem dał kochance, którą przysiągł otoczyć królewskim przepychem?

Podły! szepnęła, odchodząc od okna.

Upadła na kolana i modliła się długo, serdecznie, gorąco: aby pan Bóg wyrwał jéj z serca tę miłość nieszczęsną—dozwolił zapomnieć, wskazał drogę, jaką teraz kroczyć należało.

Około siódméj, poleciła przyrzadzić posiłek, założyć konie do landa i zostawiając bilecik dla Hubego, że wróci nad wieczorem, pojechała z Joanką.

Jednocześnie wyprawiono do Kawina posłańca z powozikiem i listem do Kawskich.

### XIII.

Wracając, zagłębiona w zamkniętym ekwipażu, miała czas uspokoić się zupełnie, zebrać rozpierchłe myśli — powziąć stałe postanowienie.

Będzie wyczekiwać, czy istotnie inżynier znajdzie odwagę mówić jéj o swej miłości...

Nie czekała długo.

Ani ciotce, ani Michasi nie wspominała o niedoli Joanki. Na zapytanie: z kąd się wzięła tak późno i gdzie jeździły, odpowiedziała, że to była fantazya panny Kawskiéj, że posprzeczcawszy się w domu, postanowiła jesień spędzić u ciotki.

Trzeciego dnia wrócił Kruszewski, wycofawszy szczęśliwie wkłady z zagrożonego banku Ezelberga. Użył sposobu trochę nieparlamentarnego, ale mu się udało.

„Słuchaj, wstętny żydzie, rzekł w cztery oczy hrabiemu—wiem żeś łotr i ukryłeś pieniądze; otóż ile sturubłówek w dłużnéj nam kwocie, tyle lasek będę ci łamał na grzbiecie—zaraz kupię pierwszy tuzin i zaczynam od jutra...”

Hr. Ezelberg zapłacił dług co do grosza.

Lila przyjęła inżyniera, jak zwykle, uścisnęła nawet dłoń wyciągniętą i w piersi nie czuła doń nienawiści, czuć nie mogła—tylko

żał niewysłowiony. śmiertelny. Zawsze to był człowiek odważny, gotów do poświęceń; jakie bądź kierowały nim powody—ocalił jej życie, był siostrzeńcem starego druha jej ojca.

Ah, gdyby nie ta jego duma, także pozorna może! Z jakąż radością dałabym mu część swego mienia. mówiąc: nie możemy być czembądź dla siebie—zapewniam ci dobrobyt do śmierci, zaklinając tylko, abys nie igrał z uczuciami, nie łamał tak jak moje i Joanki, niczyjego już życia dla zachcianki zmysłowej lub rachuby.

Wieczorem, grała na fortepianie w wielkiej sali, gdy wszedł inżynier. Skinęła mu główką i grała dalej, usiłując nie drżeć, nie gubić taktu. zachować obojętną postawę.

Podszedł do instrumentu, oparł się na nim i słuchał w milczeniu.

— Ślicznie pani grał szepnął, gdy ostatnie przebrzmiały akordy.

— Zaniemniej teraz muzykę; że jednak wyjadę w tych dniach z Michasią na czas dłuższy za granicę, przysiedzę fałdów trochę...

Był zupełnie zbity z tropu.

— Pani... wyjeżdża?

— Cioci powietrze ostre tutejszych zim już nie służy, Michasia kaszle, ja także czuję się mniej zdrową niż zwykle... Zabawimy rok, dwa może...

— Tak nagle postanowienie...

— Wszystko tak się składa w życiu! odparła. Wieczorem np. po pańskim wyjeździe do Warszawy, jak z obłoków, spadła do mnie Joanka, chora, zdenerwowana...

Patrzała mu prosto w oczy, mówiąc to. Nie drgnął, niemru-gnął nawet, tylko twarz jego wyrażała zadziwienie.

— Panna Kawaska?...

— Dawno ją pan widział? odpowiedziała także pytaniem.

— W lecie jeszcze, w Berlinie; ostatni raz, wracając z tam-tąd do kopalni.

Ma wprawę i obycie w życiu, pomyślała—choć przecie mógł-by domysleć się, że Joanka mi choć coś napomknąć musiała!

— Zostanie pan tu ze starym moim opiekunem na gospodarstwie—mówiła,—jeszcze siląc się na uśmiech wesoły.

— Czy pani już dzień wyjazdu naznaczyła? pytał przystę-pując bliżej.

— Tak; na pojutrze...

— Dla czego pani jedzie? jest powód inny...

— Nie rozumiem pana?

— Czyż nawet na tyle zaufania nie zasługuję?

— Masz je pan przecie nieograniczone; podpis pański jest za-

wsze pokryty; i z Glewic i z Berlina—ostatnio miałeś pan w Warszawie ćwierć miliona... chcesz, dziś ci jeszcze powierzę klucze kasy i książkę z czekami in blanko... czyż to nie dowód zaufania?..

Mówiła żywo, gorączkowo, aby jój nie przerwał.

— Panno Lilo! Lilo! szepnęła zniżając głos... czyż dla tego chcesz jechać, że... ja tu jestem...

— Cóż znowu?

— Że Cię Kocham nad wyraz... Ciebie tylko.

Powstała od fortepianu.

— A Joanka?

— Joanka?

— Tak; to samo, tydzień temu jeszcze, jój pan powtarzałeś przecie!

Skinęła mu głową uprzejmie.

— Uważam to za żart z pańskiej strony—tém niewłaściwszy, że spotyka kobietę mimo wszystko, pełną dla pana życzliwości i...  
p o b ł a ż a n i a.

Przeszła—majestatyczna wzrostem i powagą—bladocią czoła i tą wielką niedolą, jakiej ślady odbiły się na jój licu.

Gdy wrócił do siebie i siadł zrozpaczony, gubiąc się w myślach, co to wszystko znaczyć miało—przyniesiono mu list od Lili. Rozerwał kopertę gorączkowo, przebiegł oczami wprawne, pochyłe eleganckie pismo ukochanej.

Oto co pisała:

„Panie!

„Nieszczęśliwa Joanka wyznała mi wszystko—wszystko. To panu chyba wystarczy. Niedługo, mówiła mi, że masz jedno tylko słowo—co raz powiesz, to święte; miałam dowód na nieszczęśliwej hrabinie de Villars. Życiem przyplącała nieugiętość pańskiego charakteru. Mój charakter zupełnie do pańskiego podobny.

„Masz pan wysokie techniczne wykształcenie—dla Gorówki jesteś skarbem nieocenionym, który, sama czuję—wynagradzam za mało.

„Pan Hube wręczy Panu w tych dniach bezwarunkowe pełnomocnictwo moje—racz poprzestać na tém. Czas wiele ran serca goi podobno. Gdy oboje zostaniemy wyleczeni, wrucę tu; pierwiej—nie.

„Oszczędź mi Panie bliższych objaśnień, rozmowy, pożegnania—przez pamięć, że byłam dobrą i sumienną wobec Pana i nie zmuszaj, abym żałowała, że mię wtedy bułanka nie poniosła lub nierzuciła do parowu.

*Lila Walter*“.

„Oh, ta Joanka!“ zawołał z uniesieniem. Zemściła się;—ale cóż takiego powiedzieć mogła?



Nie poczuwał się do winy żadnej—może tylko do lekkomyślnego flirtu z piękną dziewczyną. Gubił się też w domysłach daremnie.

Rozsądek radził mu widzieć się z Michasią, z Hubem lub z Firlecką—lecz miał przed sobą list Lili—list straszny. Obelg w nim nie było, ale z każdego słowa wiał żal serdeczny; czytał między wierszami: czemu wydarłeś mi spokój życia?

On, mężczyzna nie płakał prawie nigdy. Raz tylko, gdy znalazł łan złotego żyta, gdzie ojców sterczała strzecha; raz, gdy witał rodzinną ziemię po latach tyłu, a brzaski złotej jutrzeńki ukazały mu wieżyce mazowieckiego grodu, skąpane w mgłę opalowej. Ah i wtedy, gdy ujrzał Klarę, z rewolwerem w zastyglęj dłoni.

Zapłakał i teraz serdecznie.

Powstał od stołu—zawołał służącego, Stanisława.

Poznał go ongi, w Paryżu—wyratował z nędzy, odczytał szalę toczącego gmin: pijaństwa i gdy w Górówce zajął wysokie stanowisko, sprowadził do siebie.

— Stanisławie! tobie zaufać można. Nie mówiąc nic nikomu, upakuj moje i twoje rzeczy—rozumiesz? to tylko, co nasze, co tu przywiezione—nic więcej. Bielizna, odzież, książki, narzędzia.

Sługa patrzył nań zdziwiony.

— Jedziemy po północy.

— A daleko panie?

— Do Warszawy i—do Francyi potem.

Po wyjściu Stanisława przeszedł do gabinetu, wziął arkusik papieru i napisał do Lili: Wielmożna Pani Dobr!

„Nie potrzebuje Pani, z mego powodu, opuszczać rodzinnych kątów; przywykły do tułactwa—ustępuję z posady, wyrażając Pani wdzięczność za świadczone dobrodziejstwa“.

Następnie do dyrektora:

„Czcigodny panie.

„Spadł na mnie grom niespodziewany i czuję, niezasłużony. Mimo, że radbym dłoń Twą uścisnąć na pożegnanie—nie mam odwagi; wywołałoby to pytania, na które, honorem ręczę—nie umiałbym odpowiedzieć. Lepiej więc, że tak się rozstaniemy.

„Powiedz Michasi, niech nie wierzy, abym zdolny był popełnić podłość w zyciu!“

\* \* \*

Po północy, przed wille, na zewnątrz parku zbudowaną, zaszły pocztowe konie. Stróże nocni znieśli kufry na bryczkę; przyzwyczajeni do wyjazdów naczelnika—nie dziwili się i o nic nie pytali.

#### XIV.

List, przyniesiony rano, do mieszkania dyrektora, w nieobecności ojca, otworzyła Michasia.

Odczytała go raz i drugi i trzeci jeszcze; nie rozumiejąc nic, prócz tego, że oskarżano Kruszewskiego o jakąś infamią niewinnie, że opuścił Górówkę na zawsze.

Zadzwoiła gwałtownie.

— Kto przyniósł list ten? pytała pokojówki.

— Robotnik jakiś.

— Mówił co?

— Że pan inżynier wjechał ze służącym po północy.

— Czyjemi końmi?

— Poczta.

— To dobrze; możesz odejść.

Jak stała, w samym neglizu, mimo deszczu i chłodnego wiatru, pobiegła pędem do pałacyku, do sypialni Lili, cała w ogniach, bez tchu, z włosami rozrzuconymi w nieładzie.

— Ah, co za niegodziwość! patrz, czytaj! cóżes zrobiła najlepszego Lilo!

Panna Walter, zapłakana, ze swoim listem w rękę, oniemiała na widok przyjaciółki.

— Ty go kochasz, nieszczęśliwa! ty? zawołała załamując rękę.

Michasia, dusząc się od płaczu, wytrzymała spojrzenie Lili.

— A więc tak—prawda—kocham go, kocham, bo na tę miłość zasługujecie... nikogo prócz niego nie będę kochać w życiu!..

— Michasiu moja!

— On kochał ciebie — powiedział mi to; zrobiłam z uczucie moich ofiarę... dla ciebie... a tyś go wypędziła! Oh, to niegodziwie, niegodziwie.

Oczęta dziewczeczki ciskały iskry oburzenia.

Lila podeszła ku niej, wzięła szamocącą się siłą w objęcia i okrywając pocałunkami:

— Powiem ci prawdę całą... posłuchaj mię nim potępisz.

Powtórzyła scenę z Joanną.

— I tyś ję uwierzyła, nieszczęśliwa—ty, rozsądna, praktyczna — dałaś wiarę oskarżeniu tój Kawskiej, co sama nań polowała?

Pokazała ję list ów, główny dowód przeciw Kruszewskiemu.

— To jego pismo—jego papier... szeptała Michasia—lecz cóż z tego? Nigdy nie uwierzę... może list fałszywy—może nędzny pomysł szalonej zazdrośnicy! Czemużes mnie przynajmniej nie uprzedziła.

Lila milczała przygnębiona.

— Teraz on stracony dla ciebie Lilo, straconym na zawsze. Ciesz się z twego dzieła...

Mdląła tu—dostała strasznęj niemocy... epilepsii, z żalu...

Dziewczę ruszyło wzgardliwie ramionami.

— Cóż z tego? Czyż mężczyźni, gdy są wolni, nie mają ko-

chanek? a są potem najlepszymi mężami! Teraz on będzie tulać się po świecie—może znów popadnie w nędzę! Ah, Lilo, Lilo, dla czegoś ty go zgubiła?

— Miéj litość, Michasiu, nademną.

— Cóż on ci przewinił? Świstek papieru, to dowód dla ciebie? — Czy nie należało zawezwać go, szczerze, uczciwie powiedzieć: panie, oto jakie ci czyni Joanka zarzuty. Broń się! Czyż skazuje się kogo bez wysłuchania?..

— Może jeszcze byłaby rada?

— Z jego usposobieniem? żartujesz chyba biedna, lekko-myślna Lilo. Wykopałaś przepaść pod nim; runął w nią—Joanka może teraz tryumfować dowoli...

Rzuciła się na szyję i płakała serdecznie.

— Napiszę do Paryża, do jego kuzynki... zrobię tę ofiarę...

— Daremnie! szlochala Michasia. To skończone na zawsze.

\*

Przed Hubem i ciotką, Lila nie robiła już żadnej tajemnicy; umówiono się tylko, aby dla uniknięcia skandalu, osłonić tajemnicą nagłe usunięcie się inżyniera. Śmiertelna niemoc wuja jego w Paryżu—depesza wzywająca natychmiastowo -- ztąd i wyjazd gwałtowny, bez pożegnania.

Po tygodniu, wszystko wróciło do dawnego trybu w Górówce. Kruszewskiego zastąpił tymczasowo jego pomocnik, człowiek dość inteligentny i znów sterczały buchające parą i dymem kominy fabryczne, furczały jak dawniej koła zamachowe maszyn, zionęły ogniem olbrzymie piece topielni...

Wszystko było pełne życia, ruchu... rój mrówek przy pracy. Ale w biurach, gdzie lubiono naczelnika, ucichły wesołe gwary — przestano prześladować Eisenherzhuta.

Gdy raz ktoś zanucił:

„Eisen — herz — hut

Nicht alles gut i t. d.“

żartobliwa śpiewka nie znalazła więcej echa...

Stare Niemcysko włączyło się po biurze, powtarzając do znudzenia: pojechała dobra Polaka i nie powiedziec nic stara pizajaciell!...

Lila pokazywała się rzadko w swym gabinecie teraz — zaniedbywała i konną jazdę i muzykę i ulubione przejażdżki do Walterówki. Nie czytając podpisywała papiery.

Proszone obiady nie mogły być zawieszono—ale uczestniczyła przy nich jakby z musu, bez życia, zamyślona, obca wesołej rozmowie.

Nawet stary Hube cierpiał widocznie.

Nareszcie Lili zdecydowała się na list do Paryża. Nie śmiała pisać go sama, — wynalazłszy tedy jakiś drobny przedmiot



w biurze, zapomnianą lunetę, czy inne narzędzie, uprosiła dyrektora, żeby napisał do Grabińskich, prosząc o adres inżyniera.

Niechętnie uległ życzeniu panny Walter — w liście jednak nie wspominał nic o powodach, jakie zmusiły Kruszewskiego do opuszczenia Górówki.

W dwa tygodnie otrzymali odpowiedź i dołączony do niej list Kruszewskiego z Panama datowany.

„Szanowny panie,

„Prawie jednocześnie z Jego listem, otrzymaliśmy i wiadomość od Ignasia, — o którym sądziliśmy, że dotąd znajduje się w zakładach panny Walter. Łatwo pojąć nasz niepokój i zdumienie, gdy przyniesiono nam ją „via Bordeaux“ z Ameryki.

„Z listu kuzyna nic a nic pewnego wnioskować się nie da; — załączamy go tedy, prosząc o objaśnienia i ośmielając się tę jedną uczynić uwagę, że zawsze byliśmy przeciwni jego tam wyjazdowi i gdyby nie pułkownik, który uparł się dać mu list polecający, biedny człowiek nie byłby przeszedł tak ciężkich chwil w życiu. Przeczuliśmy, że jeżeli nawet wymodli tam gdzie kąt i pracę, to chyba tylko pod naciskiem ośmieszanych dziś wspomnień, i ci sami, co mu ją „ponr souver les apparences“ podadzą — pod pierwszym lepszym pozorem wyrzucą go, prosto, za drzwi.

„Tak się stało, jak przewidywaliśmy.

„Wybacz pan ostre wyrażenie tego listu; z pisma Ignasia widać, że mu tam jakąś niegodziwość zarzucono — a my znamy go jako człowieka nieposzlakowanej prawości, stanowczo tedy wszelki zarzut mu czyniony, jako nędzną tylko potwarz uważamy.

*Grabiński.*“

Dołączony list Kruszewskiego, pisany był także w rozżaleniu:

„Droga Maryniu.

„Nie martw się i nie dziw, że piszę z Ameryki miasto z Górówki, nazajutrz po opuszczeniu „Sydonii“, która nas tu wysadziła.

„W zakładach panny Walter (ona sama) zarzucono mi prosto podłość ostatnią, bo czychanie na cudze mienie — choć Bóg mi świadkiem, iż nie wiem, o co im wszystkim idzie. Jeżeli mieli kogoś protegowanego na moje miejsce — można było, usunąć mnie, nie uciekając się do środków, które uwłaczają dobrej sławie. Właścicielka zapomniała, że prócz czci, nic więcej nie posiadam na ziemi.

„Jechałem przez Bruksellę, gdzie, na szczęście, spotkałem jednego z agentów Lesseps'a. Ofiarował mi wyjazd natychmiastowy, ale, nędzną, tymczasową posadę konduktora górniczego i to daleko, w pustyni o przeszło trzy etapy od głównego posterunku. Płaca cztery tysiące franków i nadzieja... śmierci na żółtą febrę. Wedle przysłówia jednak: nie ma róży bez kolców i tu drobne być muszą przecie.

„Jak się ustalę—napiszę wam więcej szczegółów i o Górówce i o obecnem miejscu pobytu.

„Wszystko stało się tak nagle, że nie mogłem poświęcić i jednego dnia dla was; Sydonia odpływała za dni cztery, a ja byłem jeszcze w Belgii. Sciskam was oboje—*Ignacy*.

7-go Grudnia 1884 r.

Przy każdym przeglądaniu poczty, rano i wieczorem, od czasu wysłania zapytania do Paryża, Lila była obecna, oczekując skwapliwie odpowiedzi.

Gdy nadeszła, choć pod adresem Hubego—rozerwała kopertę i pierwsza przeczytała.

Nie płakała więcej—nie stałoby jój łez przecie—ogromny żal jednak miotał nieszczęśliwą. Powodowana szalem chwili, pod naciskiem wrażenia, wywołanego opowieścią Joanki—zgubiła kochanego i kochającego ją człowieka. Kość została rzucona—żał był już daremny; należało pogodzić się z losem i cierpieć w milczeniu.

Zdrowie jednak biednej bardzo z powodu tego ciosu ucierpiało. Znikły róże z policzków; zapadły, traciły blask iskrzące nigdy oczu szafiry—chód stał się niepewny, chwiejny—ogarniało ją bezgraniczne zniechęcenie.

Hube zmusił ją prawie do wysłuchania zdania pierwszych powag lekarskich stolicy, które sprowadził do Górówki na naradę. Orzekli jednogłośnie, że tylko ruch, inne otoczenie, inne powietrze, a głównie morskie kąpiele—mogłyby przynieść ulgę, zażegnać może zawiązek piersiowej niemocy.

— Zapewne nagle oziębienie, po bólu, lub lody zjedzone nie w porę... mówili.

— Tak! odparł Hube, ruszając ramionami.

— A może jakie moralne cierpienie? szepnął nieśmiało jeden z młodszych lekarzy.

— Może!

— Trzebaby je usunąć... złagodzić... to pierwszy warunek.

Potrząsnął głową niecierpliwie.

— Wyślemy ją zaraz, ale gdzie?

— Do Meranu! najlepiej jednak do Sycylii.

Trzeciego dnia z ciotką i Michasią wyjechały za granicę.

## XV.

Pod Milazzo wynajęto wille. Widok z niej roztaczał się na błękitne fale morza i sine, w mgłę unurzane góry wysp Liparyjskich, z drugiej strony królowała wieczny dymiąca Etna, szumiła do koła willi gaj pomarańczowy, szeptały palmy, podnosząc ku chmurkom swe szerokolistne korony.

Choć jednak życie uśmiechało się do koła, kwitły róże i narcyzy, królowały magnolie w ogrodzie—wiosna w całej pełni łączyła do pieśni i wesela—cudzoziemki, córki północy, nosiły jeszcze w sercu zimę i lody ich posepnej ojczyzny.

Daremnie oblegał ich rój ciceronów — daremnie z okolicznych will zapraszano na ogólne wycieczki, kąpiele i zabawy—ani Lili, ani Michasi śmiech nie chciał okraszyć ustek, z oczu tęsknota, bladeść z lica zéjsć nie chciały.

Mówiły o nim, o nim ciągle—jak o umarłym... jak o pięknym śnie, z którego je obie przebudziła niegodziwa Joanka.

Gdy czółno kołysało się na fali i przewoźnik, dla rozweseleńia „ich światłości“ rzucających złotem do koła, chciał nucić pieśni jakie—wybierały smutne tylko.

A Lila coraz bardziej zapadała na zdrowiu.

— Chcesz Liluchno biedna? powiedz jedno tylko małe słówko, a popłynę tam... jestem odważna... sprowadzę ci ukochanego! mówiła dobra dziewczeczka, siadając na małym taburecie i kładąc główkę na kolanach przyjaciółki.

— A Joanka?

— Cóż ona?

Lili wierzyła jeszcze, że nadużył powolności lekkomyślniej dziewczyny.

— Byłaby ciągle między nami...

I urywała się rozmowa—siadano do fortepianu, aby go rzucić niebawem i znów wspominać dawne dzieje.

Wieści z kraju, od Hubego, były, jak zawsze, pomyślne co do zakładów; za to smutne z okolicy najbliższej. Kawin wystawiono na licytaayę—kupił go jakiś żydek Eisenwikel, syn bankiera, jednego z potentatów kolejowych;—Kawscy ulotnili się za granicę.

W końcu marca, sąsiedzi namówili obie dziewczyny do przyjęcia udziału we wspólnej wycieczce do Palermo. Wynajęto statek parowy; w palermitańskim „cassino“ miał być bal na ubogich: cel filantropijny—uchylać się nie godziło.

Brzydka dziewczyna, piękną była prawie w skromnej swój sukience, bez żadnych świecideł, prócz kilku kwiatków we włosach; Michasia, czarowała wdziękiem młodości i urody.

Zabawiano się w olbrzymim parku, oświetlonym a giorno kolorowemi lampami.

Na skrócie jednej z aléi—ktoś lekko dotknął ramienia Lili.

Odwróciła się: przed nią stała Joanka, oparta na rękę jakiegoś młodego, krzycząco odzianego mężczyzny, mocno podobnego do żyda, choć nie miał ani pejsów, ani chałuta, a cyceło nie wygłądało mu z pod kraciastej marynarki.

— Pozwól przedstawić sobie mego narzeczonego, droga Lilo,



rzekła z błogim uśmiechem: Pan baron Teodor von Eisencwikel—panna Lila Walter, milionowa pani na Górówce.

Nie było rady—należało oddać ukłon, zamienić słów parę.

Tymczasem Michasia, odstąpiwszy kilka kroków, ukryta za olbrzymim kaktusem, dusiła się ze śmiechu, aby nie wywołać skandalu.

Lila nagłą pchnięta myślą, wzięła Joankę pod rękę i rzekłszy uprzejmie do... barona: pozwól pan kilka słów dawniej przyjaciółce narzeczonej... uprowadziła ją na stronę.

— A twoje przejście z... Kruszewskim? szepnęła.

Odpowiedział jej dźwięczny, jak dzwonek, śmiech panny Kawskiej.

— Tyś więc na prawdę uwierzyła wszystkiemu? zawołała wesoło.

— Jakto? wyjąknęła Lila, sądząc, że przesłyszała się.

— Zażartowałam sobie! odrzekła beczelnie. Piękne za nadobne, moja luba—chciałaś mi wydrzeć go, wiedząc, że lubiłam go bardzo—dokuczałaś, siałaś niesnaski.

— Ja, ja?

— Tak. ty i Michasia. Znęcałyście się nademną, bo miałyście miliony... odmówiłam ci inżyniera... kwita z nami teraz.

— Ależ ta... epilepsya!

— Uczyłam się jej ze dwie godziny—przed lustrem, przymrużając oczy... Chcesz prawdy? to masz ją: Kruszewskiemu sama się oświadczyłam w Berlinie; odrzucił, bo kochał ciebie, a może twoje miliony... teraz kwita z nami!...

— Podła, podła nędznico! Krzyknęła panna Walter, odchodząc od zmysłów z żalu i oburzenia!

Obelga była wypowiedziana głośno—po włosku.

Kilka osób dostrzegło znieważający ruch rączki Lili. Panna Kawska, zasłaniając się parasolką, podbiegła do narzeczonego barona.

— Pójdźmy ztąd, pójdź ztąd co prędzej! zawołała gorączkowo,—panna Walter dostała napadu, obłąkania, ah Boże!

Orkiestra zagrała „zaproszenie do tańca“ Webera—fale gości nadpłynęły ze wszech stron, śpiesząc ku łączce, na której urządzono balową salę.

Michasia nic nie widziała.

Niebawem przypadła do niej Lila, z płomieniami w oczach, a blada jak widmo, w stroju w nieładzie.

— Urowadź mnie, Michasiu, do pałacyku tam... do Górówki... prędzej... on niewinny... czeka na mnie... ja zabiję tę nędznicę, co nas tak niegodnie okłamała!...

Nim dziewczę zdążyło pochwycić ją—runęła na piasek alei, bez zmysłów zupełnie.

Powstało nieopisane zamieszanie — rzuciło się kilku mężczyzn i zaniósł Lile do Kasyna, gdzie przywołano lekarzy.

Wyrazili obawę zapalenia muzgu; należało natychmiast przygotować apartament w jakim hotelu i przewieźć tam chorą.

Po dziesięciu dniach walki życia ze śmiercią—dzięki czułym staraniom Michasi—biedna dziewczyna została uratowaną. Obłęd pierwszy i potem gorączkowe majaczenia przeszły bez śladu—zostało tylko straszliwe osłabienie.

Teraz, ułożona na miękkim krześle, lub w hamaku śród pomarańczowego gaju przy willi spędzała dni całe, słuchając czytanych głośno przez Michasię powieści,—zapatrzona na błękitne fale morza, wieczorami przysłuchująca się pieśniom rybaków i wioślarzy.

— Tęskno mi za krajem... za Górówką! rzekła raz, gdy ciocia pytała: czyby nie popłynęła do Neapolu.

— To wróćmy do domu! poddała Michasia. Czerwiec się zbliża—i u nas teraz jasno i wesoło.

Pożegnały bez żalu obce strony i obce Bogi—obie ciągnęły tam wspomnienia—stare kąty, gdzie pierwszy raz zabiło ich serce.

W Górówce, lato zeszło jako tako — Lila dawała się wyciągać na zwykłe przechadzki — zdawała się weselszą, spokojniejszą; coraz bardziej jednak traciła siły i zdrowie.

Raz wzięła arkusik papieru i nakreśliła list do Grabińskiej: „Pani.

Nieznajoma, śmiem jednak prosić o Twą pomoc, w celu wynagrodzenia ciężkiej krzywdy, jaką, dzięki najnikczemniejszej intrydze, mającej wszelkie pozory prawdy— wyrządziłam Twojemu kuzynowi. Piszę szczerze, otwarcie: Kocham go, Kocham więcęj niż życie—odrzucałam niebacznie jego wyznanie... umieram z żalu i tęsknoty. Przez pamięć i miłość Twych dzieci—jesteś matka, prawda? racz mi nadesłać wiadomość o nim, zakląć, aby powrócił. Ja pisać do niego nie śmiem.

*Lila Walter.*

Górówka, 2 września 1885 r.

Wysławszy ten list—czekała, z początku, cierpliwie. Gdy jednak dni po dniach i tygodnie po tygodniach następowały, a odpowiedzi nie nadesłano — niepokój biednej wzrastał z każdą chwilą.

Nie ufała nikomu; zaczęła podejrzewać najpierw Hubego i Michasię, że list przejęli, list niepomysłny — potem oficjalistę biurowego i swego sekretarza, nareszcie woźnego, chodzącego na pocztę—w końcu i samego ekspedytora.

Wszyscy zmówili się na nią, bez celu, li-tylko z chęci dokużenia jéj!

A może list przejął kto w Warszawie?.. może ta wstrętna Joanka von Ejsencwikel, dziewczyna sprzedająca się z licytacji —żydowi!

Ah, czemuż nie miała podówczas w Palermo broni przy sobie! Byłaby tę nędznicę zabiła niezawodnie.

Nareszcie, po dwóch miesiącach wyczekiwania, nadeszła odpowiedź upragniona:

„Pani,

„Jedyny list, jaki otrzymaliśmy od Ignasia, został przesłany panu Hube, zapewne tedy treść jego Ci wiadoma. Cztery nasze pisane do Ameryki, pozostały bez odpowiedzi. Twój, z naszym dopiskiem, wysłał mąż mój natychmiastowo na ręce głównego zarządu i dotąd nie niejma.

„W śmiertelnej trwodze o naszego kuzyna—zasełamy Pani wyrazy życzliwości i szczerego ubolewania. Pierwszą wieścią podzielimy się skwapliwie.

*Marya G.*“

I znów miesiąc upłynął — nastąpiła chłodna dżdżysta jesień; strącała z drzew liście poźółkłe, wypłeniła resztki nadziei z serca Lili.

Nieszczęśliwa nie wspominała już o inżynierze wcale; ciotka, Hube i Michasia także napomykać o nieobecnym nie śmieli. Ale przypominała jej to Almée'a, niedająca dosiąść się już nikomu więcej—przypominał Phidyas, uciekający z pałacyku.

Robotnikom także nie było na rękę wydalenie się inżyniera. Jeżeli słabi, nieszczęśliwi, garną się chętnie pod skrzydła opieki potężniejszych od siebie—siła lubi siłę, zdrowie zdrowie. Ten cały zastęp pracowników, ludzi zdrowych na ciele i umyśle, zahartowanych w twardej szkole dziesięciogodzinnej pracy, uwielbiał zwierzchnika, który umiał, obnażony do pasa, spojrzeć śmiało w ogniste czeluście, nie cofał się przed milionami iskier, osypujących mu ciało, dźwigał z uśmiechem na ustach centnarowe kawały surowca, lub podkładał pod olbrzymi młot całe sztaby metalu, a przytém człowiekiem był jak mało—dobrym, uczynnym, troskliwym o zdrowie i życie tych marnych mrówek, wprzężonych do rydwanu powodzenia panny Walter.

Wspominali jak patrzył im na lica badawczo, jak odgadywał drobne zmartwienia, drobne niemoce—uwzględniał chwile zniechęcenia. „Ty idź dziś do domu—ty do lżejszej pracy—ty masz gorączkę, odstęp od pieców, wypocznij godzin kilka i t. p. Wspominali człowieka co w nich widział ludzi, nie przeciążał pracą nad siły, osłaniał przed złą wolą i głupotą podmajstrów—żałowali, nie mogli się pogodzić z myślą, że go już nie zobaczą.

Raz, Bóg wie jak, rozeszła się pogłoska, że naczelny inżynier wkrótce powróci:—błyskawicy lotem obiegła zakłady, ożywiła twarze, pobudziła wesołe gwary. Był to dzień wypłaty—wieczorem, w miarę jak Eisenherzhut wręczał robotnikom zaklejone koperty z piętnastodniowym zarobkiem, wyjmowali z nich po pół rubla i zwracali do kasy.



— Na co ta pół rubla? pytało zdziwione niemczysko.

— Pan Kruszewski wraca — odparł jeden za innych — kupimy zieleni, kwiatów, wystroimy odświętnie nasze żony i dzieci, wyprawimy sute przyjęcie — może i jasna panienka się przyłoży ze swą stronę.

Trzeba było zbiegu okoliczności, że Lila znajdowała się w sąsiednim saloniku i wysłuchiwała tej rozmowy, która zrobiła na niej przykre wrażenie, przyprawiła o niemoc kilkodniową.

W krótkce potem, krwawa luna zabłysła nad Kawinem, — dwie godziny wystarczyły na zamienienie w kupę gruzów pałacu i obszernych zabudowań; nad ranem, w trzech miejscach wszczęty pożar zniszczył pięćdziesiąt włók wysokopiennego lasu.

Władze wzięły się w tę sprawę, ale winnych, mimo usiłowań, nie wykryto.

Lila, która mimo oporu Hubego i Michasi, pojechała konno, za strażą ogniową, doglądać ratunku, wróciła przeziębiona, w gorączce, nieprzytomna prawie. Biedną musiano z siodła przenieść do apartamentów, rozebrać i położyć do łóżka.

Wezwano trzech najlepszych lekarzów z Warszawy — czuwano dzień i noc nad chorą — lecz zapalenie oskrzeli przemieniło się w zapalenie płuc i tak już poprzednio nadwyreżonych — uczeni adepci sztuki spoglądali na siebie znacząco...

Ostatnie nitki wąskiego życia brzydkiej dziewczyny rwały się jedna po drugiej, gasła powoli, przytomna, zrezygnowana na śmierć, która miała być dla niej wybawieniem od cierpień.

Nadesłano list z Paryża.

Gdy Michasia, z nieotwartym jeszcze w rękę, stanęła w sypialni przyjaciółki, rozpogodziło się na chwilę oblicze chorób.

Mówić nie mogła już — ruchem rączki wyraziła tylko żądanie, aby go dziewczę przeczytało.

Był krótki... zawierał pośrednią wiadomość, że jakiś Kruszewski podjął się w Argentynie stanąć na czele budowy drogi żelaznej przez góry, do pacyfiku.

„Będziemy pisać do konsula naszego tam — po sprawdzeniu, natychmiast wszystko doniesiemy, dodawali Grabińscy.

Uśmiechnęła się smutno, zamglone oczęta mówiły wyraźnie, że spodziewa się prędzej wiedzieć coś o nim niż rodzina.

Lila była głęboko religijna — pastor dysponował ją na śmierć, później polecił przywołać katolickiego proboszcza i cisnąć do ust dłoń kapłana...

— Pobłogosław mię i ty! szepnęła za ledwie dosłyszanie.

Ostatni dzień listopada był ostatnim dniem życia Lili. Zgasła cicho; spokojnie, trzymając za rękę Hubego i Michasię z ciotką Firlecką u wezłowa.

Przed pałacykiem snuł się chmurny tłum pracowników—dopytywał służby to płaczliwie, to groźnie na przemiany, o postęp niemocy jasnej paniunki, obwiniał niesłusznie lekarzy, obwiniał całe otoczenie.

Ah, gdyby wtedy zła gwiazda była barbnostwo v. Eisencwikel powiodła przez Górówkę — tłum ten wściekły z bólu i żalu, byłby popełnił zbrodnię.

\* \* \*

Drugiego grudnia długi, żałoby kondukt sunął wielką lipową aleą, ku spólnemu cmentarzowi obu obrządków.

Duchowni, bratnio, w obec majestatu śmierci, kroczyli przed trumną, niesioną przez pracowników Górówki. Za nią słaniała się Michasia w czarnej szacie i biedna ciotka—płakał jak bóbr stary Eisenherzhut...

\* \* \*

Otwarty testament Lili, zostawiał pół miliona rubli ciotce Firleckiej, jako dożywocie wracające później do kas zakładu—sto tysięcy rubli do rozdzielenia między robotników, służbę i oficjalistów—pół miliona do podziału między dalekich krewnych z Konnewitz pod Lipskiem—całe zaś mienie Michasi Hube, jako dowód przyjaźni i podziękii za setne dowody poświęcenia.

List dołączony do ostatniej woli, zawierał te tylko słowa:

„Jedyna moja Michasiu.

Poświęć się i odszukaj go, odszukaj koniecznie. Niech zapomni urazy do mnie i przez pamięć tęj, co go tak kochała, niech choć tobie łyzy i cierpienia nagrodzi.

Strasznie byłoby mi umierać z myślą że nie ty, a inna jaka kobieta... ale ty spełnisz moje życzenie, prawda Michasiu? Będziesz dobrą, szlachetną, wychowasz dla Boga i dla tej ziemi jego dzieci!

*Lila.*

## XVI.

Gdy w miesiąc po skonie brzydkiej dziewczyny, Michasia stanęła przed ojcem z depeszą z Bordeaux w rękę i powiedziała mu: Tatusiu, nam już pora... za tydzień, pakebot „L'Aigle“ odpływa do Argentyny... Staruszek popatrzył na jedynaczkę bawczo...

— Czy ty zniesiesz trudy przeprawy? zapytał z niepokojem.

— Czy zniosę? sto innych jeszcze... dla niego!

— Więc tak kochasz?

-- Ta miłość jest życiem dla mnie... a żyć chcę koniecznie! odpowiedziała z mocą, biorąc oburącz głowę ojca i składając mu na czole serdeczny pocałunek.

Następnego dnia opuścili oboje Górówkę.

# KRONIKA PARYZKA,

## LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA



Uroczystości w Mâcon z powodu stułetniego obchodu urodzin Lamartina.—Mowy Juliusza Simon i biskupa z Autun. — Sądy dzisiejszych literatów o Lamartinie—Kleopatra nowy dramat Wiktoryna Sardou i p. Moreau. — Dramat Jerzego Duruy: Ni Dieu, ni Maître. — Zmarły powieściopisarz i publicysta Alfons Karr.— Ostatnia jego powieść „Helena“.—Studya literackie i historyczne Józefa Reynach. — Wpływ Francji na Niemcy. — Konferencya p. Jana Dybowskiego: Wycieczka na Saharę.—Rozprawa o Mickiewiczu pr. Dillon w przeglądzie angielskim: The fortnightly Review.

„Jeszcze grób nie zarósł murawą, a pamięć ludzka zarosła już chwastem!“ Smutne to przysłowie, owoc doświadczenia tylu minionych wieków, stosuje się szczególnie do Lamartina, do wielkiego, a tak lekkomyślnie zapomnianego poety. Przepomniała Francya, że ten poeta w czasach największej posuchy litarackiej, wyśpiewał cudne pieśni, które, jak rosa z nieba, przeniknęły do gruntu dusze spragnione wyższych ideałów; przepomniała Francya, że ten trybun potęgą słowa zażegnał wściekłość rozpasanych tłumów i powstrzymał rozlew krwi bratniej. Ale otóż wybiła godzina zadosyćuczynienia. W setną rocznicę urodzin poety, naród jakby ze snu zbudzony, zastydził się niewdzięczności własnej; uczcił serdecznym hołdem kolebkę wieszczą swego w mieście Macon i grobowiec we wsi Saint-Point.

Tłumy ludu zebrały się na uroczysty obchód. Władze rządu- we przyjęły w niem udział, w osobie ministra oświecenia. Wszystkie towarzystwa literackie w ślad za akademią Francuzką, wyprawiły do Mâcon głównych przedstawicieli, przybył nawet Biskup z Autun, pobożny i uczony ksiądz Peraud, członek akademii; samą obecnością swoją uświęcił uroczystość, a przemówieniem w katedrze nadał jej religijny charakter.

Niepodobna nam opisywać tych czterodniowych godów, tych wspólnych pielgrzymek i wygłoszonych oracyi. Zatrzymamy się głównie nad piękną mową Juliusza Simona, w której znakomity akademik zaznaczył miejsce Lamartina w historii literackiej i politycz-



nej Francyi, a zaznaczył tak głęboko, że sąd jego zasługuje na uwagę wszystkich ludów cywilizacji europejskiej—przytaczamy w treści tę mowę.

W ogólnych zarysach przebiega Juliusz Simon, życie Lamartina. Przyszedł on na świat w epoce gwałtownego przewrotu, w r. 1790, na krótki czas przed terroryzmem. Małym był dzieckiem, kiedy ojciec wtrącony do więzienia, skazany na gilotynę odzyskał wolność skutkiem upadku Robespiera. Wychowany od kolebki w tradycjach chrześcijańskich i monarchicznych, ukończywszy nauki u Braci w Bellay, służył chwilowo w gwardyi królewskiej po powrocie Burbonów. Uwolnwszy się od służby, pośpieszył do Włoch i długo tam przebywał. Życie paryzkie budziło w nim niesmak, pomimo świetnego powodzenia, jakie zapewniało mu w salonach imię arystokratyczne i postać idealnej piękności.

Lamartine urodził się poetą, od lat dziecinnych składał udatne wiersze, kochał gorąco rodzimny język, miał wydobywać z niego harmonijne tony, nie oglądając się na żadne przepisy szkolne. Pieśń płynęła mu z pod pióra bez najmniejszego wysiłku, istnie jak kwiat rozwijający się pod słońcem i rosą.

Nie wiele czytał. Sam wymienia poetów, których upodobał sobie. Do tych należeli: Hiob, Homer, Wergili, Tasso, Milton, Rousseau, Ossyan i Bernardin de Saint-Pierre, śpiewak P a w ł a i W i r g i n i i. Poeci u początków tego wieku, uwikłani w klasyczne pęta, nie odpowiadali mu wcale, czuł on, że nowe społeczeństwo nowiej wymaga poezyi.

Miłość dla Elwiry rozlitła w sercu młodemu prawdziwe natchnienie poetyczne. Z jej śmiercią nie zgasł zbudzony płomień, ale podniósł się wyżej, ogarnął szersze widnokreśli. Poeta w nową uderzył strunę, wyśpiewał medytacje poetyczne, ożywione techniem religijnem. Wachał się z wydaniem tych utworów, czytywał je tylko w kole poufnych przyjaciół. Serca, długą zwątlone posuchą, odczuły głęboko nowy podźwięk. Przyjaciele rozrywali te rzeźne zwrotki, przepisywali je, powtarzali z pamięci po salonach. Ulegając im poeta, ogłosił m e d y t a c y e w roku 1820. Paryż przyjął je z uniesieniem. Imię Lamartina przebiegało z ust do ust, w okamgnieniu zdobyło popularność. Prawdziwy był tryumf poety, największy, mówi Simon, jaki geniusz zdobyć może: nie dość, że czarował ludzi; ale budował ich, czynił lepszymi, napełniał serca wielkiem uczuciem, umysły szlachetną karmił myślą.

Po medytacjach wydał Śmierć Sokratesa, Ostatnią pieśń Child Harolda, Harmonie poetyczne i religijne. Sława zdobyta na polu poezyi, otworzyła przed nim zawód dyplomatyczny, spełniał go w Neapolu, w Londynie i Florencyi. Przebywając we Włoszech, poślubił bogatą dziewcziczkę angielską, pannę Birch, rozmiłowaną w jego poetycznych utworach.

Akademia Francuzka w roku 1840, wprowadziła Lamartina w progi swoje, przy poklasku świata literackiego. Przyjmował go sławny Cuvier, wymawiał pocie, że się zajmuje polityką z uszczerbkiem poezji, której powinien każdą poświęcić chwilę.

Wkrótce potem Lamartine urzeczywistnił myśl od dawna wymarzoną: popłynął na wschód w towarzystwie żony i córeczki Julii. Nowe tam napotkał tryumfy; poeci i filozofowie wschodni biegli ku niemu z uwielbieniem, błagali go o słowo prorocze. Podróż, tak świetnie rozpoczęła, zakończyła się katastrofą; nieszczęśliwi rodzice wrócili z trumną jedynęj, gorąco kochanęj dzieciny.

Imię poety zdobyło wtedy nowy rozgłos. Czarodziejski opis podróży na wschód, zachwyił cały świat literacki.

Za powrotem do kraju, Lamartine niebaczny na przestrogi Cuvier'a, wystąpił do działania w zawodzie politycznym. Wybrany na deputowanego z Dunkierki, przyjął mandat, ale, jak mówi Simon, czuł się w izbie odosobnionym. Był tam jakby generał bez żołnierzy. Podnosił z trybuny pytania społeczne o jakich nikt wtedy nie myślał. Przemawiał do przyszłości. Wysławiano jego czarodziejską wymowę, podnoszono wniosłe ideały, ale praktyczni ludzie mówili: „to poeta“!

Jakoż Lamartine wszędzie i zawsze był poetą był nim gdy z liiry harmonijne wydobywał dźwięki, był nim zarówno, kiedy przebiegając fakta dziejowe, wydobywał z nich promyki idealnego piękna. a olśniony ich blaskiem, pomijał odwrotną stronę medalu. Zarzucano mu to w „Historyi Zyrondystów“, a co więcej wyrzucano mu, że świetnym obrazem wielkiej rewolucyi pragnął przygotować umysły do nowęj republiki.

Juliusz Simon protestuje przeciwko temu. „Jeśli, mówi on, Lamartine historią Zyrondystów przyczynił się do rewolucyi 1848 roku, uczynił to bezwiednie i mimowolnie. Historia ta wcale nie jest historią. Lamartine nie był nigdy historykiem, nie sięgał wgłąb źródeł, nie badał dokumentów. Opowiadał tylko fakta, przedstawiał je w pięknych zarysach, powłoczył świetnym kolorytem, lecz brał gotowe materiały, nigdy ich nie rozbiierał krytycznie.“

„Gdy pochwycił wątek wypadków, mówi Simon, pracował nad nim, przeistaczał go, czynił w nim niespodziewane odkrycia, zapełniał przerwy, odgadywał tajemnice, uwydatniał charaktery osób, malował sceny żywotne, pełne ruchu. Dzieło, utworzone w ten sposób, nie było ani historią—ponieważ prawda zakrawała w niem na romans,—nie było też romansem, gdyż fikcyja opierała się zawsze na historii. Umiał poeta przybrać je magnetycznem urokiem stylu, opanował też umysły czytelników. Tym sposobem historia Zyrondystów, ułożona według fantazyi i gorących uczuć autora, stała się czynną propagandą republiki. Nie mięszał się Lamartine do walki ulicznej, nie wywoływał jęj ani pragnął. Republika powstała pomimo jego woli, lecz powstała przez niego. Gdy była ogłoszoną, powołano go do rządu.

Przyjął wezwanie; „Mogłem, mówi on, podać sumiennie rękę ludowi inaugurującemu republikę. Ośmnaście lat całkiem niepodległego życia oddzielało mnie od dawnych wspomnień i od obowiązków zaciągniętych za młodu dla monarchii. Umysł mój rozwinął się, idee rozszerzyły, moje serce wolne było od wszelkich węzłów, uważałem za jedyną powinność służyć krajowi memu“.

„Nastąpił przewrót gwałtowny i zupełny, dodaje Simon, rewolucya ta, jak wszystkie nagłe rewolucye, wiedziała co chce zniszczyć, lecz nie wiedziała co zbudować, co zachować z przeszłości. W co się obróci własność po zwycięstwie proletaryatu? co postanowi wojsko? jak postąpią obce państwa? Groźne to były problemy: pytano szczególnie co uczyni lud, skąd szczególne zagrażało niebezpieczeństwo“.

Ale dwa były ludy. Jeden szukał ocalenia, drugi pragnął przedewszystkiem zmiany. Jeden chciał trwać i organizować się na nowo, lecz na dawnych podstawach, drugi myślał tylko o zemście i tryumfie. Oba ludy stanęły w obec siebie, zmierzyły się oczyma. Pierwszy wziął za godło trójkolorową chorągiew, drugi podjął chorągiew czerwoną. Francya czekała drżąca z trwogi. Wówczas to Lamartine z ganku ratusza zawołał w obec rozhukanego tłumu: „Chorągiew trójkolorowa obiegła świat, chorągiew czerwona okrążyła pole marsowe, starzana we krwi bratniej!“ Świat przyklasnął tym słowom.

Od tego dnia, okres bohaterski rozpoczyna się w życiu poety. Wciąż stojąc na wyłomie, uspokaja roznamiętnione umysły, porywa serca, zapala wyobraźnię, na jego wymowie spoczywała jedynie siła rządu tymczasowego, spoczywało bezpieczeństwo cywilizacji. Od świtu do zmroku tłumy zapełniały ulice, wśród sterczących jeszcze barykad, snuły się bezustanku deputacje towarzystw rzemieślniczych z chorągwiami, na których wypisano żądania i straszliwe pogroźki. Rojowiska te, zbrojne w piki i karabiny, ciągnęły z przedmieść do ratusza. Przyjmował je Lamartine.

Świadek i współuczestnik tych manifestacji, Juliusz Simon, pokazuje niezmordowaną działalność Lamartina. Aby zażegnać burzę, podniecał on pełną żaru wymową, zapaśników porządku, gotowych stawić czoło krwawej rewolucji: „Ohwytaliśmy z otuchą te słowa, mówi Simon, jak Francya długa i szeroka, jedni powtarzali do drugich. „Pozostał nam jeszcze Lamartine!“! Jak niegdyś mówiono: „to poeta!“! ale poezya objawiła się teraz w roli zbawczej. „To poeta“, mówiono, i serca błogi napełniał spokój. Rzekłby kto, że wróciły czasy bajeczne, że wieszcz trzyma wszystkich, tak przyjaciół jak wrogów, pod zaklętym czarem swęj pieśni. Serca uderzały zachwytem i wdzięcznością. Gdy się ukazał na ulicy, tłumy biegły za nim z okrzykiem uwielbienia z miłości. Jeśli jechał powozem, wyprzęgano konie, ciągniono go jak tryumfatora“.



W dniu 4 marca, Lamartine jako minister spraw zagranicznych, przemówił do dyplomacyi europejskiej, nieznanemi jęj słowy. „Francya, rzekł, po raz drugi powołała lud do stanowienia o swym losie, na prawach równości i swobody, nie zamierza propagować na zewnątrz przyjętych zasad. Pragnie pokoju, chce żyć w zgodzie i przymierzu z monarchicznemi państwami, tak samo jak i z republikami, strzeże wiekowej chwały swojej, dawnych tradycyi, zwyczajów, nacechowanych szlachetnością i męstwem, ale odtąd jedynym celem jęj zabiegów: oświecać lud, ułatwiać mu pracę, zniszczyć do gruntu pauperyzm. Natchniona filozofią, nauczona doświadczeniem pragnie poczuciem braterstwa zastąpić dawne gwałty“.

I Europa uczyniła tak samo, jak przedmieścia paryzkie, gdy rozgorączkowane gniewem wybiegły z domów swoich, a powróciły uniesione wdzięcznością, zachwycone potęgą słowa. Koalicya przygotowaną już była przeciw Francyi; w słowach Lamartina oceniono francuzki naród; słusznie mówiono, że lud, który go słucha i głosem jego przemawia do innych ludów, nie może być uznanym za wroga cywilizacyi. „Jemu to, dodaje Simon, zawdzięczyliśmy pokój świata, zarówno jak bezpieczeństwo domów i ulic naszych“.

W wyborach powszechnych dziesięć departamentów powołało go na deputowanego, mimo że wcale nie starał się o mandat. Gdy zgromadzenie narodowe wystąpiło po raz pierwszy w Izbie prawodawczej, mury wstrząsły się od oklasków. Wśród okrzyków. „Niech żyje Rząd narodowy“! odrzmięwało imię Lamartina. Deputowani zstępowali z ław, składali mu holdy. Chmary ludu otoczyły izbę, pokryły wybrzeża i place. Członkowie zgromadzenia, wywołani głosem powszechnym, ukazali się pod kolumnadą; słynniejszych: Franciszka Arago, Ledru Rollin'a, Lacordair'a, witano z uniesieniem, ale gdy wystąpił Lamartine, szal ogarnął umysły, okrzyk jednomyślny uznał go bohaterem dnia tego. Każdy powtarzał w duchu: „Za tyle zasług, naród nie ma odpowiedniej nagrody“!

„Upadł przecież Lamartine, rzekł Simon, runął ze szczytu chwały. Ciężkoż mi mówić o nieszczęściach Francyi. o cierpieniach męża, którego wypadało otoczyć miłością, jak żył otoczony promieniem sławy! Lamartine był człowiekiem, mógł niekiedy okazać się słabym. Nie do mnie należy wchodzić w szczegółowe sądy o jego polityce. Jego życie tak pełne chwały, że w blasku jęj nic innego widzieć ani chcę, ani mogę. Potrzeba mu było złota dla wywiązania się z długów; zażądał tego złota, mówiono, że żądał za wiele, oto i cały zarzut. Powiedzmy przynajmniej, że niczego nie żądał sam dla siebie. Ten, który rządził Francją, który ją ocalił, przyodziął blaskiem sławy, mozolił się od świtu do zmierzchu, i to w wieku, gdy praca w dwójnasób bywa trudną. I nikt nie słyszał z ust jego słowa skargi na niewdzięczność współczesnych ani na upadek własnej siły. Umysł zachował pelen życia, serce pełne spokoju. Pracował do ostatniego tchnienia. Taka starość ma prawo do uznania potomnych“.

„Kiedy powołaliście nas, kończy Simon, do obchodu jego stulecia poruszył się naród francuzki. Na głos wasz przybiegły wszystkie akademie, wszystkie stowarzyszenia literackie. Ta uczta narodowa jest dla nas jakoby ucztą rodzinną, charakter bowiem Lamartina budzi w nas miłość i uwielbienie. Żaden poeta nie mówił częściej o Bogu, dla tego to właśnie, przemawiał tak silnie do serc ludzkich, bo jeśli Bóg dalekim jest od nas wielkością i potęgą, za to miłosierdziem i dobrocią dotyka tak blisko serc naszych“.

Pełne uczucia słowa Juljusza Simona poruszyły słuchaczy tem silniej, że poprzednie mowy prefekta, ministra i innych figur urzędowych były raczej apoteozą rewolucyi niżli uczczeniem Lamartina.

Czterodniowa uroczystość zakończyła się żalobnym nabożeństwem w katedrze, przemówił tu biskup Perand, rozpoczął słowami poety:

„Boże kołyski mojej, bądź Bogiem grobu mego“. Słowa te, rzekł biskup, powtórzone w murach tego kościoła, gdzie pobożni rodzice sto lat temu przedstawili dziecę, które miało być Alfonseni Lamartinem, niech będą echem prawdziwych uczuć, jakie go zawsze ożywiały“.

Pomiędzy tą kolebką, nad którą czujna matka zasiewała w sercu dzieciny ziarna miłości Bożej, a tym grobem, do którego zbliżał się starzec, pełen wiary i nadziei, z okiem utkwionem w krzyż Zbawiciela, nie mógł pobożny biskup pominąć bez zastrzeżenia kilku chmurek, które nad głową poety przyćmiły jasny błękit. „Były, rzekł on, zaprawdę w życiu Lamartina chwile smutnego przełomu, gdy porwany filozoficznym prądem składał ofiary Bogu w przyrodzie a przepomniał o Bogu chrześcijańskim — chwile te krótko trwały“.

Po tém zastrzeżeniu, — dotyczącem zapewno Josselin'a i Zyrondyków, biskup podnosi geniusz poety i zasługi dzielnego zapaśnika w walce przeciw bezbożnym a rozszalałym tłumom. Wspaniałą mowę zakończył słowami Lamartina. „Modlitwa to ostatni wyraz prawdziwej cywilizacy!.. Człowiek najpiękniej się przedstawia, kiedy śmiało stoi w obec bliźniego, ludzkość najpiękniejsza, kiedy kładzie przed Bogiem“.

Z powodu uroczystości w Mâcon, redaktor „Monitora“, Ernest Daudet, zebrał sądy o Lamartinie pierwszorzędných literatów dzisiejszych i ogłosi je drukiem. Ciekawe zestawienie tych sądów, rzuca światło nie tyle na Lamartina, którego oceniła już potomność, jak raczej na charakter epoki dzisiejszej, to jest głównych jej przedstawicieli na polu umysłowem,

Oto sąd Aleksandra Dumasa:

„Nie tylko że wielbię Lamartina, ale mam dla niego cześć prawdziwą. Ten, który napisał M e d y t a c y e, Zyrondyków i „Ma-

nifest do państw zagranicznych“, ten, który rzucał wielkie słowa w Izbie prawodawczej, przedstawia się w oczach moich, jako największy pisarz wierszem i prozą, jako największy orator, największy polityk i największy obywatel czasów dzisiejszych. W przekonaniu mojem, to nie tylko jeden z wielkich ludzi, ale wielki człowiek w pełnem słowa znaczeniu.

Określić go niepodobna, jest bo jest, jak góra, jak przyływ oceanu, jak wschód słońca ośniewający oczy. Przeszedł—i szlak promienisty pozostawił za sobą.

„Inni wielcy ludzie odrodzić się mogą w następcach: Lamartine odrodzić się nie może. Powtarzam to, com wyrzekł po śmierci poety, nie porównywaną go z nikim, lecz oddzielał od innych. Tak myślałem wówczas, toż samo dotąd myślę“.

Odmienny całkiem sąd Wiktoryna Sardou. „Był to wielki poeta, uczciwy człowiek, ale opłakany polityk. Napsocił nam wiele w r. 1848 i dowiódł raz jeszcze, że poeci a do tego marzyciele najgorszymi są przewodnikami ludów. Wyobraźmy sobie republikę, a na czele jęj Lamartina, Wiktora Hugo i Danta,—uciekać trzeba pomiędzy dzikie ludy“.

Poeta Sully Prudhomme z głębokiem wyraża się uznaniem. „U Lamartina poezya nie jest właściwie mówiąc sztuką; ale prostem a cudownem dziełem przyrody. Jak brzoskwinia z aksamitną powłoką, wonnym napełniona sokiem, tak jego poezya zrodzona i z ziemi i z niebiosów. Lamartine nie uprawiał poezyi, był raczej drzewem, które ją wydawało.“

Z równym zapałem wyraża się Franciszek Coppée. „W tych czasach wiele żyłem z pamięcią Lamartina i jego utworami. Cudowneż to wszystko, rzewne łzy wyciska z pod powiek, Co tu powiedziec o trybunie 1848 roku, który kończy okólnik temi słowy: „Wielkość duszy dziś na porządku dziennym“! Jak nam teraz daleko do tego o mój Boże“!

Claretie przypomina zdanie Wiktora Hugo. „Dnia jednego Hugo rzekł do mnie: „Patrząc na daty,—ja jestem pierwszym poetą nowoczesnym, Lamartine zamyka szereg poetów klasycznych“.

Krytyk Juliusz Lemaitre określa temi słowy geniusz Lamartina. „Ten poeta nie był literatem, jak nie był nim i Homer, wypowiadał bez wysilenia smętne i słodkie uczucia, od trzech tysięcy lat złożone w duszy ludzkiej, miłość czystą i rozmarzoną, współczucie dla życia powszechnego, dążność do zespolenia się z przyrodą, ufność w dobroci Bożej, objawiającej się w niej bezustanku, niepokój w obec jęj tajemnic, a do tego jakieś rzewne połączenie się pobożności chrześcijańskiej z idealizmem platońskim“.

„Chwała mu na zawsze! Męczą nasz umysł łamigłówni wersyfikacyi, trzodzi niekiedy styl plastyczny, ckliwe nam wyrafinowane jego ozdoby, nuży zbyt zbyteczna malowniczość, przesycę wymuszona retoryka. Zmordowana tęp wysileniem myśl nasza, czuje niewysłowio-



ną rozkosz pod urokiem tych wierszy, wytrysłych z głębi serca, jak strumień żywej wody“.

Zagadniony Zola, taką dał na piśmie odpowiedź. „Wyznaję, że mało czytałem Lamartina, nie był on już poetą pokolenia mojego. Upoił nas Wiktor Hugo, a bardziej jeszcze Alfred Musset. Nie podobna mi też w krótkich słowach wyrazić mojej opinii. Sądzę, że Lamartine był wielkim, że poszedł w zapomnienie. Pomimo to upokorzył pychę najdumniejszych pomiędzy nami“.

Sąd Berżerota najzuchwalszy ze wszystkich:

„Na polu sztuki, ci, którzy obronili Francją od chorągwi czerwonéj, muszą z konieczności ustąpić przed tymi, którzy podali ją w ręce narodu. Bądź cobądź, Wiktor Hugo stoi na krzyżanku wieku dziewiętnastego“.

Obok tych dorywczych sądów literackich, utworzył się o Lamartinie głęboki sąd, uświęcony tradycją w jego rodzinnem gnieździe. Ten *vox populi*, zebrał Juljusz Simon, podczas kilkodniowego pobytu w Mâcon. „W rozmowach codziennych z ludźmi tamtejszymi, mówi on, odkryłem Lamartina, o jakim mało wiedzieliśmy w Paryżu, Lamartina dobroczynnego i wspaniałomyślnego aż do heroizmu, czasem aż do szaleństwa. Nie wiedzieliśmy tu gdzie poszły jego wielkie dostatki. Oprócz owej podróży na wschód, odbytej po książęcemu, żył on nadzwyczaj skromnie, nawet w czasach pomyślności. Otóż zrujnowały go czyny miłosierne. Nie chwalebne ja nieogłędności, ale ze wszystkich sposobów, jakimi dochodzi się do ruiny, ten zapewne najgodniejszy przebaczenia.“

Miał on szczególne upodobanie w przejażdżkach odkrytym pojazdem; umyślił więc kupić sobie lekki koczeczek, jeździć nim codziennie do lasku bulońskiego. Trzeba było na to do trzech tysięcy franków. Zbierał je bardzo skrzętnie. Mało już brakło, kiedy uboga wdowa, której nie znał, jęła opowiadać mu swoje nieszczęścia. Mąż zostawił ją z trojgiem dzieci bez najmniejszego sposobu utrzymania. Wychowana w dostatkach, miała na przyszłość pewne nadzieje. Zalewała się łzami, wzruszyło to poetę. Biedaczka chciałaby założyć jakiś handel, ale potrzeba na to znacznej summy... gdzie ją tu znaleźć? do kogo się udać?

— Ileż na to potrzeba—spyta Lamartini.

— Potrzeba tysiąc franków.

Poeta rozbija glinianą skarbonkę, dobywa złoto, kładzie tysiąc franków w ręce nieszczęśliwej wdowy.

— A co będzie z powozikiem wujaszka? — zagadnął młody wzruszony głosik.

— Moje dziecię, będziemy chodzić pieszo.

Innego dnia, jakiś nieznaną poeta, napisał do niego z prośbą o przyjęcie dedykacji wierszy, przygotowanych do druku. Lamartine odpowiada, że chce widzieć rękopism. Przychodzi poeta, przynosi prace. Były w nich polski talentu. Lamartine czytając spogląda

ukradkiem na autora, istny to obraz nędzy. Za ledwie odziany, wyżółkły, śnać nie jadł od dni kilku.

— Przyjmuję dedykacją—rzecze Lamartine—i kładzie podpis na pierwsze egzemplarze, to mówiąc wsuwa parę sztuk złota w rękę autorowi. Uszczęśliwiony gość żegna się, odchodzi. Gospodarz odprowadza go do przedpokoj. Było to zimą, wichur dał przeraźliwie. Biedak miał na sobie letni połatany surducik. Widzi to Lamartine, zdejmując z kołka własny płaszcz, zarzuca go na ramiona odchodzącemu.

— Zapominasz pan o płaszczu swoim.

— Ależ to nie mój—odpowie gość zmieszany.

— Musi być twoim, skoro nie należy już do mnie — rzecze ze śmiechem Lamartine.

Mnóstwo podobnych przygód opowiadano w Maçon. Imię poety żyje tam otoczone miłością i błogosławieństwem.

W chwili gdy to piszemy, Paryż nie ochłonął jeszcze z zachwytu wywołanego przedstawieniem Kleopatry i nieporównaną grą Sarby Bernard.

Traiczna historia królowej Egiptu, opisana świetnie przez Plutarcha, dała pobudkę artystom do nieprzeliczonych dzieł sztuki. Postać czarodziejki, odtworzona tysiące razy tak pędzlem jak i dźwiękiem. Traicy klasycyści zarówno jak romantycy dramaturgowie, brali ją wielokrotnie za bohaterkę swych utworów. Wszystkich prześcignął Szekspir: Kleopatra, to jeden z najcenniejszych klejnotów jego artystycznej korony.

Wiktoryn Sardou, ze swym współpracownikiem Moreau, podjęli znany historyczny wątek, przedstawili stosownie do wymagania dzisiejszego teatru i do smaku publiczności, roznielonej przedewszystkiem w blasku i scenicznych efektach. W sześciu obrazkach składających dramat, roztoczyli cały przepych wschodu przed oczyma olśnionych widzów. Do tej fantasmagoryi przyczyniła się wielce gra utalentowanej artystki.

Czy literatura wzbogaciła się nowym arcydziełem? Przyszłość na to odpowia. Gdyby można ocenić wartość sztuki na miarę sypanych jej oklasków, Kleopatra pp. Sardou i Moreau przerosłaby o wiele Kleopatę, stworzoną jeniusem Szekspira.

Oto treść dramatu, któremu Paryż dał nazwę fin du siècle, jaką nadaje dziś wszystkiemu, co świeci sztucznym, efemerycznym blaskiem.

Po śmierci Juliusza Cezara, Antoniusz z Oktawianem i Lepidem, składa panujący w Rzymie tryumwirat. Przybył do Azji z zamiarem skarcić sprzymierzeńców Brutusa; do nich należy Kleopatra, królowa Egiptu. Pierwszy akt odbywa się w Cylicyi, w mieście Ta-

rsos. Przed pałacem, pod kolumnadą, skąd widok ogarnia rzekę Kadmus, Antoniusz zasiadł na podwyższeniu. Do stóp Tryumwira cisną się oskarżeni, błagają łaski, on odtrąca ich z gniewem, ukazując klepsydrę.

— Jeśli, rzeczce, królowa Egiptu nie stawi się przedemną, zaczem spadnie na dno ostatnie ziarnko piasku, wasze głowy padną pod mieczem!

Dreszcz przebiegł po obecnych, pełni trwogi i rozpaczy spoglądają ku rzece.

Tryumwir daje znak siepaczom; w tejże chwili smętny chór dobiega zdaleka, ukazuje się pyszna galera ze złotym rudlem, o żaglach purpurowych. Kleopatra błyszcząca od klejnotów, w złotym kasku na głowie, z berłem w rękę, spoczywa na pokładzie, otoczona gronem nymf i amatorów. Głowy spiskowych jeszcze nie padły pod mieczem, przybyła w samą porę.

W spotkaniu z tryumwirem, królowa rozwija czarodziejski nrok. Olśniony jęć blaskiem, porwany zaklętą siłą słowa, groźny zrazu Antoniusz, zstępuje pomału z estrady, moc nieprzeparta ciągnie go do stóp czarodziejki: w oka mgnieniu zwycięzca staje się niewolnikiem.

Drugi akt przenosi nas do Egiptu. W Memfi, w pysznym pałacu Ramzesa, przed oczyma Antoniusza i Kleopatry, czarne jak heban niewolnice, lśniące od złota, płasają rokosznie, do taktu z chórem starożytnym. Kleopatra wpadła w sidła przez siebie zastawione. Miłość z razu udawana, opanowała serce czarodziejki.

Przybywają dwaj wodzowie rzymscy Derutas i Demetriusz, wierni stronnicy Antoniusza, przynoszą wieść o skonie małżonki jego Fulwii, i groźniejszą stokość o wiszących nad Rzymem chmurach, z których wnet uderzą pioruny. Pompejusz panuje na morzu, zajmuje okręta ze zbożem, wyprawiane z Afryki i Sycylii. Rzym łaknie chleba, Italja w rozpaczy, głos powszechny wzywa Antoniusza.

Tryumwir odnawia wręcz, jemu wschód przypadł działem: Oktawiusz włada w Rzymie, niech on czuwa nad losem Italii.

Inaczej rozumie Kleopatra powinność Rzymianina. Pragnie widzieć czoło ukochanego, otoczone blaskiem nowej chwały. Wyprawia go do boju, sama wdziewa mu zbroję, podaje miecz do ręki. Rozstają się niebawem. Królowa oddala dwór, zostaje sama, pogrążona w boleści, targana złowrogim przecuciem.

W akcie trzecim roztacza się cudnie piękny obraz. Teatr przedstawia szeroki taras pałacowy, poniżej ciągnie się miasto Memfis, dalej sterczą olbrzymie piramidy, przepływa Nil, a dalej pustynia zamyka niezmierny widnokrąg. Wszystko to elektrycznym blaskiem oświeca księżyc w pełni, otoczony gwiazdami.

Kleopatra złożyła głowę na złotolitem wezgłowie, serce jęć szarpane gwałtownym niepokojem.

Antoniusz nie pisze, jakby przepadł bez wieści... Wyprawiała gońca do Rzymu, oczekuje nań gorączkowo.



Otóż wysłaniec przybył, oznajmiają go królowej. Zrywa się, wygląda wsparta o balustradę. Wchodzi goniec, milczy, przejęty trwogą... Rozkaz królowej rozwiązuje mu usta. Antoniusz żyje... Kleopatra, uniesiona radością, obdarza hojnie zwiastuna dobrzej wieści. Antoniusz żyje, ale nie dla niej! Pojednany z Oktawianem zasłubił siostrę jego Oktawię. Słyszy to Kleopatra, z oczu jej sypią się błyskawice, z ust wybiegają gromy. Odpędza precz wysłanca, grozi mu śmiercią, i znów go przywołuje, bada o Oktawię... Od łez przechodzi do szalonego śmiechu.

W tem coś w powietrzu zaszumiało... przylata ibis z rozpostartymi skrzydłami. Łucznik ugodził go strzałą. Wśród różowych piór znaleziono liścik Antoniusza: „Nadeślij flotę do Akcyum“.

— Pośpiesz się sama!—zawoła Kleopatra.

Na przylądku Akcyum odbywa się akt czwarty.

Kleopatra kazała obwinąć się w makatę, ponieść jak ładunek do namiotu Antoniusza. Złożono ją na wezglówiu ukrytym poza draperyą. Ciężkie tu zniesie próby. Nadchodzi trybun: wprowadza młodą żonę, słodko przemawia do niej. Kleopatra widzi ich, słyszy, pochłania każde słowo. Nie dosyć na tém: wchodzi wodzowie rzymscy, z szyderstwem mówią o królowej Egiptu, rzucają na nią coraz nowe obelgi i potwarze. Antoniusz zajęty młodą Oktawią słucha ich obojętnie. Wyliczają przed nim cały szereg dawnych i nowych ulubieńców Kleopatry. Ostatnim z nich, jak mówią Kaphren, jej minister. Królowa słucha, przyklękła na wezglówiu, zpoza draperyi wychyla naprzód głowę. Wzrok jej piorunujący, rysy skurczone konwulsyjnie.

Antoniusz zostaje sam; przysięga, że nie kocha jej, że nią gardzi, a przecież dręczy go myśl, iż inny tak rychło go zastąpił.

Wtem ukazuje się Kleopatra. Antoniusz rzuca jej w oczy klątwy; królowa broni się z oburzeniem. Ona nie kocha Kaphrena, mogłaby kochać sługę?

— Daj mi dowód! — zawoła tryumwir — i w oczach moich zamorduj Kaphrena!

Kleopatra wpuszcza w głąb czary truciznę ukrytą w klejnocie. Przywołuje obwinionego.

— Niewolnik, rzecze, dopuszcza się zbrodni, jeśli kocha królowę. Weź tę czarę z rąk moich, spełnij ją... to trucizna...

Kaphren podnosi do ust czarę, ale Antoniusz wytrąca mu ją z ręki. Urok czarodziejki ośladnął nim jak dawniej. Wyrzeka się przymierza z Oktawianem, okupionego związkami z Oktawią. Wystąpi z nim do walki. Zasłona zapada wśród okrzyków wojennych.

Między czwartym a piątym aktem, dwaj tryumwirowie wystąpili do zapasu. Pokonany Antoniusz schronił się za warowne mury Aleksandryi, gdzie poprzedziła go Kleopatra. Czemu królowa opuściła go z flotą, nim się zwały losy bitwy? ona sama tłumaczy

powód. Zwycięzki Antoniusz powróciłby do Rzymu i tam połączył się znów z Oktawią. Kleopatra woli raczej widzieć go pokonanym, ale przy swoim boku, niż tryumfującym obok nienawistnej Oktawii. Pod urokiem czarodziejki Antoniusz przepomina o klęsce, poprzysięga jej wieczną miłość.

Tymczasem kohorty Oktawiusza opasały mury Aleksandryi. Na rozkaz królowej, kapłani spełniają ofiary, wzywają pomsty bogów.

Zdrada rozwarła Rzymianom bramy oblężonego grodu: wciskają się do miasta, zajmują pałac. Antoniusz, ugodzony śmiertelnie, zdołał zaledwie przyczołgać się do stóp Kleopatry, skonał niebawem w jej objęciach.

Kleopatra wie, co ją czeka. Przykuta łańcuchem do wozu tryumfatora, daż ona powlec się do Rzymu, pod gradem obelg i szyderczych pocisków? Nigdy! raczej umrzeć, niż ponieść taką hańbę! Sięga ręką do koszyczka napelnionego figami, wydobywa ukrytą w nim żmiję, przykładą ją do piersi. Zatruta jadem, chwieje się, drży, pada przy trupie Antoniusza. Odtąd nic już ich nie rozłączy!

Sahra Bernard, przeistoczyła się rzec można, w czarodziejkę egipską, stała się żywem jej uosobnieniem. Za kilka miesięcy słynna artystka opuszcza Paryż; dwa lata, jak mówią, przepędzi w Ameryce. Kleopatra z całym przepychem wschodnim, błysnie przed oczyma Jankesów, ale Paryż na długi czas uważać ją musi za straconą. Żadna z aktorek dzisiejszych nie ośmieli się zapewne wystąpić w roli, tak świetnie odegranej przez genialną Sarę.

---

W odmienny całkiem świat przenosi nas świeżo drukowany dramat Jerzego Duruy, pod tytułem: Ni Dieu, ni maitre (bez Boga i bez Pana). Dramat ten, głęboko psychiczny, wyrwany z serca społeczeństwa dzisiejszego, wielkie sprawił wrażenie w literackim świecie tutejszym. Główną w nim osobą jest doktor Nogaret, pozytywista zatopiony w nauce, zaprzeczający wszystkiemu, czego nie rozwiąże rozumem. Bezbożność wziął spadkiem po ojcu, wierny zasadom swoim, nie pozwolił chrzcić syna, ani córki, wychowanie tej ostatniej powierzył nauczycielce przesiąkłej nawskroś materjalizmem. Po śmierci pierwszej żony, pojął drugą, żyje z nią około lat dziesięciu, gdy się zaczyna dramat. Ta kobieta szczerze religijna najsmutniejszą jest ofiarą: znosi cierpliwie pogardę męża, urąganie nauczycielki i dorosłych już pasierbów.

Wszystko dotąd sprzyjało Nogaretowi; zyskał sławę i liczną klientelę. Obsypywany złotem, rozsiewa je pełną ręką na filantropijne zakłady. Akademia medyczna powołuje go na członka. W dniu przyjęcia, grono kolegów wyprawia na cześć jego najświetniejszą ucztę.

W oka mgnieniu wszystko się zmienia. Nogaret dotknięty nieuleczoną chorobą, traci ogromne dochody, opuszczają go klienci,

usuwają się przyjaciele, własne dzieci okazują mu niechęć. Pozostaje mu tylko opieka wzgardzonej dotąd żony, która w uczuciu religijnem czerpie siłę do poświęcenia.

Złamany nieszczęściem, przygnębiony niewdzięcznością własnych dzieci, Nogaret odradza się w duchu; ewolucya w umyśle pozytywisty postępuje zwolna, lecz stanowczo. Nim zasłona zapadła, ślepy przejrzał, głuchy posłyszał głos natchnienia, pyszny ukorzył kark przed Bogiem.

Autor drukując swój dramat, czuł, że publiczność nie przygotowana dziś do sztuk tego rodzaju. Poprzedził dramat przedmową, pełną głębokich myśli: obrał do niej formę dyalogu, pomiędzy autorem a panem X, członkiem towarzystwa pisarzy dramatycznych. W usta panu X. kładzie wszystkie zarzuty jakie krytyka czynić mu będzie, wszystkie pociski, jakimi ochłószczą go nieprzeblągani rutyści. Odpiera te zarzuty z głęboką siłą przekonania.

„Wiem ja, wiem, rzecze p. X., dzisiejsza to moda pochlebiać religiji; dziwi mnie jednak ze strony pańskiej, uważałem cię dotąd za wolteryanistę.

— Przebacz mi pan, odpowie autor, nie jestem nim bynajmniej. Może być, iż w początkach zawodu mego wpadłem trochę na Wolteryanizm, czyniłem jak tyłu innych! Ale ta choroba młodości, opuściła mnie całkiem. Przyszła wojna, potem komuna! Wyszedłszy zaledwie z lat dziecięcych, byłem świadkiem tak traicznych wypadków, że dziś jeszcze drzę na samo ich wspomnienie. Widziałem przed laty dwudziestu kapłanów przypartych do muru, przeszytych kulami, widziałem jak podnosili rękę i kreślili krzyż nad głową swych oprawców. I odtąd uszanowałem te poszarpane sutanny, zrumienione krwią, jak mundury wiarusów naszych. I patrząc na to pytałem, czy słusznie czynią ci, którzy usiłują wydrzeć z serc religijną wiarę, kiedy ta wiara uczy jak żyć, a co więcej znaczy, jak umierać! Francya dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje takich, co gotowi spotkać się oko w oko ze śmiercią. Wielu takich potrzeba nam na jutro! A nie ten wygra bitwę, kto będzie miał w rękę najdoskonalszy oręż, lecz ten, kto najsilniej zahartuje ducha do walki.

Starsi bracia nasi sztydzi z religii, i otóż przed laty dwudziestu mordowali biednych księży, wprowadzając w czyn szydercze pociski Woltera. Chęćka do śmiechu odbiegła mnie od dnia, kiedy widziałem szpiczaste kaski obozujące u bramy trymfalnej.

Chwila to była stanowcza dla mnie i ludzi mego pokolenia! Jeśli jak pan mówisz, tyłu z nas przymila się do religii, to ztąd że rok straszliwy dał nam smutną naukę!

— Ależ taka sztuka, jak pańska, odegrana w teatrze, znudzi śmiertelnie publiczność, jój potrzeba zabawić się i uśmieć, ona nie chce kazania, przekłada raczej wodwil.

— Wiem o tém, odpowie z goryczą autor, wodwil górą dzisiaj, niestety! Po wojnie, po komunie, po chłóście, jaka słusznie spotka-



ła nas, bo śmieliśmy się aż do zbytku! Bezecny wodwil wygnał ze sceny naszęj komedyą i dramat, sponiewierał wszystkie teatra nasz! A my przecie narodem pobitym i szarpanym! Nieprzyjaciel czycha, sprzymierza się na krzywdę naszą... Socjalizm, jak wrzód jadowity, wssał się do szpiku naszych kości! O panie! jeśli uczciwy pisarz, patrzy ze zgrozą na tę zbrodnię lekkomyślności teatru dzisiejszego, jeśli wyrzuca mu, że go nie obchodzą wielkie zagadnienia społeczne, religijne i filozoficzne, jeśli oświadcza śmiało, że blaga, że puste frazesa, że czeze dowcipkowania przejmują go wstrętem i zgrozą, że pobłażliwość krytyki, że skażony smak salonów doprowadza go do rozpaczny, na Boga! nie potępiacież go za to!

Piękne słowa autora znalazły oddźwięk w prasie tutejszėj, miejmy nadzieję, że te słowa nie będą głosem wołającego na puszczy i oddziałają pomyślnie na kierunek teatru dzisiejszego.

Kilka tygodni temu umarł w południowėj Francyi Alfons Karr, jeden z małej garstki pozostałych weteranów, którzy przed sześćdziesięciu laty, pochwycili za oręż i wzięli czynny udział, w ówczesnych zapasach literackich. Oręż Alfonsa Karr ostry, często-kroć napuszczony jadem, zranił nie jedną miłość własną, czego mu nie przebaczone; stąd to, kiedy zwolennicy składają dziś wieńce na grób zmarłego, nieprzyjaciele usiłują sponiewierać jego pamięć i sławę, jaką zdobył, zowią uzurpowaną.

Alfons Karr, urodzony w r. 1808, wczesnie wystąpił jako zdolny powiesciopisarz. Obrazy jego brane z życia, miały jakąś smętno-poetyczną barwę, co przypisywano germańskiemu pochodzeniu, był bowiem synem profesora muzyki, Niemca, osiadłego we Francyi.

Powieści te: Pod Lipami, Godzina za późno, Droga najkrótsza, Podróż w koło mego ogrodu, że pominiemy wiele innych, rozgłosiły od razu imię autora. Wystąpił on też i w teatrze: Penelopa normandzka i Żółte róże, obsypane były oklaskami.

W miarę jak pisał Karr, pióro jego zaostrzało się coraz bardziej, werwa satyryczna zapanowała nad idealizmem. W roku 1839, począł wydawać humorystyczny przegląd p. t. *Les guepes* (osy). Co tydzień wypuszczał całe rojowisko brzęczących owadów, które jadowitem żądłem raniły wszystko, co napotkały po drodze. O s y wychodziły przez lat dziesięć. Pierwsi koryfeusze: Balzak, Dumas, Wiktor Hugo, nie uszli ich dotkliwych pocisków; Eugeniusza Sue z szczególną ściągaly zajadłością.

Zapalony miłośnik kwiatów, Alfons Karr, przed laty trzydziestu oddał się ich uprawie. W tym celu zamieszkał pod słońcem południowem w Niecci, urządził tam piękny ogród, założył nawet sklep pod własną firmą. Pyszne bukiety, układane jego ręką, znalazły w Paryżu nie mniejszą wziętość jak i literackie jego utwory. Z Ni-

cei przeniósł się do St. Raphael, ślicznej ustroni nad morzem Śródziemnym, gdzie przeżył lat dwadzieścia, nie ustając w różnostronnej pracy, jako powieściopisarz, publicysta i zawołany ogrodnik.

W kilka dni po śmierci autora, wyszła u Callman-Levy ostatnia powieść jego pod tytułem „Helen”. Ośmdziesięcioletni autor, rozwinął w niej werwę młodzieńczą. Strona uczuciowa oddana tu rzewnie i świeżo, krytyczna—zaprawna pełnym dowcipu sarkazmem. Autor chłoszcze ostro tak zwany postęp, oparty na wyrzeczeniu się dawnych tradycji. Nie objawia politycznych swych przekonań, rzecz jednak widoczna, że patrzy ze wstrętem na dzisiejszy stan rzeczy we Francji. Przytaczamy tu słowa, wypowiedziane na zebraniu publicznem, przez starego pułkownika, wyprowadzonego do powieści.

„Czém ma być święto narodowe? zagadnie mówca, oto świętem, w którym całe społeczeństwo bierze radosny udział, świętem, co ożywia zarówno pałace, chaty i poddasza, bo przypomina wszystkim idee, uczucia i chwile szczęśliwe dla całego narodu. Z tego tytułu świętem narodowem powinna być rocznica urodzin Joanny d'Arc, oswobodzicielki Francji od Anglików. Świętem narodowem byłaby słusznie rocznica urodzin Henryka IV, który objawszy wodze rządu we Francji zrujnowanej, poszarpanej na stronnictwa skutkiem wojny domowej, uczynił ją kwitnącą, pojednaną, bogatą wewnątrz, szanowaną od obcych, tego dobrego Henryka, któremu do szczęścia potrzeba było, aby najbiedniejszy z kmieci, mógł na niedzielę włożyć kurę do garnka, tego Henryka, którego dobroć i odwaga tak głęboko wryła się w pamięć i w serce poddanych, że w obec tych zalet, naród przepomniął o jego geniuszu. A przecież gdyby żył dłużej Henryk, byłby mądrze obmyślanym planem zapewnił na długo pokój sfederowanej Europie! — Każdy Francuz wziąłby z radością udział w takich rocznicach! Cóż tymczasem przedstawia rocznica 14-go lipca? Powie kto: zdobycie bastylji przez bohaterkich Paryżanów! Owóz 14 lipca 1789 roku bastylja, rzecz można, nie istniała już wcale. Przed trzynastu już laty, Ludwik XVI uwolnił wszystkich więźniów i odtąd żadnego nie podpisał wyroku. Bastylja nie była właściwie zdobytą: otworzyło ją dwunastu inwalidów, straż dla formy. Podali się sami; pomordowano wszystkich!

Dzień 14-go lipca był początkiem terroryzmu, t. j. gilotyny. Uroczysty obchód dnia tego, nie jest świętem, ale prostą brawadą, zniewagą, groźbą cząstki narodu przeciw znacznej większości. Nie podobna było wybrać na święto narodowe, daty mniej narodowej, to jest niesprawiedliwej, smutniejszej i niedorzeczniejszej, jak rocznica 14-go lipca“.

Śmiałe te słowa oburzyły republikanów, powstały liczne głosy przeciw autorowi, którego grób nie zarósł jeszcze trawą. Jedni kładą je na karb zdzieciniałego umysłu starca, dla innych, Alfons Karr był i w młodości autorem bez talentu, prostym pamfleciścą, złośliwym szydercą, klótnikiem, sława jego, zdaniem ich, niezasłużona.

Wiele upłynie czasu, nim ogół osądzi Alfonsa Karr według miary własnej i wskaże mu odpowiednie miejsce wśród pisarzy dziełtnastego stulecia.

Z innego stanowiska patrzy na wielką rewolucyą Józef Reynach, jeden z koryfeuszów idei demokratycznej, niegdyś gorący przyjaciel i zwolennik historyka Henri Martin. Wydał on w tych czasach u Hachetta dzieło pod tytułem *Etudes de litterature et d'histoire*, obejmujące długi przebieg lat; od tak zwanej epoki odrodzenia, aż do czasów dzisiejszych. Autor pokazuje tu stopniowy rozwój myśli ludzkiej i wzajemne oddziaływanie jednych społeczeństw na drugie. Zajmuje go szczególnie stosunek dwóch wielkich ludów, osiadłych po obu brzegach Renu; nazywa Francya prawdziwą inicjatorką Niemiec. Wpływ ten, działający stale w przeciągu kilku wieków, objawił się szczególnie podczas francuzkiej rewolucyi.

Aby dać poznać czem były państewka niemieckie, opisuje autor dwór Elektora bawarskiego. Obraz to przerażający: potworne nadużycia stały się wówczas prawem. Elektor, aby starczyć na marnotrastwa i szalone zbytki, sprzedawał własnych żołnierzy obcym państwom, po dwadzieścia ośm florenów za jednego. Lud wiejski oddany na łup poborcom, próżno błagał o sprawiedliwość, nie mogąc jęj otrzymać, porzucał nieuprawne pola. Krew płynęła bruzdami; grozą wyciskano biedakom ciężko zapracowany pieniądz. W Monachium wznosił się ohydny, zawsze gotowy pręgierz; w ciągu lat ośmnastu, w jednym okręgu Burghausen egzekwowano tysiąc stu delikwentów. Wzdłuż gościńców sterczały szubienice. „W Bawaryi, pisze podróżnik jeden, spotykałem tylko wisielców.“ Niszczono księgi Kanta, wypędzano z kraju członków akademii.

Kiedy lud bawarski umierał z głodu, Elektor wyprawiał szalone orgie. Podczas jednej uczty zastawiono czterysta potraw. Jeden z książąt krewnych Elektora, rozgniewany na kuchmistrza swego, kazał go przyprowadzić do siebie, obedrzeć z szat, poczem oblał mu ciału spirytusem i podłożył tam ogień. Wśród takich to czynów barbarzyńskich, wieść o rewolucyi francuzkiej przebiega piorunem całe obszary Niemiec; krew zakipiła w sercach.

Upadek bastylii stał się dla Niemców hasłem rozbudzenia. Reynach przytacza na dowód słowa poetów i filozofów. Jan Müller ogłasza dzień 14 lipca, za najpiękniejszy dzień od upadku państwa rzymskiego; Merck płacze z radości na gruzach bastylii, Schloisser słyszy „chóry aniołów śpiewające „T e D e u m“. Schiller zap suje imię swoje na liście przyjaciół swobody i braterstwa powszechnego; Klopstock, Fichte, sam nawet olympianin Goethe, wita pokłonem nową erę w historii. Stary Kant wychodzi codziennie za miasto na przeciw gońca, przynoszącego wiadomości z Francyi; młodzież szkol-



na, Szelling, Hegel, Stolberg i Wilhelm Humboldt, przy huku dział i radosnych wykrzykach, spełniają toast na przyszłe powodzenie rewolucyi w Niemczech.

Ze świata inteligencji zapal przechodzi do ludu. Żołnierze, przekraczając granicę francuską, mówią jedni do drugich: „Musim walczyć przeciwko sobie samym!“ Lud wiejski nad Renem i Elbą, w Czarnym lesie i na dolinie Dunaju powstaje tłumnie, rozwała szubienice, rozsiewa gwałty i pożogi. Armia republikańska zwycięża, a ludy niemieckie cieszą się z klęski książąt swoich. Kiedy Custine wchodzi tryumfalnie do Moguncyi, mieszczanie przyjmują go z oklaskiem, robotnicy wywieszają trójkolorową chorągiew. Na dworach straszliwy popłoch, książęta i margrabiowie rozbiegają się jak ptactwo z gniazd przed zimą. Elektor Bawarski ucieka z Monachium. Bawarya oddycha, lud przyjmuje Francuzów z uniesieniem. „Pyszna rzecz, pisze Dessaix, być teraz Francuzem w obcym kraju!“

Wkrótce znikła fantasmagorya; po jasnym poranku nadciągnęły chmury i nawałnice. Klęski wykrzesaly iskrę patryotyczną w głębi serc niemieckich. Na głos Steina i Fichtego, na dźwięk rycerskich pieśni Arndta i Koernera iskra ta buchnęła płomieniem. „Jakim cudem, zapytuje Reynach, Prusy w ciągu lat kilku w miejsce niedołączonych wojsk, startych na proch pod Jena i Auerstaedt wystawiły dzielnych pogromców z pod Kulmu i pod Lipska?“ I w tém widzi dobroczynny wpływ Francyi. „Cud ten, odpowiada, spełnił system landwery, a ten system, powołujący do służby każdego, kto zdoła dźwignąć oręż, to prawo Jourdana, przyjęte w roku VI, prawo brzmiące w tych słowach: „Każdy Francuz jest żołnierzem, obowiązany walczyć w obronie kraju. W razie niebezpieczeństwa wszyscy Francuzi powołani do broni“.

Francya, dodaje autor, zapomniala o tém prawie; Prusy zachowały je wiernie. Potrzeba było klęsk Metzu i Sedanu,—aby Francya odnowiła prawo Jourdana. Mylą się ci, którzy w nowym porządku rzeczy widzą naśladownictwo Niemców.

W początku roku bieżącego, ziomek nasz p. Jan Dybowski, profesor w szkole rolniczej w Grignon, odbył naukową podróż na Saharę Algerską, w celu rozpoznania, o ile te niezmierzone okiem obszary dadzą się spożytkować pod właściwą uprawę przez urządzenie sztucznych oaz, których piękną próbę przedstawiły nam plany i rysunki na zeszłorocznej wystawie paryskiej. Za powrotem, p. Dybowski wystąpił z konferencyą publiczną; skreślił żywy obraz Sahary pomiędzy Biskrą i El Galca; opisał jej oazy, wskazał jakie korzyści Francya odnieść może, pracując dalej w tym kierunku.

„Puściwszy się karawaną na południe Algeryi, mówi pan D. przebiegamy nasamprzód dolinę Oued-Birh, gdzie niezmordowani

Francuzi w ciągu ostatnich lat kilku, zdobyli po za miastem Tongonit, dwieście dwadzieścia kilometrów pożytecznej ziemi, dzięki sztucznemu nawodnieniu i zaprowadzonym świeżo plantacyom daktylów. Szesnaście kilometrów za miastem ciągną się ogrody palmowe.

Z tej wielkiej oazy, prelegent prowadzi nas na inną, równie bogatą i kwitnącą, zwaną Ouarla. Daktyle z tutajszych ogrodów najwięcej poszukiwane w handlu europejskim. Miasto Ouarla przyjdzie do zupełnej pomysłności, gdy zamierzona droga żelazna połączy je z obszarem morskim i kiedy projektowany kanał uwolni oazę od zatęchłych wód, rozsiewających żółtą febrę.

Ztąd karawana posuwa się na południe; głuchą pustynią, spieczoną skwarem, pozbawioną zupełnie wody. Czynione próby okazały, że z wnętrza tej przepalonej ziemi wytrysną żywe źródła, potrzeba tylko pracy i nakładów, które się sownie opłacą.

„Po dziesięciu dniach uciążliwej drogi, mówi prelegent, wszystko nagle się zmienia. Czarujący obraz staje nam przed oczyma. Tuż u stóp naszych, rozciągają się głęboka otchłań, brzegi jej strome, pytamy jak wielbłąd spuścić się po nich zdoła? To wielka oaza El-Galea. W głębi doliny zielenią się drzewa palmowe, w pośrodku sterczy wzgórek, a na nim piętrzą się nędzne mieszkania ludzkie. Ta rozległa dolina nie ma żadnego znaczenia w dzisiejszym stanie rzeczy. Składa się z pięćdziesięciu domostw, a raczej z lochów, gdzie żyją Negry, do ostatecznej doprowadzeni nędzy, gdy jednak puściwszy się szeroką doliną ku stronie zachodnio-południowej, widzimy, co można w przyszłości z niej uczynić. Drzewa palmowe rosną tu bez uprawy, — gdzie bądź poruszyć ziemię, nowa krynica obficie z niej wytryska. Będzie to kiedyś najpiękniejsza oaza na Saharze Algerskiej.

„Z podróży mojej, dodaje w końcu pan Dybowski, wyniosłem przekonanie o wielkiem znaczeniu tych rozległych, a dotąd tak niepożytecznych obszarów. Przy wytrwałej woli i pracy, powstawać będą oazy coraz nowe, przyniosą bogaty plon Francyi, a otwierając pole działalności koczownikom arabskim, zapewnią podróżnym większe niż dotąd bezpieczeństwo.

Przeniesienie zwłok Mickiewicza z Montmorency na Wawel, przypomniało cudzoziemcom imię wielkiego poety. W jednym z przeglądów angielskich, (*The fortnightly Review*) z sierpnia r. b. E. J. Dillon poświęcił mu obszerną rozprawę, obejmującą arkusz cały. Zarys biograficzny wziął z książki p. Władysława Mickiewicza, wydanej w Paryżu przed trzema laty. Rozbiór utworów poetycznych jest prostą kombinacją, chwytaną tu i owdzie, z dodatkiem uwag zaczerpanych z własnej fantazyi. Autor przebiega Grażynę, Dziady, pana Tadeusza, w którym widzi przypomnienie Hermana i Dorothei Goethego. Kurs literatur słowiańskich, wykładany w francuzkiem kolegium, zdaniem krytyka, jest dziwną hallucynacją, pozbawioną wszelkiej naukowej i literackiej wartości. Kraj polski w je-

go oczach to typ nędzy i brzydoty, w całym słowa znaczeniu. Nie dojrzeć tu ani drzewa, ani bujnych łąk, jakie ozywiają monotonne płaszczyzny Holandyi, ani chat zagrodzonych płotem, świadczących o dobrobycie mieszkańców, to step głuchy bez brzegu i bez końca. Potrzeba było autorowi, tak sponiewierać polski kraj, aby w lepszym świetle ukazać Litwę, kolebkę poetę. Ale i na tle przyrody nad niemieńskiej poeta w dość bladych przedstawiony zarysach, z czoła jego nie tryska ów słoneczny promień geniuszu, jakiemu dano przetrwać wieki i stać się drogoskazem dla następnych pokoleń. Pieśń jego—to ostatnie westchnienie narodu. Obrazy przez niego kreślone, to tylko udatne a k w a r e l l e! Czemu? (kto by to zgadnął?), bo język, w którym tworzył wodnisty i bezbarwny!

Aby dać poznać jak niektórzy cudzoziemcy rozumieją i oceniają literaturę naszą i panującego w niej olbrzyma, przytaczamy konkluzją krytyka angielskiego.

„Mickiewicz, mówi on, był raczej poetą wspomnienia aniżeli nadziei, raczej malarzem przeszłości, niż rzeźbiarzem, co wykuwa na przyszłość formy nowe. Dziełom jego możnaby śmiało nadać tytuł: „Pieśni po zachodzie słońca“. Ta poezya owija się jak bluszcz o święte rumowiska z ubiegłych czasów, które nie łatwo do dawnego powrócą blasku, jak ruiny pałacu w Persepolis lub świątyni w Jeruzolimie. Wiersze Mickiewicza tém samem ożywione uczuciem, co okazał płótna polskiego malarza Matejki.

„Poeta zapalonym był zwolennikiem romantycznej szkoły, ale w dziełach jego znajdujemy wiele rysów wyróżniających go z tłumu romantyków współczesnych. Jego poezye to nie płacziwe i naciągane obrazy, tak wtedy upowszechnione; nie ma w nich częściej sentymentalności, zdrowe, męskie, oparte są na głębokim przekonaniu, skierowanem do celów szlachetnych. Nie znał on tego chorobliwego zwrotu nazwanego sztuką dla sztuki. Jeśli jego utwory nie wytrzymają próby czasu, przyczyną tego—nie sposób wykonania, ale materiał, z jakiego tworzył: języki niektórych ludów słowiańskich nazwałby można wodną farbą w literackim malarstwie. Język i dykcya Mickiewicza stracone nawet dla większości tak światłych cudzoziemców, którzy czytają w oryginale Goethego, Calderona i Bellmana. Jeśli z nię bardzo wiele przepadnie, to przyznać musimy, że muzyka jego wiersza prawdziwie czarująca“.

Przekonani jesteśmy, że p. Dillon nie pieścił ucha tą czarującą harmonią, że nie czytał Mickiewicza w oryginale, że nie posiada nawet tyle zmysłu poetycznego, aby odczuć piękność w tłumaczonych ustępach z Dziadów i Wallenroda, które przytacza w swęj pseudo-krytycznej rozprawie.

Radzibyśmy wiedzieć, — który to z języków słowiańskich nazwałby krytyk olejną farbą w literackim malarstwie, jeśli język wielkiej plejady poetów bieżącego stulecia, a co więcej odwieczny język ludowych piewców naszych, cudny w prostocie swójój, osądził jako wodną farbę, odpowiednią tylko do akwarelli!



## PIŚMIENNICTWO

### KRAJOWE I ZAGRANICZNE

Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Napisał Antoni Mazanowski. Warszawa, nakładem księgarni G. Centnerszvera, 1890, str. 122.

Pan Mazanowski, który kilka lat temu wydał monografią, zatytułowaną: „Adam Mickiewicz od r. 1829—30“ powiększył obecnie liczbę studyów, odnoszących się do trzech naszych poetów, pracą nową, której tytuł przywiedliśmy w nagłówku. Autor przyznaje, iż wzajemny stosunek trzech poetów do siebie nieraz już dostarczał innym treści dla studyów literackich; pomimo to, podjął pracę na nowo w przekonaniu, iż przedmiot ten nie został „ani w zupełności wyczerpany, ani dostatecznie wyjaśniony“.

Istotnie, obok zużytkowania odpowiednich źródeł, ogłoszonych drukiem w obszerniejszych monografiach, zbiorach listów, lub rozprószonych, jako drobniejsze artykuły w czasopismach krajowych, autor skorzystał nadto ze źródeł rękopiśmiennych, pozostałych po Juliuszu Słowackim, a które jego monografii nadają wartość rzetelną i na ów wzajemny do siebie stosunek mocarzy słowa o wiele pewniejsze rzucają światło. Powiedzmy jednak na wstępie, iż autor, zapożyczając, może zresztą bezwiednie, formy od starego Plutarcha t. j. zestawiając kolejno z Mickiewiczem, a następnie ze sobą dwóch pozostałych poetów, naraził się bezpotrzebnie w trzech paralelnych zestawieniach na powtarzanie tychże samych ustępów. Dość porównać stronnice: 51 i 93, 52 i 95, oraz 54 i 102, by się o tém przekonać. Powtarzania te szkodzą całości: nadają jej bowiem pozór przypadkowego zlepku z trzech monografij oddzielnych, nie przeznaczonych zostawać w organicznym stosunku. Pominąwszy te ujemne strony kompozycji, oraz rażące błędy drukarskie, jak opuszczenia przymków, np. „z listu Bohdana, zamiast: do Bohdana (str. 24), niewłaściwe użycie pauz, kiedy nawet myśl nie wymaga przecinka, jak w wyrażeniu: „Gdyby z architektem S-go Piotra — mówił Mickiewicz, co myśl wysoce zaciemnia (33), renverra, zam. renversa; aryotyczne zam. aryostyczne (83), nieprzyjaciela, zamiast przyjaciela (118) i wiele innych, co już jest winą wydawcy: pominąwszy, mówię, te braki, pracę p. Mazanowskiego możemy uważać, jako pożądaną dla literatury nabytek.

Rozpatrzmy wzajemne trzech poetów stosunki i sądy, jakie wzajemnie wydawali o sobie. A naprzód Mickiewicza ze Słowackim. Najważniejsze punkta styczne w ich osobistych stosunkach dają się do następujących sprowadzić: 1) spotkanie się w domu dr. Becu, ojczy-  
 ma Słowackiego w r. 1822; 2) w dziesięć lat później w Paryżu, na  
 obiedzie, danym na cześć generała D. (w sierpniu, 1832 r.); 3) w sa-  
 lonach Czartoryskich, w październiku t. r.; 4) na wieczery składowej  
 w domu Eust. Januszkiewicza, w dniu imienin Mickiewicza (25-go  
 grudnia 1840 r.); 5) w d. 1-ym stycznia 1841 r. na drugim wieczorze  
 u E. Januszkiewicza, na którym wręczono autorowi Dziadów pamiąt-  
 kowy puchar przez samego Słowackiego. Oto chwile w ich życiu,  
 w których się z sobą stykali. A jednak wystarczały one, by przy-  
 najmniej jeden z nich zatrzął sobie większą część życia goryczą; każ-  
 da bowiem dawała powód do głębokich uraz i wzajemnych inkrymi-  
 nacyj. Wprawdzie z przystąpieniem Słowackiego w d. 27 lipca  
 1842 r. do towianizmu, następuje pomiędzy nim a Mickiewiczem  
 chwilowe pojednanie; ale to trwa niedługo. W rok już bowiem Słow-  
 acki wystąpił z koła i odtąd z Mickiewiczem nigdy się już  
 w życiu nie spotkał.

W kim tkwiła główna tych nieporozumień przyczyna? O ile  
 pamiętamy, to w jednym z listów Słowacki wyznaje, iż do Mickiewi-  
 cza powziął niechęć od pierwszej chwili poznania, gdy ten, po wyda-  
 niu dwóch tomików poezyj, złożył pierwszą jego matce wizytę. Sła-  
 wa, opromieniająca młodego poetę, już w nim wtedy zazdrość budzi-  
 ła. Tę okoliczność jednak p. Mazanowski pominął, choć ona wska-  
 zuje, iż w Słowackim do odczuwania późniejszych uraz grunt był  
 przygotowany oddawna. Natomiast autor mówi o upokorzeniu, ja-  
 kiego doznał Mickiewicz na wieczorze u pani Becu, na którym obe-  
 cny Jan Śniadecki, udając, że nie wie, iż poeta znajduje się w gronie  
 gości, zaczął bez miłosierdzia krytykować jego utwory. Poeta mil-  
 czał i być może, nie odczułby do tyła ostrza skierowanych przeciw  
 sobie pocisków (zwłaszcza, iż wystąpienie uczonego astronoma było  
 usprawiedliwione wyraźną do niego w R o m a n t y c z n o ś c i alu-  
 zyą), gdyby nie beztaktowne znalezienie się samego gospodarza do-  
 mu, dr. Becu, który „rozochocony tém niby nieporozumieniem, do-  
 pomagał Śniadeckiemu w owym niewczesnym zapędzie, wyzywając  
 go do coraz dalszych uszczypliwości“ (4). To była już zniewaga,  
 wyrządzona zarówno gościowi jak i poecie. Mickiewicz jednak siłą  
 woli nad oburzeniem zapanował narazie, i może byłby mu wspania-  
 łością tę niewczesny wybryk wesołości przebaczył, gdyby dr.  
 Becu w późniejszym czasie, sam nie pracował nad tém usilnie, by mu  
 się zapisać trwałej pamięci. Pomimo wszelkich łagodzących okoli-  
 czności, doktor od pioruna zabity na zawsze pozostanie jednoznaczny  
 osobistością z dr. Becu w wyobraźni potomnych.

Przecież nawet przed pojawieniem się części III Dziadów, zna-  
 lazy się do wzajemnych uraz powody. Wygórowana pycha Słowac-

kiego nie pozwoliła mu, by za przybyciem Mickiewicza do Paryża, pierwszy się zbliżył do niego. Gdy zaś podczas obiadu na cześć generała D. na neutralnym gruncie nastąpiło zbliżenie, wdanie się osób trzecich zaogniło stosunek. W chwili bowiem, gdy Słowacki, „zabrnąwszy w komplementa“, jak się do matki w liście wyraził, uznał Mickiewicza za pierwszego poetę..., ktoś z obecnych zaczął, jak echo: „nadto jesteś skromny“ powtarzać i tym sposobem ostudził zawiązany stosunek i położył koniec rozmowie. W kilka dni później usłudni przyjaciele donieśli Słowackiemu, że Mickiewicz o wyszłych z druku jego poezjach miał się wyrazić, iż są pięknym kościołem bez Boga, a to wystarczało aż nadto, by pełnego miłości własnej poetę ostatecznie zrazić ku niemu. To też we wszystkich listach, jakie teraz pisze do matki, wyraża się o Mickiewiczu z niechęcią, lekceważeniem i pogardą. „Nie wpuszczono go do domu gry (?), powiada, gdyż go wzięto za lokaja“. Na wieczorze u Czartoryskich „po liderlichowsku“ w starym fraku wyglądał. Mówił zresztą „o jakimś cudownym dziecku, na którego oku wyczytał napis: „Napoleon Empreur“. „Widocznie ostygł w poezyi“. A tymczasem, gdy opinie te o Mickiewiczu wygłaszał, wydanie Dziadów spadło gromem na jego głowę. Chciał się strzelać z Mick.; zaledwie wpływ Skibickiego powstrzymał go od tego kroku. W każdym razie pobyt w Paryżu stał się niemożliwym dla zranionego we własnej dumie. Wyjechał też do Genewy z sercem rozdartem, unosząc głęboką ku Mickiewiczowi nienawiść. Poczem rzucił w świat Kordyana, który miał zaćmić chwałę przeciwnika, pomimo, że był jednym ze słabszych jego utworów. Do matki zaś pisał: „Nic nie pozostaje, jak okryć ciebie promieniami takiej sławy, by cię pociski ludzi dojsć nie mogły“.

Biedny!... Za swą pychę poniósł straszne upokorzenie—za wielkie nawet do wielkości swój winy. To też p. Mazanowski robi zarzut Mickiewiczowi, iż swój przewagi nadużył. Powinien był bowiem pamiętać, „że prof. Becu już nie żył, a natomiast żyła matka Słowackiego i niezwykle rokujący nadzieje synjéj, którego czynem swym stawiał pod pręgierz solennie głupiej, krzykliwej i niedołącznej emigracyi, jak sam się o niej wyraził (13)“. — Na to zdanie bezwarunkowo godzićby się można, gdyby tu szło o osobistą obrazę.

Od tego zajścia siedm lat z górą ubiegło. W ciągu tego czasu Mickiewicz napisaniem Pana Tadeusza stanął na szczytach artyzmu; po krótkim wreszcie pobycie w Lozannie, zajął jedną z pierwszych w świecie katedr, — katedrę literatur słowiańskich w Collège de France, w Paryżu. Był w zenicie swój sławy. Słowacki tymczasem, po trzechletnim blisko pobycie w Genewie, zwiedził Włochy, Egipt, Palestynę i wrócił w r. 1836 do Europy dojrzałym człowiekiem. Spełniając dane matce przyrzeczenie, po rok 1840 napisał poemata: w Szwajcaryi, Anhelego, Ojca zadżumionych,



tragedye: Balladyneę, Lillę-Wenedę, zdobył tyleż tytułów do poetyckiej chwały i w poczuciu twórczej swęj siły, zaczął bezstronnie wielkość przeciwnika oceniać. Jeszcze w Genewie uznał piękności Pana Tadeusza i w listach do matki z zachwytem wyrażał się o tym utworze. Tym więcej przeto jego obecność na owęj wigilijnej uczcie, wyprawionej w domu Januszkiewicza na cześć Mickiewicza, stanowi dowód, iż go geniusz jego rozbroił, że w niepamięć puścił dawne krwawe urazy. Cokolwiek téż o tém spotkaniu i wzajemnych improwizacyach mówią stronne, bałamutne relacye uczestników téj pierwszej uczyty, faktem jest niezbitym, iż bez względu na to, co sobie powiedzieli obaj poeci, z uczyty téj wyszli zadowoleni z siebie wzajemnie. „Wczoraj, pisze Mickiewicz do B. Zaleskiego, byliśmy na sutęj wieczerzy u E. Januszkiewicza. Wyzwany przez Słowackiego improwizacyą, odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania Dziadów nigdym nie czuł. Na chwilę wszyscy napełnili się miłością. W tę chwilę duch poezyi był ze mną“. „Byliśmy, jak dwaj bracia, pisze znowu Słowacki o tym wieczorze, ścisaliśmy się, chodziliśmy, opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi“. Gdyby prawdą było, że mu w swęj improwizacyi Mickiewicz odmówił talentu, jak podają owe relacye, czyż podobna harmonia byłaby zapanowała pomiędzy nimi? Na nieszczęście i teraz wmieszanie się w ten stosunek osób trzecich, zamąciło tę harmonią i to, niestety! nazawsze. A kamieniem obrazy było właśnie wręczenie przez Słowackiego pamiątkowego puharu. Ze w tym akcie grzeczności nie mogło być nic ubliżającego dla Słowackiego, to samo z siebie wynika. Ale jak zbliże ni do niego zaczęli w tém dopatrywać przyznania się do niższości i wazalstwa względem Mickiewicza; wyszukiwać w jego improwizacyi ubliżających dla Słowackiego wyrażeń; wmawiać, że Mickiewicz odmówił mu talentu; gdy wreszcie sprawę tę wzięto na pióra i fałsz udając za prawdę, rozmazano ją w piśmnach: wtedy i Słowacki, postawiony wobec całego społeczeństwa w upokarzającym do Mickiewicza stosunku, nie mógł się obojętnie zachować i „rwąc swoje serce w kawały“, wybuchnął lawą obrażonej dumy w ostatniej pieśni Bieniowskiego, którą, znanym dwuwierszem, zwróconym do Mick. zakończył:

Bądź zdrów!—A tak się żegnają nie wrogii,

Lecz dwa na słońcach swych przeciwne—bogi. (Pieśń V).

To téż pożegnanie to, wbrew powszechnemu i p. Mazanowskiego mniemaniu, musimy uważać za akt ostatecznego z Mickiewiczem zerwania. Ze Słowacki z przystąpieniem do towianizmu pojednał się z nim chwilowo, że matce donosił, iż „dokompletował siebie czynem, podając rękę przeciwnikowi, stojącemu na wyższym stanowisku w prawdzie bożej, że nawet „z bracią“, Mickiewicza na wsi odwiedzał; to nie może zaprzeczeniu ulegać. Tylko nie zapominajmy, iż Słowacki, opanowany przez doktrynę, nie był już samym sobą. On jęj oddał wszystko w usługi: poezyą, swe przekonania, nawet jedno z naj-

bardziej górujących w nim uczuć — uczucie dumy, i to jęj złożył w ofierze. Dawny mistrz słowa wzgardził teraz formą i artystycznym rozmysłem. Prawdę historyczną, prawdę poezji zastąpił halucynacjami rozpasanej wyobraźni: w Księdzu Marku i Śnie srebrnym Salomei. A jak opętany doktryną, wyparł się całej przeszłości, jako poeta; tak dla zdobycia „tonu w kole“ unicestwił siebie wobec wyżej stojącego „w prawdzie“ Mickiewicza. Ale był to obłęd chwilowy i dawne w nim niechęci odżyły, skoro tylko zerwawszy z Towiańskim, wystąpił z zaczarowanego sekciarstwem koła i samego siebie odzyskał. Jak zresztą pojednanie to na kruchęj opierało się podstawie, dość powiedzieć, że Mickiewicz, pomimo oddania się całej duszą „Sprawie“ i utrzymywanego przez czas jakiś ze Słowackim braterskiego stosunku, bynajmniej mu nie zapomniał Bieniowskiego, ale w porze właściwej pięknęm za nadobne odplacił. Jakóż w d. 4 kwietnia, 1843 r., mając w Collège de France prelekcją o dramacie słowiańskim, zajął się szczegółowym rozbiorem trzech utworów: Borysa Godunowa, Puszkina Obylicza; Milutynowicza i Nieboskiej Krasieńskiego. Tylko o Juliuszu, jak we wszystkich poprzednich prelekcjach, tak i obecnie przemilczał. Słuchacze nie dowiedzieli się nawet o istnieniu Balladyny i Lilli-Wenedy. Słowacki wykreślony był z rzędu poetów. To tęż wobec tęż nowęj zniewagi, „poszły w niepamięć dawne pełne zachwytu jęgo słowa o Panu Tadeuszu“ (34). Teraz dla niego był on tylko „ubóstwieniem wieprzawatości życia wiejskiego“, ubóstwieniem wreszcie tego, „który kijem swęj obrazy poszukuje“ (?). Krótko mówiąc, rozgoryczenie, zgrzyt zadawnionęj latami niechęci, kończy stosunek dwóch poetów, „dwóch bogów, na przeciwegłych sobie słońcach stojących“.

Inaczej było z Krasieńskim. Naprzód z Mickiewiczem stykał się rzadko — właściwie dwa, czy trzy razy w życiu: w r. 1830 w Szwajcaryi, w r. 1848 w Rzymie. Współzawodnictwa pomiędzy nimi nie było nigdy; za to dzieliły ich zasady, zwłaszcza po przystąpieniu Mickiewicza do towianizmu, wytwarzając przepaść, zwiększającą się z latami. W Szwajcaryi przepędzili ze sobą sześć tygodni; naprzód podróżując wspólnie w górach berneńskich, następnie spotykając się u pp. Ankwiczów w Genewie. Do bliższej zażyłości pomiędzy nimi nie przyszło; ale 20-letni Krasieński powziął wtedy dla niego głębką cześć, jako dla człowieka i poety. Wrażenie, jakie zrobił na nim Mickiewicz, było tęż głębsze, że się do niego zbliżał z pewnęm uprzedzeniem, powziętęm w gronie klasyków warszawskich, zgromadzających się w domu ojca na rozgłośnych literackich obiadach. „Spodziewał się, że spotka człowieka niezwyklęj miary, niemniej przeto lubiącego się popisać, błysnąć, wyrażać się stanowczo, nie cierpiącego opozycji i protestów“, tymczasem znalazł w nim osobistość pełną naturalności i prostoty (41). Szczególniej podziwiał w nim „trzeż-



wość i jasność sądów, bystrość, z jaką trafiał w sedno każdej kwestyi (44). To też w listach, pisanych wtedy do ojca, nie znajdujemy dość słów do odmalowania niepospolitych jego umysłu przymiotów. „Nauczyłem się od niego—powiada—zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń, fałszywych wyobrażeń się pozbyłem; niezawodnie to wpływ będzie miało na dalsze moje życie — wpływ dobry i szlachetny (44)“. Że to nie było chwilowem uniesieniem 20-o letniego młodzieńca, że Mickiewicz istotnie wywarł na nim głębsze, trwałej natury wrażenie, to ślad tego p. Mazanowski widzi w listach, pisanych do Gaszyńskiego, o wiele później, bo w r. 1832, w których nieraz wypowiada przekonania i poglądy, „jakby z ust Mickiewicza wyjęte“ (45). Z wielkiem też zajęciem śledził wciąż poetycką jego działalność a każdy nowy utwór, jak część III *Dziadów*, *Księgi pielgrzymstwa* i *Pan Tadeusz* wywoływały w listach do Gaszyńskiego nierzadko szereg uwag, dających miarę o jego wysokiem uzdolnieniu krytycznym i trafnym ocenianiu tych utworów, ale i o potęgującym się uwielbieniu i współczuciu, jakie żywił dla pokrewnego sobie duchem Mickiewicza. On to pierwszy podobno nazwał *Pana Tadeusza* e-popeją i nieraz do rozbioru jego zalet i piękności w listach swoich powracał. Nawet poznanie się ze Słowackim w Rzymie 1836 r. i zawiązanie z nim stosunków długotrwałej przyjaźni, nie wpłynęło na obniżenie skali uwielbienia dla Mickiewicza. A jednak podczas zwierzeń poufnych pomiędzy przyjaciółmi, spędzającymi w willi Mills noce księżycowe, mogło przyjść ze strony Słowackiego do wynurzeń, mających za przedmiot zadawnione do Mick. niechęci. Dopiero r. 1841 stanowi pod pewnym względem punkt zwrotny w usposobieniu Krasieńskiego dla twórcy *P. Tadeusza* i *Dziadów*. Przyczynę łatwo odgadnąć. Były nią wieści, ubliżające Słowackiemu, a po owych dwóch wieczorach u Januszkiewicza, szerzone przez „najserdeczniejszych“ po piśmie. Mniejsza, że jego poezye, wydane w r. 1832, krytyka zimno przyjęła, ale tenże sam los spotkał *Anhelego*, poemat w Szwajcaryi, a co ważniejsza, *Balladynę* i *Lillę Wenedę*, które Słowacki autorowi *Irydyona* przypisał. Teraz Krasieński dotknięty nowem a tak jawnem upokorzeniem przyjaciela, postanowił skruszyć kopy w jego obronie i właściwe mu stanowisko w literaturze wywalczyć. Następstwem tego było ogłoszenie artykułu w *Tygodniku literackim ponańskim* (N. N. 21, 22), w którym zamierzył udowodnić równość sił twórczych obu poetów i wynieść Słowackiego na jedną wyżynę z Mick. Było to, jak widzimy, wystąpienie dość śmiałe, zwłaszcza, że z pojęciami ogółu zasadniczo niezgodne. Wprawdzie paralela, w jakiej obu z sobą zestawił, napozór wysuwała Mickiewicza na miejsce przodujące, naczelne; w gruncie jednak obaj, jako dwa przeciwieństwa, mieli się dopełniać wzajemnie. „Postacie Mickiewicza są rzniete w epoce granitu, Słowackiego zaś wdzięku niesłychanego pełne, uderzające wonią, świecące, jak



taćze“. A pomimo to pierwszego uznaje podmiotowym, drugiego przedmiotowym poetą! Sąd też to w wysokim stopniu stronny i w założeniu fałszywy. „Świat bowiem i jego zjawiska nie stanowiły, jak mówi p. Mazanowski, podstawy kreacyj Słowackiego, owszem jego subiektywizm skłonił samego Krasińskiego do rady: „Rzuć granit pod twoje stopy“. To też rozbiorowi tych nieuzasadnionych sądów autora Nieboskiój, znaczny ustęp p. Mazanowski w swoim studyum poświęca. Trafnie też charakteryzuje obecne stanowisko Krasińskiego do Mickiewicza. „Od tego czasu daje się zauważyć w jego sądach o nim pewna, niewyraźnie i zwolna występująca na jaw zmiana. Dawne bezwzględne u wielbienie zastępuje się krytycznym ocenianiem, a tam, gdzie się pojawia krytycyzm wążą się już pierwiastki ujemne i dodatnie (53)“. Sąd jednak Krasińskiego, jakkolwiek stronny, nie zabił w nim przecież „dawnego pijetyzmu“ dla mistrza. Dokonało tego dopiero pojawienie się Towiańskiego, którego Mickiewicz, w lipcu 1841 r., stał się fanatycznym wyznawcą.

Rzecz naturalna, iż umysł Krasińskiego o głębokim religijnym podkładzie, rozwinięty późniejszymi studjami filozoficznymi, które w samotności przetrwał i pogłębiał, niełatwo ulegał wpływom zewnętrzny i wśród wypadków, porywających innych swemi prądami zawsze umiał kierować się własną busolą. Doktryna też Towiańskiego nie olśniła go ani na chwilę, od razu ocenił on ujemne jej znaczenie i jeżeli się nią zajmuje, to jako zgubnym zjawiskiem społecznym, zdolnym „pogrążyć w mętnej idei tak nawet tęgi umysł, jak Mickiewicza i zwichnąć lot jego geniuszu na zawsze. Niejednokrotnie też w listach swych do przyjaciół mówi z ubolewaniem o obłędzie wielkiego człowieka, dla którego dzieł żywi dawne uznanie. Współczucie jednak przechodzi zwolna w sarkazm, ironią, skoro go prozelityzm Mickiewicza swą bezwzględną szorstkością razić zaczyna. To usposobienie trwa do połowy r. 1846. Ale za to, tém większą oddaje się radości, na wieść, iż Mick. bliski jest zerwania z Towiańskim. Bo też właściwie Krasiński nie stracił dla mistrza dawnych sympatyj; obudziły się one w nim nawet bardzo żywo, gdy mu powiedziano, że Mickiewicz o nim, jako towarzyszu podróży w górach szwajcarskich wspominał, a jeszcze więcej, gdy właśnie w tym czasie wygłosił z katedry swój sąd o „Nieboskiój“, nazywając ją najgłębiej pomyślanym dramatem w Słowiańszczyźnie. Dwie te okoliczności bezwątpienia skłoniły Krasińskiego do wystosowania listu do Mickiew., w tym zapewne przekonaniu, iż zawiązana korespondencya, da mu sposobność oddziaływania na jego umysł obalamucony sekciarstwem. List jednak pozostał bez odpowiedzi i Krasiński już tylko od czasu mógł się spodziewać wyleczenia mistrza z obłędu. Niestety! przyszłość jeszcze bardziej zaostrzyła wzajemny ich stosunek. W r. 1848, wśród zawieruchy powszechnej, spotkali się po latach 18 w Rzymie, gdzie Krasiński z żoną zimę przepędzał, a dokąd

Mickiewicz przybył z rozległymi planami tworzenia zastępów, któreby współdziałały z poruszeniami włoskiemi. Pozyskać dla swęj idei religijno-politycznej tak potężną umysłowość, jak Krasiński, było pierwszą myślą Mickiewicza. Ale jeżeli Krasiński przez swe stosunki gotów mu był wyrobić posłuchanie u papieża, w nadziei, że to wywrze wpływ dodatni na uspokojenie jego ducha, to o jakimkolwiek współdziałaniu z nim w duchu towianizmu nawet być mowy nie mogło. A jednak, jak się okazuje, Mickiewicz niejednokrotnie w tym przedmiocie „prowadził z nim długie i gorące spory, z których Krasiński, oprócz peryodycznych bólów głowy, wyniósł jasne i głębokie przekonanie, że towianizm jest nietylko utopią religijną, ale i programem politycznym, popierającym dążenia ówczesnego demokratycznego stronnictwa“ (619). A nie zapominajmy, że jeżeli w Nieboskiej Krasiński całemu pokoleniu żyjącej arystokracji, jako niezdolnej do czynu, grobowe requiem zaśpiewał; to przecież samą jęj ideę—konieczność jęj istnienia, jako klasy przodującej społeczeństwu, zawsze w gruncie uznawał i ówczesne demokratyczne stronnictwa do przewrotów dążące, całą duszą potępił.

Do porozumienia więc pomiędzy nim a Mickiewiczem nie przyszło. Ale jeszcze pomimo różnic w zasadach, mogli się byli rozjeść bez gniewu. Lecz Mickiewicz i na innym punkcie dotknął go nader boleśnie. Pomijając już skandaliczne zachowanie się w obec Piusa IX, zawiódł on jeszcze jego oczekiwania, gdy pomimo publicznego oświadczenia, iż owe przekonania poddaje pod sąd kościoła i papieża, wrócił do dawnego obłędu. Krasiński, pośrednicząc w wyrobieniu mu audyencji, czuł się skompromitowanym w wysokim stopniu i odtąd „wyraża się o poecie bezwzględnie ostro, jako o człowieku niespokojnym, burzliwym, pełnym złych instynktów i zamiarów. Odtąd, gdziekolwiek Mickiewicz się obróci, wszędzie Kr. ostrzega przyjaciół, by go unikali, jak zarazy, a niesprawiedliwość względem niego posuwa tak daleko, że nawet awanturnika Czarnomskiego, który go w listach znieważał, nie waha się zaliczać do ludzi, należących do jego obozu. Ten wybuch niechęci występuje szczególnie w korespondencji z Trentowskim, który do Mickiewicza również głęboką żywił urazę z powodu, iż w swych prelekcjach cały jego system filozoficzny potępił. Nie ma zarzutów, którychby nie robił mu Krasiński: „Machiavell, niewolnik obłędu, a zarazem despota, szaleniec, nie potępiający zdrady“—oto epitetów, jakimi niegdyś uwielbianego poetę i człowieka obdziela. „Dopiero śmierć zatarła wszystko złe i zdjęła rdzę z czystej duszy Mickiewicza. I w sercu Krasińskiego spopielwały urazy, a dawne uwielbienie spłynęło na wierzch, jak łąza czysta, dyktując mu owe śliczne wyrazy wspomnienia o zmarłym“ (69). A szkoda, że autor ich nie przytoczył. Rzuciłyby przynajmniej pogodniejszy blask na ciemny i ponury obraz stosunków dwóch tytanicznych duchów, co mając jeden cel wspólny, różniły się tylko tępem, iż do jego urzeczywistnienia dążyły odmiennymi drogami.



Byłże trwalszym związek Słowackiego z Krasińskim? Niestety! przyjaźń ich nie wytrzymała również ogniowej próby życia. Gdy się w Rzymie poznali, Krasiński choć już wydał: *Agaj-hana*, *Nieboską*, *Irydyona*, był dla świata *Bezimiennym*, nieznanym ogółowi poetą. Słowacki wprawdzie z otwartą występował przyłbicą (*Kordyan* wyjątek stanowił), ale pomimo 8 poematów, w dwóch pierwszych tomach wydanych, pomimo napisania: *Mazepy*, *Balladyny*, *Anhelego*, w *Szwajcaryi*, które czekały, rychło je rzuci w chłonącą otchłań milczenia“, dotąd nie mógł przebić muru obojętności współziomków. Położenia więc równoważyły się—żaden nie przyćmiewał drugiego sławą i uznaną wielkością. Jeżeli zaś ich dzieliły stanowiska światowe i wyobrażenia społeczne, to obaj losami i ustrojem psychicznym dopełniali się wzajem: „*Krasiński dawał bystry rozum, Słowacki—skrzącą się brylantami wyobraźnią*“ (76). Łączyła ich zaś nie braterskiego współczucia. Właściwie dwa razy tylko spotkali się w swém życiu: w Rzymie w 1836 i we Florencyi 1838 r. Dalsze stosunki podtrzymywali wzajemną korespondencyą, która ze strony Krasińskiego należy do najpiękniejszych klejnotów literatury. Nikt też Słowackiego nie znał lepiej od niego; nikt „w swą pierś magnetycznie nie wziął“ tak wszystkich cierpień, łez i goryczy drugiego człowieka, jak autor *Irydyona*; żaden zresztą z poetów nie był oceniany przez drugiego w podobny sposób, jak Słowacki przez Krasińskiego, który grał na jego duszy, jak na arfie, „dobytając z niej dowolne melodye“! „Gdy przeczuwał z listów, że przyjaciel zraza się i upada na duchu, krzepił go w sposób najodpowiedniejszy jego naturze; porównywał z ludźmi, których najwięcej cenił, zaliczał do trójcy wraz z Mickiewiczem i Cieszkowskim, wskazywał jako przykład na Byrona, że powodzenie, uznanie i sława staną się jego udziałem (84). A jakże to on w tych listach *Anhelego*, *Ojca zadżumionych*, *Balladynę*, lub poemat w *Szwajcaryi* oceniał! Nie pisze właściwie krytyk, ale poematy. Nawet gdy mu się co w tych utworach nie podoba, jak naśladowanie Szekspira w *Balladynie* i *Lilli-Wenedzie*, nie przyznaje tego Słowackiemu, lecz „staremu *Willowi*“. Wiemy zresztą, jak gorąco występuje w jego obronie w *Przeglądzie poznańskim*. Nawzajem Słowacki przypisuje mu swe utwory i kruszy nawzajem kopią w obronie „*Nocy letniej*“ Krasińskiego, fałszywie przez krytyków pojętej. Możnaż wskazać drugi przykład większej pomiędzy dwoma poetami solidarności i zgody?... Goethego i Schillera tylko sztuka łączyła: po za nią w ich korespondencyi nie ma miejsca dla wylewu uczuć przyjaźni.

A jednak i te tak na pozór silne ogniwa miały prysnąć w niedalekiej przyszłości. Pierwsze ich rozluźnienie daje się odczuwać po przystąpieniu Słowackiego do koła towiańczyków. Wprawdzie Krasiński i teraz nie przestaje mu dawać dowodów swęj przyjaźni; pracuje nad nim, by go na pochyłości zatrzymać, ale wpływ jego, tak niegdyś działający potężnie, zaczyna się odbijać od jego piersi,



opancerzonej fanatyczną doktryną, która, zwłaszcza w pierwszym roku, pochłania całą jego istotę. Zresztą występują fakta inné jeszcze natury. Słowacki, pod wpływem religijnego obłędu i demokratycznych idei, wydał: *Księżdz Marka i Sens srebrny Salomei*, a w utworach tych nietylko w fałszywém świetle przedstawił ogół biorących udział w wypadkach magnatów, lecz i jednemu z przodków Krasińskiego niezbyt zaszczytną rolę wyznaczył. Niedosć na tém. W r. 1845 Krasiński wydał trzy *Psalmy* i w jednym z nich, prawdziwie duchem wieszczym przejrzał nieszczęście nad narodem wiszące. Tymczasem Słowacki w wierszu, wprawdzie nie drukowanym, ale krążącym bezimiennie w licznych odpisach, wyśmiał autora, że mu się chyba przyśniło jakieś krwawe widziadło i on, zląkł się,—syn szlachecki. Na nieszczęście logika faktów wieszczonem Krasińskiego nadała charakter proroczy. Obrazy jednak poeta milczał długo. Dopiero gdy Słowacki ów wiersz ogłosił drukiem, dał mu w r. 1848 wzniosłą w *Psalmie IV* odpowiedź. Odtąd, pomimo starań o nawiązanie korespondencyi, przerwały się pomiędzy nimi stosunki; występujący zaś w *Niedokończonym poemacie* młody demokrata, Julinicz, dowodzi, że i pozgonie Słowackiego (1849), gorycz doznanego zawodu jeszcze w r. 1850 odezwała się w duszy Krasińskiego. Tak więc z trzech stosunków, zawiązanych w młodości, ani jeden nie wytrzymał próby czasu; rwały się, jak pod uderzeniem młota kruche ogniwa łańcucha. Byłoz to przypadkowym zjawiskiem? Nam się zdaje, że nie. Właśnie dla tego, że trzej wielcy poeci byli piastunami ducha narodu, musieli z swojej istoty odzwierciedlać w sobie jego ideały i wady. Niezgoda stanowiła rys znamieny dziejowej naszej przeszłości; niezgoda rozbiła emigracją na wrogie sobie obozy; nic téż dziwnego, że musiała ona ujawnić się i we wzajemnych stosunkach poetów, bez względu na geniusz, który ich ponad tłumy wynosił. Choć od swarów stronnicych odwracają się ze wstrętem, każdy z nich przecież jest synem swojego społeczeństwa, a nadto, urabiając się w innym otoczeniu i sferze społecznej, wynosi z niéj różne namiętności, pojęcia i zasady, stanowiące główny podkład psychiczny. Stąd w bliższém zetknięciu występują one, jako ostateczności, w sposób rażący. Na ten jednak podkład p. Mazanowski zamały nacisk położył, nie wyjaśnił dostatecznie pierwszych wpływów otoczenia, które na urobienie charakteru każdego z nich się składały, nie skupił tych właściwości i rysów, które pomimo wspólności celów, musiały wywoływać między nimi kolizye.

Dziś oni wszyscy trzej tam, „kędy miliony“. Odpadły od ich duchów żary ziemskich namiętności, co osmałały im skrzydła i strącały z wyżyn, na które w szczęśliwych chwilach unosił się geniusz poezyi; przebrzmiały wreszcie dzielące ich waśnie, nienawiści i mgłą rozwiały się obłędy, co zaćmiewały ich umysł, rozstrajały ich lutnie i w żuzle i popiół zamieniały złoto ich uczuć. Teraz oni w pojęciu ogółu stoją na niedościągłych wysokościach, jak trzy duchy czyste

i białe, w nierozzerwalnej jedności, promienne geniuszów chwałą. Gdy tak się w jedną trójcę stopiły, czyż nie słusznie, by i prochy ich również obok siebie w jednym grobie spoczęły?

*Roman Plenkwicz.*

Luiz Camoens Luzyady, epos w dziesięciu pieśniach z oryginału portugalskiego przełożył, objaśnieniami i życiorysem autora opatrzył Adam M-ski. Warszawa. Nakład S. Lewentala r. 1890.

„Kiedy przed laty dziesięciu — pisze p. M. we wstępie do swego przekładu — cały świat ucywilizowany obchodził 400 rocznicę skonu Camoensa i u nas uroczystość ta nie przebrzmiała bez echa. Wszystkie pisma uczyły wspomnieniem wielkiego poetę i patriotę; „Biblioteka“ zaś i „Ateneum“ zamieściły piękne i obszerne studia o nim pp.: Kaszewskiego i Grabowskiego. Otóż „dla tych przyczyn“, „nie próbując nawet współzawodniczyć z tak wytrawnymi piórami“, p. M. „ograniczył się tylko do przypomnienia w kilku słowach kolei życia poety“. Szkoda, że Sz. Tłumacz tak mało ufał swoim siłom, zwłaszcza „po sześciu latach pracy nad językiem portugalskim“ t. j. po zdobyciu klucza do skarbów, znanych u nas przeważnie... z trzeciej ręki.

Otóż „dzieje poety“ „skreślił“ p. M. „według życiorysu, napisanego przez Clovisa Lamarre, „najobszerniejszego ze wszystkich, ja kie mu się udało mieć w rękę, opartego na źródłach“. I znów musimy powtórzyć: szkoda, że panu M. „udało się tylko ten życiorys mieć w rękę“, zwłaszcza, gdy są świeższe, o wiele obszerniejsze, a nadewszystko nieporównanie gruntowniejsze. Książka Lamarra, napisana bardzo poczytnie, może stanowić miłą lekturę dla ogółu nie wtajemniczonych w przedmiot czytelników, dla specjalistów jednak nie ma wartości, bo: w rozdziale I (Vie de Camoens) jest sporo błędów, w II-m (Notice sur les Lusíades) nie podaje nic nowego w porównaniu z poprzednimi historykami, w III-m (Aperçu de l'Histoire) jest kopia, w formie ciągłej, notat historycznych, rozsianych u Millie'go i Dubeux'a, z których pierwszy wydał w r. 1825 lichej przekład „Luzyjad“ prozą, drugi zaś poprawiał go i objaśniał w nowej edycji (1862). Wreszcie ostatni rozdział książki Lamarra, obejmujący przekład epepei Kamoensa jest raczej bardzo swobodną parafrazą prozaiczną wielkiego poematu — nigdy zaś ściśłem tłumaczeniem. Otóż dzisiejszy, a poważny biograf Kamoensa, nie może poprzestać na Lamarze, lecz musi korzystać ze źródeł i świeższych i dokładniejszych, których nie brak. Tylko takie dzieła jak Luis de Camoens por Latino Coelho (Lisboa 1880 stronic 374) i Camoens: his life and his Lusíads by Richard of Burton (London 1881 2 tomy stronic 738) można uważać za źródła do obecnej chwili najpoważniejsze, i one to powinny być Sz. tłumaczowi „Luzyjad“ służyć za przewod.

nika. — Radząc się ich, byłby p. M. nie twierdził, że Kamoens urodził się w Lizbonie, kształcił w Koimbrze, siedział na pokucie w Santarem, stracił matkę w dzieciństwie i t. d., gdyż co do trzech pierwszych kwestyj „ninguem o sabe ao certo discriminar“ (Coelho 23), co do ostatniej zaś jest rzeczą pewną, że matka przeżyła syna. W r. 1582, będąc starą i biedną, otrzymała pensję dożywotnią (Burton I — 7), która jeszcze w r. 1585 była przez Filipa II podwyższona. P. M. zaznacza, że „Luzyjady“ przekładano nawet na łacinę i że oprócz Hiszpanów tłumaczyli ten poemat „również Włosi i Francuzi“. Ponieważ bezpośrednio po tych słowach p. M. dodaje, że „u nas Jacek Przybylski przyswoił Luzyjadę“; przeto wnioskować by można, że Europa więcej przekładów nie posiada. Tymczasem nie licząc mnóstwa tłumaczeń częściowych, istnieje przekład na wet grecki, (Timotheo) na wet hebrajski (Moises Chaim), łacińskich 2, hiszpańskich 7, francuzkich 11, włoskich 5, angielskich 9, niemieckich 5, duński 1, holenderski 1, węgierski 1, szwedzki 1, rosyjski 1. Widzimy z tego, że dzisiejszemu tłumaczowi „Luzyjad“ nie zbywa na wzorach i pomocy, i gdyby p. M. radził się był nie Lamarre'a, lecz np. mistrzowskiego przekładu Donnera, byłby niezawodnie uniknął wielu usterek.

Przekład p. M. jest w wysokim stopniu nierównomierny. W jednych strofach spotykamy wzorową staranność w oddaniu myśli oryginału i zupełną poprawność formy, w innych zaś mniejsze lub większe skażenie tekstu i formę wielce zaniedbaną. Na całej zaś pracy znać bardzo wysiłek tłumacza, który, nie będąc poetą „z bożej łaski“, nie mógł w epizodach, zwłaszcza podnioslejszych, dostroić się do wyżyn oryginału.

Oto próbki:

Oryginał: Os olhos da real benignidade <sup>1)</sup>

Ponde no chao: vereis um novo exemplo

De amor dos patrios feitos valerosos,

Em versos divulgado numerosos (Pieśń 1 str. 9)

Przekład dosłowny: Oczy królewskiej łaskawości

Zwróć ku ziemi: ujrysz nowy przykład

Miłości ojezystych czynów potężnych,

Ujawnionój w wierszach licznych.

a p. M. Zwróć *ku* mnie (?) wzrok twój, *bo* ja *pieńniarz* *prawy* (!)

*Ani dbam czy mnie nagroda nie minie* (!)

Lecz rozmiłowan w dziejach mojej ziemi,

Walecznych ojców sławię rymi memi.

Oryginał: Vereis amor da patria, nao movido

De premio vil, mas alto e quasi eterno:

Que nao e premio vil ser conhecido

Far um progao do niuho meu paterno.

<sup>1)</sup> Os Lusíadas de Luis Camoens, herausgegeben von Dr. Carl von Reinhardtstoettner. Strasburg u. London, 1874.



Ouvi vereis o nome engradecido  
 Daoquelles, de quem seis senhor supremo (I, 10)  
 Przekład dosł.: Ujrysz miłość ojczyzny, działającą nie  
 Dla nagrody podłej, lecz szczytnej i wiecznej prawie,  
 Bo nie jest nagrodą podłą być znanym  
 Przez pochwały mego narodu ojczystego.  
 Posłuchaj—poznasz nazwiska rozślawione  
 Tych, których jesteś władcą najwyższym.

a u p. M. *Czci i miłości, co pieśń moją wiodą  
 Brudna chęć zysku nigdy nie skalala  
 I czyliż małą dla piewcy nagrodą  
 Gdy imię jego zna ojczyzna cała?...  
 O wielkich mężach słuchaj duszą młodą  
 Których Opatrzność twym rządóm poddała.*

Niby to podobne do oryginału, a jednak z gruntu zmienione, gdyż jak w poprzedniej strofie wieszcz ani myślał nazywać się „pieśniarzem prawym“, który „nie dba czy go nagroda nie minie“ tak i w tej nie wychwala ogólnie swęj cnoty, dalekiej od „skalania się brudną chęcią zysku“, lecz zaznacza, że nie pisze dla „nagrody podłej“, bo nie jest nią sława. Tłumacz w dwu wierszach stanowiących pytanie wypaczył myśl oryginału.

Oryginał mówi: Quando os deoses no Olympo luminoso  
 Onde o governo esta da humana gente  
 Se ajuntam em concilio glorioso (I—20)

co znaczy: Gdy bogowie w Olimpie świetnym,  
 Gdzie istnieje rząd rodu ludzkiego  
 Schodzą się na słynną naradę.

u p. M. *A z woli Jana (!!), co w olimpie włada,  
 Gdzie ważą losy kazdego narodu,  
 Prześwietnych bogów zgromadza się rada.*

Co to jest „z woli Jana“? A potem przecież w oryginale powiedziano tylko, że rada powołana była „w inieniu Jowisza“ (do parte do Tonante) co też Tłumacz wypowiedział w ostatnim wierszu strofy: „w imię gromowładcy pana“. Więć zkąd się wziął ów „Jan“?

Albo w pieśni 2-jej: Ouvia-lhe estas palavras piedosas  
 A formosa Dione, e commovida  
 D' entre as nymphas se vai, que saudosas  
 Ficaram desta subita partida,  
 Ja penetre as estrellas luminosas,  
 Ja na terecira esphera recebida  
 Avante passa; e lá no sexto eóo  
 Para onde está o Padre, se moveo. (II, 33)

Co znaczy: Wysłuchiła tych słów pobożnych  
 Bogini piękna, i wzruszona  
 Znika z pośród nimf, zgnębionych  
 Tęm nagłóm odejściem.

Już przenika gwiazdy błyszczące  
 Już sfery dosięgłszy trzeciej  
 Spiesz naprzód i tam w szóstém niebie,  
 W siedlisku ojca zjawia się.

a u p. M. Trafiły pięknej bogini do ucha  
 Pobożne słowa *pokory głębokiej*  
 Więc rzuca nimfy, na ich żale *głucha* (?)  
*I szybkim pędem wzbija się w obłoki.*  
 Przez sfery, gdzie *wre światów zawierucha* (!!)  
 Nad gwiazdy, *światła lejące potoki* (?)  
 Aż w szóstą sferę leci *nie wstrzymanie*  
 Gdzie ojciec bogów *założył mieszkanie* (!)

Otóż: skoro bogini „nagle znikła“ — to nie miała na to czasu, żeby wysłuchać żalu nimf; gdy się mówi o bogini znikającej, dodatek „szybkim pędem“ jest i nieloiczny i niesmaczny; „wrzenie zawieruchy światów“ jest nonsensem, którego Kamoens się nie dopuścił; że gwiazdy nie „leją potoków światła“, torzeczniana i nakońiec „lecieć nie wstrzymanie“ i „założyć mieszkanie“ są dodatkiem i zbytecznym i trywialnym. Oryginał mówi, że zapalał jak i rozniecała bogini „os polos gelados accendia e tornava de fogo a esphera fria“ (I, 34) t. j. „zapalał bieguny lodowate i w ogień obracał sferę zimną“ a p. M. pisze:

A tych pocisków podwójna potęga  
*Pali i mrozi* (!) wszystko czego sięga!

Gdzie tu loika? Autor mówi o Wenerze, iż „drżała jej pierś, z którą amor igrał niewidzialny, a z pod jej przepaski zionęły płomienie, któremi amorem dusze rozpalał“, co brzmi w oryginale:

Com quem amor brincava e nao se via  
 Da alva potrina flammas lhe sahiam  
 Onde o Menino as almas aecendia

a p. M. Zniego to (z łona) *drobny figlarz*, *amor celi*  
*Niby dziecina drzemiąc przyczajona*  
*I ostrząc groty, nim w piorś ludzką strzeli:*

Tam dwa obrazy, tu jeden i to zmieniony.

Oryginał mówi: *C'um delgado cendal as partes cobre,*  
*De quem vergonha é natural reparo,*  
*Porém nem tudo esconde, nem descobre*  
*O veo dos roxos lirtos pouco avaro.*  
*Mas para que o desejo accenda e dobro*  
*Lhe poe diante aquelle objecto raro.*

CO ZNACZY: Materyą delikatną okrywa członki,  
 Których obroną naturalną — wstyd  
 Lecz nie wszystko kryje, nie wszystko odkrywa:  
 Zasłona z lilij różowych zbyt skąpa:  
 Toż by pragnienia rozpalić i zdwoić  
 Kładzie ją.

a u p. M. Lekka zasłona boginią okrywa  
*I wstydlivości zdobi ją urokiem (?)*  
*O ty tkanino, o ty zazdrościwa (!!)*  
 Nie wszystko jednak ukrywasz przed okiem (?)  
 Piękność zdwojone pragnienia wyzywa  
*Wpółtajemniczym osłonięciu mrokiem (?)*

Otóż w wierszu drugim zatarta piękna myśl oryginału, wiersz trzeci nie istnieje u Kamoensa i jest niesmaczną apostrofą, wiersz czwarty nie oddaje tego co powinien, t. j. subtelnego wyrażenia: „nie wszystko kryje nie wszystko odkrywa“ a dwa ostatnie wiersze, miast wykazywać, jak chciał autor, finezyą kokieterijną Wenery, odtwarzają tylko lubieżny wykrzyknik poety. Oryginał mówi: „wierzyłam, że dla spraw, drogich memu sercu jesteś życzliwy, przyjazny i serdeczny“ (Eu cuidei, que para as cousas que en do peito amasse, te achasse brando, affabil e amoroso) a p. M. tłumaczy:

Jam wierzyła zawsze,  
*Żem ci nad wszystkie inne bogi miłą,*  
 Że serce twoje ku mnie najlaskawsze.

Żywcem z Lamarre'a, który pisze: j'étais heureuse de ton amour, de la préférence que tu m'accordais sur tous les dieux <sup>1)</sup>.

Albo: Este povo que é meu, por quem derramo  
 As lagrimas, que em vao cahidas vejo,  
 Que assaz de mal lhe quero, poisque o amo,  
 Sendo tu tanto contra meu desejo;  
 Por elle a ti rogando choro e bramo,  
 E contra minha dita em fim pelejo (II 40)

co znaczy: Ten lud, który jest moim, za który wylewam  
 Łzy, jak widzę, napróżno spadające;  
 Któremu przez to źle życzę, że go kocham  
 Gdyś ty tak moim przeciwny pragnieniom  
 Za niego prosząc i płacząc i błagam  
 I nakoniec przeciw szczęściu walczę własnemu.

a u p. M. Ten lud szlachetny, nad którym łyzy ronię,  
*K'przepaści wiodą niechętnych rachuby.*  
 Miłość to moja otwiera dlań tonie,  
*Mógłby ocalić mniejsz mi będąc luby (?)*  
 Ty szczęściu memu wbrew wiedziesz do zguby (!)

Otóż drugi wiersz — improwizacją, czwarty rozwodnieniem trzeciego a piąty świadczy o niezrozumieniu przez Tłomacza idei oryginału. Albo np. Kamoens mówi: „dziś po Troi tryumfującej, żeglarz nie zobaczy niczego więcej krom wspomnienia“ (Ouve, agora de Troja triumphante nao ve mais que a memoria o naveganté III

<sup>1)</sup> Camoens et les Luisades. Paris 1878 p. 34.



7) a p. M. pisze: Dziś Troja w ruinie (?), lecz bez wspomnienia żeglarz jój nie minie"; przykład całkiem błędny, gdyż o to idzie, że „nec locus ubi Troia fuit“, o kategorycznym zaś wspomnianiu jój przez żeglarzów i mowy nie ma.—Kamoens, wspomniawszy o wielkości staro Rzymu dodaje:

Pobre está ja da antiga potestade:

Tanto Deos se contenta da humildade! (III 15)

co znaczy: Dziś starożytniej nie ma już potęgi

Tak Bogu miłą... pokora!

a u p. M. *I dziś na gruzach ma tron i owczarnię (!)*

*Namiestnik Boga, co pokornych garnie (!!)*

To już za wielka swoboda!.. Kamoens, mówiąc że Hiszpania „zdaje się pragnąć zamknięcia morza Śródziemnego, tam gdzie z Maurytanią sąsiaduje“ dodał: „gdzie słynna cieśnina wsławiła się ostatnią pracą Tebańczyka“. (Onde o sabido Estreito se enobrece co'o extremo trabalho do Thebano) a p. M. tłumaczy to błędnie jakoby Hiszpanija chciała.

*Zniszczyć ostatnią pracę Tebańczyka,*

*Słynną cieśninę, co śród skał żłobiona (?)*

A dalej oryginał: Vendo estas namoradas estrañezas

O velho pai sesudo, que respeita

O murmurar do povo e a phantasia

Do filho, que casar-se nao queria (III—122).

co znaczy: Widząc te dziwactwa miłosne,

Stary ojciec przezornie się liczy

Z szemraniem ludu i z fantazyą

Syna, który żenić się nie chciał.

a u p. M. *Niedługo taka miłość skryć się może,*

*Doszły do ojea szemrania niechętnie*

*Ludu—i stary król potępią srodze (?)*

*Syna, co puścił namiętności wodze.*

Kamoens mówi iż widział wypadki, które marynarze, kierowani doświadczeniem, uważają za prawdziwe, sądząc z pozoru tylko, a „które dla ludzi mających sąd głębszy i oceniających rozumem tajemnice świata wydają się fałszywemi lub źle zrozumianemi“. Oto oryginał:

E que os, que tom juizios mais inteiros,

Que so por puro engenho e por sciencia

Vêm do mundo os segredos escondidos,

Julgam por falsos ou mal entendidos (V—17).

a p. M. tak wywraca to wszystko:

*I jam je widział, lecz w tym (?) sądem włada*

*Wiedza—z rozumu tylko prawda płynie (?)*

*On w tym zawilił tajni świata tłumie (!!).*

*Prawdę od fałszu sam odróżnić umie*

Jak widzieliśmy, Kamoensowi ani się śniło o takich mędrkowaniach!.. I owszem, poeta najwyraźniej twierdzi, że są rzeczy, którym mędrzec bytu nie przyzna, a jednak one istnieją. Że taka była myśl jego, świadczą następne strofy, w których wieszcz opowiada o cudach jakie widział na morzu, „pewnym będąc, że go wzrok nie mylił“ i kończy wymówką filozofom, że ich nie znają, bo wszystkie te „nadzwyczajności“ (estranhezas) to „prawdy czyste“ (puras verdades).—Kamoens mówi o Giermanach że toczą wojny z następcą Piotra, żeby „wyjść z pod jarzma władczego“ (por sahir do jugo soberano) a p. M. dla rymu „ottomana“ tłumaczy „Im cięży jarzmo Najwyższego Pana“ t. j. Boga, w którego przecież niemcy wierzą.

Kamoens mówi: A fortuna me faz o engenho frio

Do qual ja não me jacto nem me abono (X—9)

co znaczy Los już oziębił mój umysł,

Którym ni się już chełpię ni chwale,

a u p. M. Los myśl mi drętwi i gienijusz zabija (?)

Mniej dbam na ciosy, Serce lask nie czeka (!)

Kamoens pisze: „Mas eis outro“—cantara, intitulado

Ven con nome real etraz consigo

O filho, que no mar sera illustrado (X—26)

co znaczy: Lecz oto inny—śpiewała—dostojnik

Przybywa z imieniem królewskim a wraz z nim

Syn, który na morzu sławę zdobędzie

a p. M.: *Lecz już głośniejszym nuci Nymfa pieniem (?)*

Pierwszy wice-król k'Indyjom zwraca stery,

Z synem co w (?) morzaeh zasłynie imieniem.

Pierwszy wiersz całkiem niepotrzebny; drugi jest parafrazą wziętą z Lamarre'a; w trzecim wyraz „imieniem, użyty dla rymu, jest pleonazmem przy czasowniku „zasłynie“.

Nymfa, wieszcząc przyszłość twierdzi stanowczo i krótko; że „młody Lorenzo zdziała rzeczy nadzwyczajne“ (O mancebo Lourenço fará extremos), a p. M. znów tłumacząc z Lamarra, jeden wiersz tekstu rozwadnia w dwu wierszach:

Tu młodzian cudów dokazując męstwa

Zda się (?) gotować na wielkie zwycięstwa.

Ale dość tych dowodów, których zresztą moglibyśmy przytoczyć znacznie więcej; wystarczą one dla wykazania, że Sz. Tłomacz nie zawsze liczy się z oryginałem.

Forma przekładu przeważnie gładka, nie rzadko nawet poetyczna, jest w wielu miejscach bardzo zaniedbana i różni się od prozy jedynie chyba końcówkami przypominającemi przekład.. Jacka Przybylskiego. Oto przykłady:

Teraz, Kaliope, ty mi bądź *nacłnieniem*,

Jakie powieści wódz królowi *snował*,

I nieśmiertelném racz *napelnić pieniem*

Pierś śmiertelnika co cię *umiłował*;  
 A ten, coś bliski Orfeja *splodzeniem*  
 Ten, co lekarską sztukę *ugruntował*  
 Niech k'Dafnie, Klityji, ani żadnej *innej*  
 Nie zwróci czci swęj tobie *jednej winnej*.

Ani odrobiny artyzmu! Albo:

Filozofonie dawni, co *śróđ trudów*  
 Zwiedzali kraje *aby* (!) je *zbadali*  
 Gdyby widzieli tyle co *ja cudów*  
 I na tak różne wiatry *łódz swą zdali*  
 Ileż dzieł zacnych dla potomnych *budów*  
 Ileż by odkryć wielkich *dokonali* (str. 129)

Tak pisać wiersze—nie trudno, zwłaszcza jeżeli Sz. Tłumacz obok rymów jak wyżej, pozwala sobie nawet i na takie: wymowna= zrówna; drogim=wrogiem; żaloby=próby; starzy=monarszy=oparszy (brzydki wyraz!); bałamutne=obrotne; sposoby=próby; zwłoce=wróce; wyrzuty=powroty; wiodła=źródła i t. d. Sporo też wyrażeń dziwacznych dla rymu jak: sprzykrzysz ciężarem, stawia się oporem, dziękczyni, biegi na wyprzedki, gością, narzeczono mianem, krzyki przerażone, ścieżki udzielne, podbijać pod nogi, bierze przedkowanie i t. p.; form nieprawidłowych, jak: z monarchy sprawy (narzędnik) z myślmi, z serca tętny, słońcąc się pozorem, ześmiechy i żarty, napelnia cudy, swojemi budowy, uroczemi grony, porażony groty, krańcy swojemi, z ulubieńce swemi, z naszemi żeglarze (!), walczyć z herezyje modnemi, po niezmiernęj bezbrzeży i t. p. A już najnieznośniejsze, to są na każdej rozsiane stronicy takie osobliwości jak: k'rozbić, k'przepaści, k'flocie, k'ujmie, k'szałom, k'drzemce, k'ojczyźnie, k'podróży, k'czynom, k'rozwiązłej, k'cześci, k'państwu, k'Indyom i t. p. Jak widzimy, tłumacz ułatwiał sobie robotę bez ceremonii. Są też takie wiersze jak: „chciwości waszję *roztóćcie* (?) wędzidło“, „książę *ustami* (!) wita ich w radości“, „Za Leonory mężowi wydarćie“ (szyk!) „Dzieje dawne czyjeż wskazać mogą, czyny Pacheca nie przyémione imię“ (Co to znaczy?), „Gama znakomity, co Eneasza, przy wła s z c z y ł (?) zaszczyty“.—„Darząc tém, *na* co zasługa ma prawo“. Tłumacz nie dość jest czuły na k a k o f o n i ą więc nie rażą go takie wiersze, jak: „Zbiera do zwycięstw *znim* zwykle“ (wojsko); albo:

Dźwięczna melodia z słów pięknością *równą*  
 Tworzą harmoniją *anielską, cudowną*

albo: „Jęć głos donośny z dźwięcznej trąby tony  
 albo: „Nie zna co trudów uprawy zachody“ (?)  
 albo: „Pamiętka—morwa żalobna wystrzela“  
 albo: „Niebezpieczeństwa znoszą wielką duszą“  
 albo: Bronią wostchnień ognistych seciny (brak zgłoski)  
 albo: Jak nowe Argonauty Luzy wchodzą (brak rytmu).



Kawałkowanie wiersza jest także nieprzyjemną wadą przekładu:

- Włoski falernie, płyn, co się strumieni  
*Tu z czar—nie tylko—ć przewyższa odorem (!)*  
 albo: Znam ciężkie losy Luzów. Dawno jużby (!)  
 Musieli i t. d.  
 albo: Zadrzał Alwarez—tak, gdy Afrykany  
 Pól tetuańskich—ze wzgórz Ceuty ruszą  
 Lwa, miejsc tych króla, moczars opasany  
 Dzidami łowców—zanim go rozjuszą—  
 Staje—żrenicą toczy i t. d.  
 albo: Już Atlas, co go—by Nieba ramiony  
 Wsparł—w głaz Meduzy zmienił wzrok złowrogi  
 albo: Alfons w uporze—co drogo splecony  
 Będzie porażką, jak zawsze zwykł—bieży,

Takich przykładów moglibyśmy, bez trudu przytoczyć całą secinę.

Ma także sz. Tłumacz pochopność do wykrzykników i pytańników nie w porę—ze szkodą tekstowi np.: w pieśni II str. 42, VI—35, III—12, III—91 i t. d., gdy znów pytańniki i wykrzykniki oryginału bywają nie uwzględnione, pomimo, że ich trafnie użyto jak np.: IV—29, IV—123 i t. d.

Pomimo wszystkich wad i usterek, które powyżej zaznaczyliśmy, przekład p. M. ma wartość niezaprzeczoną; jeżeli bowiem sz. Tłumacz nie zdołał wznieść się do wyżyn oryginału i nie zawsze jest z nim w zupełnej zgodzie, to jednak przedmiotu nie lekceważył i trzeba mu przyznać tę zasługę, że, jak sam twierdzi, „luzyjskiego pieśniarza przypomniał naszemu społeczeństwu“. To też do odczytania przekładu jaknajserdeczniej zachęcamy.

*J. A. Świąteczki.*

Zbiór dokumentów, znajdujących się w bibliotece hr. Przeddzieckich w Warszawie. Wydał Adam Chmiel. Kraków. Nakładem Konstantego hr. Przeddzieckiego. 1890. Str. XIX + 160.

Praca konstrukcyjna nad dziejami powszechnymi zarówno jak i osobnych krajów i narodów dopóty chromać musi, dopóki surowy materiał, kryjący się dotychczas w zabytkach archiwalnych, nie zostanie zgromadzony i drukiem ogłoszony. Nic zatzm dziwnego, że każdy objaw ruchu wydawniczego witamy z nieklamana radością, gdyż tylko jemu zawdzięczają badania dziejów naszych w czasach najnowszych ten postęp, którym się chlubimy.

Kodeks przysposobiony przez p. Chmiela z archiwum Konst. hr. Przeddzieckiego zawiera 75 dokumentów, z których sześć (I—VI) znanych już było z dawniejszych wydań, mianowicie: cztery pierwsze

w poprawnym tekście ogłosił Dr. Piekosiński w „Kodeksie dyplomatycznym Małopolski“, piąty zaś Dr. B. Ulanowski w „Archiwum kom. histor. T. IV r. 1888“, szósty wreszcie Aleks. Przędziecki w „Źródłach do dziejów Polski“. Dla czego dokumenta te znalazły w nowym wydawnictwie pomieszczenie—o tém nie powiadomił nas sz. wydawca ani słówkiem; może uczynił to w chęci zamknięcia wszystkich aktów prywatnego księgozbioru w jednej publikacji. Z mniej znanych postaci występuje wybitniej w niniejszym Zbiorze nazwisko Jana Czenstułowskiego, trzykroć przez Warneńczyka w nader krótkich odstępach czasu wynagradzanego nadaniem mu dzierżaw w królewszczyźnie Semenów, w ziemi ruskiej, snać za wielkie usługi w wyprawie węgierskiej z r. 1441 położone (8, 10, 11). Zdefektowany w wysokim stopniu znachodzimy dokument, zawierający transakcyą domu Jana Elgota, słynnego profesora najpierw filozofji, potem prawa kanonicznego w uniwersytecie Jagiellońskim. Ciekawą zaś jest kolekcya 10 dokumentów Kamienieckich, które w połączeniu z „aktami grodzkimi i ziemskimi“ prof. Liske’go, dorzucić mogą nieco nowego światła na rozwój miast za Kazimierza Jagiellończyka, na mrówcze zabiegi tego króla około dźwignięcia upadającego żywiołu mieszczańskiego. Pokazuje się ztąd, że dotychczas błędnie utrzymywano, jakoby królowie nasi nie troszczyli się o sprawy mieszczaństwa, jakoby, ulegając szlachcie, zaniedbywali miasta, gdy źródła historyczne przeciwnych właśnie dostarczają dowodów<sup>1)</sup>. Szczególniejszą wagę przywiązujemy w tym względzie do dokumentu pod l. 12, ustanawiającego pewne ulgi na rzecz rzeźni Kamienieckich „gdyż król pragnie zgodnie z osnową prawa wszystkich poddanych ubezpieczyć“, następnie pod l. 22, obejmujący zatwierdzenie przywileju targowego. Stołeczny gród Podola musiał zresztą naówczas być dość znacznym emporjum handlowém i po Lwowie drugim z rzędu ogniskiem wymiany produktów przemysłu ze wschodem, kiedy rzemieślnicy skupiają się w cechy (nr. 19) i równocześnie prawie warują sobie cenne prawa kupieckie, na radzieckich wilkierzach oparte. Dyplomata pod l. 20 posiada niezwykłą doniosłość, gdyż po raz pierwszy odnośnie do wieku XV-go odsłania nam fakt, gdzie jurysdykcyja nad żydami nie spoczywa wyłącznie (jak dotychczas mniemano) w rękach królewskich, lecz była także atrybucyą władz rządowych miejskich, z ramienia wojewody wyznaczonych, mianowicie sędziów i podsędków grodowych. Ważną tę wiadomość znajdujemy w dokumencie, świadczącym o wystąpieniu powyższych dostojników w charakterze władzy wykonawczej, przy zamianie synagogi i przy-

<sup>1)</sup> Przeciwno temu błędnemu pogładowi w naszej literaturze historycznej wystąpiła już dawniej „Bibl. Warsz.“ Zob. rok 1887 T. I str. 195—199. Porówn. rok 1889 T. IV str. 194 i nast.

tułków na inne domostwa, ofiarowane gminie żydowskiej przez Długosza, zapewne w imieniu katedry krakowskiej.

Inne akta odnoszą się bądź do stosunków prawnoprywatnych, bądź też do różnych lokacyj i nadań, nie mających większego znaczenia. Oprócz wymienionych aktów Kamienieckich i żydowskiego, treść reszty dokumentów nie przedstawia nowych ważniejszych wiadomości. Co do naukowej strony wydawnictwa, to kodeks, wydany przez p. Chmiela, obejmując zabytki z różnych czasów, nie mógł przedstawić dokładnego obrazu poruszonych faktów; lecz pod względem skrętności, doskonałego opracowania materiału, dokładnego indeksu rzeczowego i osobowego, śmiało może ubiegać się o zaszczytne miejsce między wzorowymi publikacjami tego rodzaju. Szczodra ręka Konst. hr. Przeddzieckiego dopomogła ozdobić stronę zewnętrzną książki, tak że w obec tych dodatkich względów, oczekujemy z niecierpliwością tomu następnego tak przezornie podjętego wydawnictwa, które stanowić będzie rozumowany katalog skarbów rękopiśmiennych jednej z bogatszych bibliotek rodzinnych.

*Ernest Deiches.*



## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Charakterystyka dzisiejszych stosunków międzynarodowych w porównaniu z dawniejszą polityką. — Zamierzona reforma szkół w Prusach. — O pracach t. zw. komisji żydowskiej w Petersburgu. — B. Werner o znaczeniu „bilu Mac-Kinleya“. — Towarzystwo kopalni i fabryk sosnowieckich. — Prace nagrodzone przez Akademię Nauk w Petersburgu z funduszu hr. Uwarowa. — O portret ks. Marka.

Mężom stanu dawniejszej szkoły politycznej nie tak łatwo przychodzi zorientowanie się dzisiaj na polu politycznych stosunków życia międzynarodowego, bo to, co się dawniej nazywało polityką, traci swolna dawniejszy swój imponujący urok, nie zatrudnia w tym stopniu co dawniej umysłów nowiniarzy politycznych. Myśl o wojnach, myśl o wojennych zatargach między państwami i narodami, ustąpiła miejsca troskom o zabezpieczenie interesów materialnych, ustąpiła miejsca ideom ekonomiczno-społecznym. Rezultatów tych rozmyślań, badań, starań i nawet jaknajtroskliwszych zarządzeń trudno dziś przewidzieć, ale, nie przesądzając przyszłości, wolno się spodziewać, że prace i starania podejmowane w kierunku tych idei będą miały dla całego świata cywilizowanego olbrzymie i daleko sięgające znaczenie, — oby tylko pożyteczniejsze i z istotnym dobrem narodów zgodniejsze znaczenie, aniżeli wyniki dawniejszych krwawych starć orężnych. Przynajmniej widoczną jest rzeczą, że o ile dawniejsza polityka poruszała przeważnie sfery stojące materialnie wyżej i wyższą inteligencją się odznaczające, o tyle najnowsze współzawodnictwo między interesami ekonomicznymi sięga do masy daleko szerszej, pobudza daleko więcej namiętności ludowe.

Kwestye, któremi się w tej chwili wszystkie niemal państwa przeważnie zajmują, odnoszą się do racjonalnego urządzenia systemu podatkowego i celnego, zajmującego przedewszystkiem uwagę państw europejskich, które rozszerzają coraz bardziej koło atrybucyj władzy państwowej ze szkodą konstytucyjnym praw obywatelskich. Idee coraz szerszej władzy państwowej przenikają też rozpoczęte prace sejmujących reprezentacyj politycznych w państwach konstytucyjnych. Cesarz Wilhelm II rozwija przed innymi gorączkową energią w przyspasabianiu sił do walki z socjalizmem, tym wewnętrznym wrogiem państwa, uważając go za element najniebezpieczniejszy dla racjonalnego rozwoju interesów narodowych. Projektowana reforma szkół w Prusach opiera się na tej podstawie, chociaż

doświadczenie Francyi za Napoleona III, który także myślał, że przez wprowadzenie do programu szkolnego nauki ekonomii politycznej i gospodarstwa narodowego (z pomocą ministra Duruy) wzmocni podstawę swojego tronu i porządku społecznego. Wykład socyologii i różnych systemów ekonomicznych należy do katedry uniwersyteckiej; wprowadzony zaś do szkół niższych i średnich podlega zawczasie namietności materialistyczne.

O pracach komisji, mianowanej dla zbadania kwestyi żydowskiej, „Moskiewskie Wiadomości“ donoszą co następuje:

„Prace specjalnej komisji w kwestyi żydowskiej dotkną przede wszystkim tej części ludności żydowskiej, która oddziaływa na społeczeństwo w sposób najbardziej szkodliwy. Na zapytania, uczynione przez p. ministra spraw wewnętrznych, gubernatorowie odpowiedzieli, że pewna część ludności żydowskiej w państwie, w obrębie jej zamieszkania, zajmuje się jako rzemieślnicy pracą produkcyjną i dlatego względem niej nie ma potrzeby stosowania jakichkolwiek środków represyjnych, które atoli niezbędne są w stosunku do innej części ludności żydowskiej, odgrywającej rolę wyżywkowca w kraju Zachodnim. Ta właśnie część ludności utrzymuje karczmę, zajmuje się lichwą, wszelkiego rodzaju pośrednictwem; dzierżawi majątki, eksploatuje prostytutkę, trzyma w swych rękach handel miejscowy i w ogóle odznacza się karygodnymi obyczajami. W obec takich odpowiedzi gubernatorów, ministeryum sądzi ze swjej strony, że nadanie żydom wolności zamieszkiwania w Cesarstwie i prawa nabywania gruntów—nie tylko nie przyniesie żadnego pożytku, lecz że przeciwnie, będzie ze szkodą dla całej ludności Cesarstwa, ponieważ pracowita i uczciwa część ludności żydowskiej nie potrzebuje tego przywileju, a z ulgi korzysta tylko ta część, która nie zasługuje na poparcie. Jednocześnie ministeryum uznaje za stosowne zabronić żydom we wszystkich miejscowościach państwa zajmowania się: 1) dostawami i przedsiębiorstwami rządowymi w charakterze antreprenierów, 2) fabrykacją i sprzedażą napojów spirytualnych, jeżeli nie zostanie sprawdzonem, że fabrykacja odbywa się na wywóz, 3) lichwą oraz kilku jeszcze innymi rodzajami zajęć. Zakaz rozciągać się będzie również na ochrzczonych żydów w pierwszym pokoleniu“.

Dnia 21-go listopada odbyło się w **T o w a r z y s t w i e p r z e m y s ł u i h a n d ł u** pierwsze po feryach letnich posiedzenie sekcji handlowej, na którym p. B. Werner mówił o znaczeniu bilu MacKinleya dla handlowych stosunków Europy z Ameryką, o czem gazeta „Wiek“ ogłosiła następującą szczegółową relacją.

„Dla niewtajemniczonych w zakulisowe dążności i walki stronnictw amerykańskich uchwalenie przez kongres owego bilu było

prawdziwą niespodzianką. Względy polityczne wywołać go nie mogły, wyjątkowe bowiem położenie terytoryalne Stanów Zjednoczonych uwalnia je od potrzeby wciągania handlu do polityki i uciekania, się na wzór Europy, do środków zaczepnych lub odwetowych drogą podnoszenia cel dla pewnego ościennego kraju. Dalej każdy, kto zna świetne położenie finansowe skarbu amerykańskiego, musiał również przyjść do wniosku, że Mac-Kinley, stawiając swój wniosek, nie mógł powodować się względami natury fiskalnej. Wreszcie rolnictwo i przemysł Stanów znajdują się obecnie w pełnym rozkwicie i wykazują zdumiewające postępy na każdym polu, nie potrzebowały więc wcale tak forsownej pomocy państwa.

Istotnie w Ameryce, dzięki energii i pomysłowości mieszkańców, życie ekonomiczne porusza się w takich warunkach, jakie dla większości państw europejskich długo zapewne pozostaną w krainie niedościgłych marzeń. Dość przypomnieć tutaj, że sieć dróg żelaznych w Stanach Zjednoczonych jest dłuższa o kilkanaście tys. kilometrów niż w całej Europie. Ruch transportów kolejowych jest olbrzymi, bo wynosił w jednym z lat ostatnich przeszło 10 ton na głowę, gdy w Rosji naprzykład wynosi zaledwie około 200 pudów na mieszkańca. A w miarę wzrostu sieci kolejowej wzmożła się konkurencja, a opłaty za przewóz towarów obniżyły się do minimum, tak, że obecnie drogi amerykańskie rywalizują z sobą głównie w sferze udogodnień dla publiczności. Obok takiej dźwigni przemysłu, jaką stanowi gęsta sieć środków komunikacyjnych, wspomnieć jeszcze wypada o licznych nader w Ameryce związkach przemysłowych (związek właścicieli gorzelni, rafinerij, olejarni, rzeźni i t. p.), które działają nieraz ze szkodą dla konsumenta, ale własny swój byt, dzięki zasadzie solidarności, oparły na silnej bardzo podstawie.

Twórcy bilu nie mieli przeto na oku ratowania przemysłu krajowego, bo przemysł ten nie potrzebował bynajmniej takich środków. Zresztą za przypuszczeniem tém przemawia także treść bilu, który w wielu punktach nie ma charakteru prohibicyjnego; znajdujemy w nim długi szereg pozycji, które co do opłaty cła nie uległy żadnej zmianie; dalej wiele takich punktów, przy których uczyniono zastrzeżenie, że podwyżka cła może być tylko prowizoryczna; a wreszcie nie brak nawet towarów, które dziś, na mocy uchwalonego w październiku prawa, płacą cło niższe niż poprzednio. Co więcej, niektóre zmiany celne przynoszą wręcz szkodę przemysłowi amerykańskiemu i przyczynią się do zmniejszenia produkcji pewnych wyrobów.

Genezę wniosku M. Kinleya, jako niewywołanego bynajmniej interesem państwa, wytłómaczyć sobie można w jeden tylko sposób. Oto pewna liczba fabrykantów, pragnąca z bogacić się szybko kosztem ogółu, postanowiła przeprowadzić znaczną podwyżkę cła i dzięki korupcyi, toczącej stojące dziś u steru rządów stronnictwo republikańskie, szczęśliwie celu swojego dopięła. Rozumie się jednak,



że myśl w takich okolicznościach poczęta, nie ma warunków trwałości. Gwałtowne podrożenie różnych towarów wywołało ogólną niechęć w kraju, a objawy tego prądu (np. wynik wyborów do kongresu) dowodzą jasno, że bil Mac Kinleya nie wytrzyma próby czasu i wykopie grób dla stronnictwa, którego narzuciło społeczeństwu. Streszczona powyżej pogadanka p. Wernera wywołała dość ożywione rozprawy, poczem p. Suligowski wypowiedział jeszcze kilka nrag o projektach komisji, zajętej obecnie w Petersburgu opracowaniem nowych taryf kolejowych.

Dnia 22 listop. zawiązane zostało Najwyżej zatwierdzone w d. 11 maja r. b. „Towarzystwo kopalni i fabryk sosnowickich“ z kapitałem akcyjnym 4,250,000 rs. w złocie.

Pierwszą czynnością Towarzystwa było nabycie dóbr, zakładów hutniczych, kopalni i fabryk gwarectwa von G. Kramsty. Zarząd został już ukonstytuowany i wybrał na prezesa p. Michała Karnickiego, a na wiceprezesa p. Józefa Daragana, Dotychczasowy kierownik główny kopalni gwarectwa Kramsty, p. Wister opuścił swoje stanowisko. Dyrektorem zarządzającym mianowany został przez zgromadzenie ogólne akcyonaryuszy p. J. A. Surzycki, b. sekretarz generalny warszawskiej fabryki stali i b. administrator fabryk putiłowskich. Akt zawiązania Towarzystwa sporządzony został przed rentem S. Zawadzkiem.

Akademia Nauk w Petersburgu przyznała w r. b. nagrody imienia hr. Uwarowa po 500 rs. czterem autorom dzieł następujących: 1) Prof. Piotrowi Władimirowowi za dwie prace: „O życiu św. Aleksego“ i „Doktor Franciszek Skoryna, jego przekłady, wydania i język“. W pierwszej z tych prac autor, oprócz tekstu z XV lub XVI w., korzystał z legendy łacińskiej czeskiej parafrazy i redakcyi polskiej według „Gesta Romanorum“. Przedmiotem drugiej z wymienionych prac prof. Władimirowa, jest Franciszek Skoryna, pierwszy tłumacz Biblii na język ludowy białoruski, rodem z Połocka, żyjący w XVI w.; uczył się medycyny w Krakowie, a następnie w Wittemberdze, zkąd powrócił na Litwę. Drukował swe prace w Wilnie i Pradze Czeskiej; stanowią one obecnie wielką rzadkość bibliograficzną. Autor rozprawy o nim, według zdania recenzenta, prof. Budiłowicza, wywiązał się wybornie ze swego zadania. 2) Al. Łazarewskiemu—za tom I „Opisu staréj Małorusi“, obejmujący historią pułku Starodybowskięgo. 3) Prywatnemu docentowi Lichaczewowi za dzieło p. t.: „Razriadnyje djaki w XVI w.“ 4) P. Ziteckiemu za część I „Rysu historyi literatury narzecza małoruskiego w XVII i XVIII w.“

W sprawie portretów o. Marka ogłosił „Przegląd Katol.“ Nr. 45 z dnia 6-go listop. r. b. list p. Sołtana z Waplewa

w Prusach Zachodnich, który dla uzupełnienia wiadomości w tój kwestyi przez Bibl. już podanych (Zesz. Paźdz. r. b. str. 142—145) ogłaszamy:

„Nie wdając się w spór ani co do nazwiska księdza Marka, ani o brodę i tonzurę, wniesioną przez dr. Antoniego J., donoszę Redakcyi, że się znajduje portret księdza Marka, znakomitego pędzla, w galeryi obrazów waplewskiej hr. Sierakowskich, a historya obrazu taka. Hrabia Kajetan z Bogusławic Sierakowski, ostatni kasztelan słoński, senator, miał w swym pałacu na Lesznie w Warszawie, gdzie mieszkał ostatnie lata do zgonu, dość znaczną i cenną galeryą obrazów, w części nabytą we Włoszech. W tój galeryi był też portret księdza Marka. Po jego śmierci cała galerya przewieziona została do Waplewa. Kajetan Sierakowski miał zwyczaj na odwrotnych stronach obrazów własnoręcznie zapisywać co obraz przedstawia, gdzie kupiony i co zapłacony; obraz księdza Marka, w katalogu Waplewskim zapisany pod Nr. 926, ma napis ręką Kajetana S.: „Ksiądz Marek Karmelita świątobliwy i sławny podczas Konfederacyi Barskiej“. Tak sumienny człowiek, przytém przyjazny Karmelitom na Lesznie, że tam kazał pochować swe zwłoki, bez podstawy fałszywego podpisu nie dałby; a przytém rzecz niewątpliwa, że księdza Marka znać musiał, gdy tenże w początkach tego wieku kilka lat spędził u Karmelitów na Lesznie. Całe życie czynne i sumienne ś. p. Kajetana Sierakowskiego, świadczy aż nadto, że portret jego napisem zaznaczony, jest tem, czem oznaczony. Prawnuk ś. p. Kajetana, hr. Adam Sierakowski, naocznie się przeświadczył, że waplewski portret zupełnie zgodny z tym, co był w klasztorze Karmelitów w Warszawie i jest albo oryginałem albo kopią. Sądzę, że ta wiadomość o portrecie w Waplewie, posłuży do uwiarogodnienia rzeczy o rzeczywistości portretów ks. Marka“.

*Adam Lew Soltan.*

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Katalog S. Lewentala. — X. Stef. Pawlicki „Histor. filozofii greckiej. T. I. „Encyklop. wychowawczej“. Zeszyt VIII tomu 4-o. — K. P. Orient-Expressem. — Dr. Tebórnicki: „Listy o wyborze stanu“. — M. Heilpern: „Tajemnice przyrody“. Świątepek Czech: „Wycieczki p. Brouczka tlóm. J. Nitowski. — Gliński „Wspomnienie Tatrów“. — M. Rodziewiczówna. Obrazki. — J. Ksaw. Hendigery. „Nauka wychowania. O wychowaniu fizyczném — Balcer Oswald: „W obronie historyografii naszej“. — Ks. Emil Michael, S. J., Ranke's Weltgeschichte“. — R. P. Didon „Jesus Christ“. — Edm. Hippeau „Les Lusiades de Camoëns“. — Corresp. diplomat. du Pozzo di Borgo (1814—1818). — Vivenot et Zeissberg: D. Baseler Frieden“. „Die 3-te Theilung Polens“. — „Locqueneuille „L'ésclavage“. — Weissenborn „Sechs Jahre deutscher Colonial-politik“. — Rolin Jacquemyns: „La conférence de Berlin“.

— S. Lewental ogłosił „Katalog“ swoich wydawnictw nakładowych. Str. 31. W zbiorze wydawnictw p. S. Lewentala mieszczą się oprócz wielu utworów beletrystycznych także i dzieła naukowe (Józefa Kremera, Dzieje literat. powsz.). Na rok 1891 zapowiedziane „Pamiętniki rysunkowe Fr. Kostrzewskiego“.

— X. dr. Stefan Pawlicki C. R., profesor uniwersytetu Jagiellońskiego wydał w Krakowie z pomocą Akad. Umiejętn. dzieło pod tyt. „Historja filozofii greckiej od Talesa do śmierci Arystotelesa“. Krak. 1890. T. I-szy str. XI + 431. Książka prof. Pawlickiego, traktująca o bardzo ważnym a w literaturze naszej tak zaniedbanym przedmiocie, jak filozofia, odznacza się gruntowném zgłębieniem rzeczy, wykładem jasnym i systematycznym oraz językiem czystym i stylem potoczystym, tak że możemy ją zalecić najszerszym kołom poważniejszych czytelników jako prawdziwe wzbogacenie literatury filozoficznej w języku polskim. Autor, zanim przystąpił do wykładu samego przedmiotu rozbiiera w obszernej przedmowie (str. 1—68) następujące kwestye: 1) O dziejowém znaczeniu filozofii; 2) O dziejopisarzach filozofii, 3) Bibliografia filozofii greckiej, 4) Pochodzenie filozofii greckiej; 5) Definicja i epoki filozofii greckiej. — Ks. Pawlicki dzieli cały obszar historyi filozofii greckiej na następujące 4 okresy: I. Od Talesa do wystąpienia Sokratesa (r. 600—430). II. Od Sokratesa do śmierci Arystotelesa (430—322). III. Od śmierci Arystotelesa do Chrystusa Pana (322 przed Chr. do 30 po Chr.): Akademia i Liceum, obok nich: Stoicyzm i Epikureizm,



Sceptycyzm. IV. Od Chrystusa Pana do Iustyniana (30 po Chr. do 529): Szkoła aleksandr. Filona. Stoicyzm i Epikureizm w formie odświeżonej. Nowoplatonizm. Obok filozofów pogańskich występuje filozofia chrześcijańska do walki, dążąc do zlania Arystotelesa z teologią.

— Zeszyt VIII „Encyklopedyi wychowawczej“, zakończający t. IV wyszedł z druku i oprócz wspomnienia, poświęconego zmarłym współredaktorom: Stanisławowi Przysiańskiemu i Edmundowi Stawiskiemu, zawiera następujące artykuły: Gimnastyka, p. H. Łuczkiwicz (dok.); Gimnazya, p. M. Maciszewskiego; Girard, p. L., Gizewiusz p. W. Kętrzyńskiego; Glarean, p. L., Gliczner, p. P. Chmielowskiego; Goethe, p. R. Plenkiwicz, Golański, p. P. Chmielowskiego, J. Golurowski p. S. Dicksteina, oraz Gostyński, p. L. — Najobszerniejszy z tych artykułów wyszedł z pod pióra p. Maciszewskiego, ale jakkolwiek zawiera cenne wiadomości informacyjne, co do obecnego stanu gimnazyów, to za to grzeszy pominięciem istotnej treści, jaką tytuł zapowiadać się zdaje. Mianowicie, trudno z niego urobić sobie pojęcie, czém właściwie gimnazjum jest dzisiaj, czém być powinno w obec rozwiniętych potrzeb kultury społeczeństwa dzisiejszego—i jakie jest jego zadanie w rozwijaniu władz umysłowych młodzieży. Gdy gimnazya, w krajach rozpatrywanych, ulegną kiedy reformie, artykuł ten straci swą wartość, jako zasadniczy w Encyklopedyi, będzie miał zaledwie historyczne znaczenie. Nadto zauważyliśmy w nim pewną nieproporcjonalność co do użycia nagromadzonego materiału. O gimnazyach austriackich mówi się za obszernie, o pruskich zamało, choć je uważać za typowe należy. Artykuł o Girardzie zasługuje na bacniejszą uwagę ze względu na oryginalną metodę, jakiej G. używał przy nauce ojczystego języka i umiejętném jej zastowaniu do rozwijania w ogóle władz umysłowych dziecka. Tegoż samego pióra artykuł o Gostyńskim stanowi cenny przyczynek do pedagogiki polskiej. Gliczner i Golański—dwa artykuły przez p. Chmielowskiego skreślone, odznaczają się wyczerpaniem materiału drukowanego, odnoszącego się do tych dwóch osobistości. Artykuł o Goethem może służyć za wzór, podług którego należałoby opracowywać w „Encyklopedyi wychowawczej“ pisarzy i poetów zajmujących w programie szkolnym wybitniejsze stanowisko przy nauce języka i literatury ojczystej. Autor nie przepisuje ustępów z dzieł poety, który z powołania pedagogiem nie był, ale charakteryzuje jego poglądy na zasady i główne zadanie wychowania i szkoły. Współdziałł Goethego w kształceniu młodego Fryderyka Steina, późniejszego organizatora odradzających się sił monarchii pruskiej, oraz w rozwoju umysłowym w. ks. wejmarskiej Augusty, późniejszej cesarzowej niemieckiej, zapewniają mu pewne stanowisko w dziejach pedagogiki nowszej. Prof. Plenkiwicz, z dziełami poety w rękę, przedstawił najprzód jego zasady oraz ideały pedagogiczne, scharakteryzował jego poglądy czy-

sto dydaktycznej natury, <sup>1)</sup> poczem mówi o karności i etyce, którą Goethe młodzieży zalecał, wreszcie opisuje dosyć szczegółowo jego „Prowincją pedagogiczną“, zakrawającą na osobny rodzaj utopii w granicach wychowania powszechnego—i zamyka gruntowną pracę swoją krytyczną opinią o znaczeniu pedagogicznem poglądów Goethego w zakresie szkoły i wychowania publicznego.—Wreszcie artykuł o Gołuchowskim Józefie jest wdzięcznym wspomnieniem o mężu. związanym z najświetniejszą epoką umysłowego u nas rozwoju. Szkoda tylko, że prof. Dickstein nie skorzystał z ustnej tradycji, jaka o nim wśród żyjących zapewne jeszcze uczniów b. Instytutu agronomicznego w Marymoncie została. Wielu z nich bowiem w Garbaczku odbywało praktykę gospodarczą; od nich więc można było powziąć wiadomość, iż Gołuchowski, choć nauce oddany, był gospodarzem wzorowym i powierzony sobie młodzieży dawał z siebie wyborne przykłady pracowitości, rządności, sumiennego spełniania obowiązków, a co ważniejsza wielkiego poświęcenia dla ludu. Zwolennik hydropatyj, w czasie panującej w Garbaczku cholery, sam z żoną i praktykantami ratował stosowaniem metody Prieschnitza dotkniętych epidemią. Wydał nawet, jeżeli nas pamięć nie myli, o tém leczeniu broszurkę. Spełniał więc podwójny obowiązek: człowieka-obywatela i przewodnika młodzieży, co najlepiej świadczy o wrodzonych mu pedagogicznych zdolnościach.

Taką jest treść obecnie wydanego poszytu Encyklopedyi. Dziwi nas tylko, iż dotąd ani jedno z pism nie poświęciło mu choćby wzmianki pobieżnej. Jakże ogół może ważność wydawnictw pedagogicznych pojmować, jeżeli kierownicy opinii publicznej uparte o nich zachowują milczenie?

— Orient—expressen nad Bosfor. Przez K. P. Kraków 1891. Str. 113. Okolicznościowy ten opis wycieczki na wschód p. p. K. P. potrąca bardzo często o reminiscencye, przechowane na wschodzie o posłach Rptéj i innych podróżnikach naszych w tych stronach, co podnosi wartość téj pracy.

— Dr. J. Tchórznicki. Listy do młodzieńca o wyborze stanu. Warsz. 1891. Nakład księgarni Teod. Paprockiego i S-ki str. 132.

— „Tajemnice przyrody. Wiadomości ogólne o świecie. Kurs zawierający wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych, Napisał M. Heilpern. Warsz. 1891. Nakład księg T. Paprockiego i S-ki. Str. 320. Jest to pożyteczny podręcznik do wykładu nauk przyrodzonych.

<sup>1)</sup> Goethe przy wykładzie przedmiotów, wchodzących w zakres wychowania średniego, odrzuca wszelką negacyą, krytykę i klasyfikacyą. „Dzieje mają obudzać zapał w młodzieży a nie krytyczne poszukiwanie tak zwanéj prawdy historycznej, które w jej oczach cały urok dziejom odbiera“.

— Świętopelk Czech. Wycieczki pana Brouczka. I. Wycieczka na księżyc. II. Pan Brouczek w XV stuleciu. Z oryginału czeskiego przełożył J. Nitowski. Warsz. 1890 str. 352.

— Kazimierz Gliński. Wspomnienie Tatrów. Z marzeń o szarzej godzinie. (Wierszem). Warsz. 1891. Nakład księg. T. Paprockiego i S-ki, str. 73 i VIII. Objawień.

— Marya Rodziewiczówna: Obrazki. (Złota dola. Na Wigilię.—W noc grudniową.—Znachor. — Myśl. —Południca). Warsz. Nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki 1891 str. 218.

Józef Ksawery Hendigery. Nauka wychowania. O wychowaniu fizyczném. Warsz. 1890. Nakł. autora str. 96. Autor, który zamierzył opracować cały obszar wychowania, mając wzgląd na to, że w dziecku rozwijają się wprzód siły cielesne aniżeli duchowe, rozpoczął pracę swoją od wychowania fizycznego. Za cel wychowania uważa p. H. „rozwinąć wrodzone siły i zdolności dziecka w ten sposób, ażeby przygotować zeń (!) człowieka, mogącego prowadzić zdrowe, szczęśliwe i moralne życie i tem samem uczynić go pożytecznym swemu gatunkowi“ (str. 13).

— Balcer Oswald: „W obronie historyografii naszej“. Lwów 1890. Prof. B. stara się odeprzeć zarzuty, które Tad. Korzon wygłosił na Zjeździe histor. polskich we Lwowie przeciwko najnowszym doktrynom politycznym, krzywdzącym prawdę historyczną.

— Rankes Weltgeschichte. Eine kritische Studie von Emil Michael S. J. Dr. theol. et philos. Privatdocent für Kirchengeschichte an der Universitaet Jnnsbruck. Paderboru 1890 str. 51. Dzieła tak wpływowego znaczenia, jakie bez zaprzeczenia mają prace Leopolda Ranke'go nie można zdyskredytować w krótkiej broszurze; w każdym jednak razie może krytyczne wystąpienie ks. Michael'a przeciwko powszechniej bezwzględnej apologii prof. berlińskiego nie być bez korzyści dla postępu nauk historycznych. Szan. krytyk-polemista opiera się na gruncie historii kościoła katolickiego i w osobnych ustępach rozbiera następujące kwestye: 1) Pochwalne sądy o dziełach historycznych Ranke'go (str. 7—8) 2) Uniwersalno-historyczne stanowisko Ranke'go (9—12); 3) Ranke i chrześcijaństwo ewangelickie (12—18); 4) Ranke i pismo S-te (18—20); 5) Ranke w obec Cudów (21—24). 6) Zapatrywanie się Ranke'go na papieżstwo i na kościół katolicki (24—32); 7) Ranke jako mistrz w kreśleniu portretów historycznych (33—49). 8) W zakończeniu potępia ks. E. Michael swawolę historyografii racjonalistycznej, którą R. podniósł na imponujące wyżyny kunsztu historycznego.

— „Jesus Christ.“ par le R. P. Didon. Paris. Plon, 1890. Dzieło O. Didona, obejmujące dwa grube tomy in 8-o, z mapami, trzeba uważać jako gruntowną, naukową odpowiedź na rozgłosną téżże treści pracę Ern. Rena na.



— Les Lusiades, par Camoëns. Traduction nouvelle avec notes et commentaires, précédée d'une étude sur la vie et les moeurs de Camoëns, par Edmond Hippeau. Paris 1890, 8-o.

— Correspondance diplomatique du comte Pozzo di Borgo, ambassadeur de Russie en France et du comte de Nesselrode, depuis la restauration de Bourbons jusqu'au Congrès d'Aix-la-Chapelle (1814—1818) par M. le comte C. Pozzo di Borgo. Paris 1889, 8-o.

— Vivenot. (A. V) u. H. V. Zeissberg: Quellen zur Gesch. d. deutsch-kaiserl Politik Oesterreichs während d. französischen Revolutionskriege (1793—1801). T-ów 5. Wiedeń, Braumüller 1889. T. 3 zawiera: D. Baseler Frieden.—Die 3-te Theilung Polens (October 1794 bis Septbr. 1795). Wien. 1890.

— Scarsez de Locqueneuille: „L'esclavage, ses promoteurs et ses adversaires. Notes et documents pour servir à l'histoire de l'esclavage dans ses rapports avec le catholicisme, le protestantisme et les principes de 89. Liege 1890, 12.

— Weissenborn, W. „Sechs Jahre deutscher Colonial-politik, Eine Ergaenzung zu Dr. Fabri's Buch; „Fünf Jahre deutscher Colonial-politik. Berlin 1890.

— Rolin-Jacquemyns: „La conférence de Berlin sur la legislation du travail et le socialisme dans le droit international“. W czasop. Revue de droit international et de legislat. comparée. Nr. 1. 1890.

---

## N e k r o l o g i a .

---

† Dnia. 30 października r. b. zmarł nagle w Krakowie, wskutek choroby serca, dr. **Maksymilian Nowicki**, prof. zoologii w Uniwersytecie Jagiellońskim. Urodzony w Jabłonowie, w Galicyi, dnia 9 października 1826 roku, kształcił się w gimnazyum w Stanisławowie, uczęszczał na Uniwersytet we Lwowie i Wiedniu. Najprzód złożył w r. 1854 egzamin na nauczyciela historii naturalnej z prawem nauczania w gimnazyum niższém, a w r. 1857 w gimnazyum wyższém. W r. 1863 uzyskał dyplom doktora filozofii w Uniwersytecie lwowskim. W roku 1862 był nauczycielem historii naturalnej, fizyki i matematyki w gimnazyum samborskiém, później w gimnazyum akademickiém we Lwowie, a w kwietniu 1863 roku powołany został na profesora zoologii w Uniwersytecie Jagiellońskim i pełnił te obowiązki aż do śmierci. Od r. 1868 do 1885 był w komisji egzaminacyjnej krakowskiej dla kandydatów na nauczycieli—egzaminatorem z zoologii, w roku 1871/2 dziekanem wydziału filozoficznego. Odbył podróż naukową po Niemczech i na morzu Adryatyckiém. Był członkiem zwyczajnym Akademii Umiejętności w Krakowie od czasu jej zawiązania i należał do licznych Towarzystw przyrodniczych w Austrii, Niemczech i Rosyi; był też członkiem Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu. Badał Galicyą od r. 1850, najprzód pod względem flory, a potem fauny. Zakładał przy tem zbiory, któremi w latach 1852—1863 obdzielił gimnazyja w Samborze, Stanisławowie, Tarnopolu, we Lwowie, św. Anny w Krakowie, w Czerniowcach; a więc w czasach, kiedy muzea tych zakładów naukowych były jeszcze puste. Ofiarował cenne zbiory zoologiczne także obu Uniwersytetom we Lwowie (1853) i w Krakowie (1865) i zasiliał też niemi muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie. Brał czynny udział w pracach komisji fizyograficznej b. Towarzystwa naukowego w Krakowie, utrzymywał stosunki z zagranicznymi uczonymi na polu zoologii i wykształcił zastęp młodych badaczy, którzy, rozmiłowani w przyrodzie ojezystej, towarzyszyli mu w wycieczkach jego wzdłuż i wszerz kraju.

Ś. p. prof. Nowicki za swe prace naukowe otrzymał dowody uznania od austriackiego i pruskiego Następcy tronu, jako protektorów rybactwa w Austrii i Niemczech; dalej wynagrodzono go medalami, dyplomami honorowemi, a raz nagrodą pieniężną fundacyi ś. p. ks. J. R. Lubomirskiego. Od jego nazwiska nadawali uczeni nazwy nowo-odkrytym gatunkom. Wyrazem zaś uznania dla wszechstronnej jego działalności był obchód 25-letniego jubileuszu, jaki się odbył w Krakowie w roku 1888. Liczne prace jego wychodziły w języku polskim i niemieckim. Składały się zaś z całego szeregu dzieł naukowych, broszur, rozpraw, artykułów w zakresie zoologii. Niezmordowanym był ś. p. prof. Nowicki szczególnie w badaniu fauny krajowej. Nadto obdarzał kraj pracami, zastosowaniami do potrzeb szkoły wydziałowej i średniej, gospodarstwa rolnego i leśnego, ochrony zwierząt, a przedewszystkiem rybactwa krajowego.

Sumienny i niestrudzony pracownik na polu nauki, posiadał zmarły, obok gruntowności uczonego, szlachetny zapał obywatela kraju, objawiający się na polu zawodowem, z katedry akademickiej i w książkach zmarłego; — ducha obywatelskiego dowody składał zaś w zachodach, jakie podejmował, aby podnieść jedną z gałęzi gospodarstwa krajowego, niegdyś stojącego u nas wysoko a z biegiem czasu zaniedbanego, mianowicie rybactwa; nawoływał tedy, jeździł, poruszał i jednoczył ludzi, zgłębiał sprawy i trud dla ożywienia ruchu rybackiego w kraju, dla wyjednania zmian w ustawach. Starania te nie poszły na marne: sęjm przeprowadził ustawę, za którą zmarły profesor tak gorąco obstawał. Oprócz tego zawiązał Nowicki Towarzystwo rybackie, co wiosna wrzucał miliony zarybku do naszych rzek, jeździł za granicę na kongresy rybackie, aby tam reprezentować ten dział bogactwa naszego kraju. Cześć jego pamięci!

W dniu 23 listopada rozstał się z tym światem w Warszawie, sędziwy uczoney i podróżnik **Antoni Waga**. Nazwisko Wagi od siedemdziesięciu lat prawie znane jest w naszym świecie naukowym — a długie życie uczonego przyrodoznawcy było nieprzerwanym ciągiem pracy i badań sumiennych, gruntownych. Ś. p. Antoni Stanisław Floryan Waga urodził się we wsi Grabowie, w dzisiejszej gub. Piotrkowskiej, w dniu 8 maja 1799 roku. Kształcił się początkowo w Warszawie, w szkole wojewódzkiej ks. Pijarów, w której po ukończeniu nauk w roku 1817, mianowany został nauczycielem. Rozprawa jego „O zwierzętach przez poetów i malarzy zmyślonych“ („Pamiętnik naukowy r. 1819“; w osobnej odbitce 1820) zwróciła na młodego nauczyciela uwagę władzy edukacyjnej, która wysłała go na koszt rządu do uniwersytetu berlińskiego dla udo-



skonalenia w historii nauk przyrodzonych. Powróciwszy do kraju, wstąpił W. na wydział filozoficzny ówczesnego Uniwersytetu warszawskiego, który ukończył ze stopniem magistra filozofii i poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. Wykładał w szkole wojewódzkiej pedagogiczno-praktycznej, istniejącej podówczas na Lesznie, oraz w instytucie rządowym guwernantek. Przy nowej organizacji szkolnej mianowany w r. 1832 starszym nauczycielem gimnazjum w Warszawie i członkiem komitetu egzaminacyjnego, dosłużył się emerytury, poczem zajął się wyłącznie badaniami naukowemi: a mianowicie ulubioną entomologią. Zaprzyjaźniony z badaczem przyrody ś. p. Wojciechem Jastrzębowskiem, odbywał z nim wspólne wycieczki po kraju, w celu badań naukowych (1829).

Gdy w r. 1840-ym przysposabiano wydawnictwo „Biblioteki Warszawskiej“, należał Antoni Waga do pierwszych, którzy światłem obywatelskiem i gruntowną nauką wpłynęli nader szczęśliwie na kierunek i charakter nowego pisma, zamykającego z niniejszém zeszytem 50 lat swojej działalności naukowej. Gdy grono zwolenników literatury ojczyściej, na zebraniu swoim dn. 12 września 1840 r., zawiązawszy się w w Redakcyą, postanowiło od 1-go stycznia 1841 wydawać pismo miesięczne pod tyt. „Biblioteka Warszawska“, podzieliło się dla staranniejszego wydawnictwa na wydziały *filozoficzny, historyczny, prawa, nauk administracyjnych, literatury i przemysłu*—które w osobnych delegacjach redakcyjnych miały czuwać nad doborem prac naukowych, ich rozdziałem w pojedynczych zeszytach i t. d. Dla tym pewniejszego urzeczywistnienia tak poważnego zadania przybrała Redakcyja na rzeczywistych Członków-Redaktorów Antoniego Wagę, Augusta Cieszkowskiego, Feliksa Zielińskiego i Franciszka Gąsiorowskiego. Od tój też chwili aż do zgonu nie przestawał ś. p. Antoni jako Członek-Redaktor brać udziału w pracach i rozwoju wydawnictwa naszego, które szczególnież w latach ostatnich w gronie swych współpracowników i szlachetnych opiekunów liczne nader straty poniosło. Po śmierci bowiem redaktora K. Wójcickiego († 1 sierpnia 1879) umarli z grona Członków-Redaktorów „Bibl. Warsz.“: Gustaw Zieliński, Aleksander Tyszyński, Zygmunt Gawroński, Józef Kraszewski, Wincenty Majewski, Stanisław Przysański, Tomasz Zamoyski, Edmund Stawiski, i ostatnio Antoni Waga. Z pierwszych Członków-Redaktorów pozostał już tylko jeden, czcigodny Prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, August hr. Cieszkowski, niezmordowany poważny pracownik na naszój niwie umysłowej.

Niepodobna nam w tém miejscu wypisywać tytułów przeszło 70-iu rozpraw, które, poczynając od 1-go tomu „Bibl. Warsz.“, ś.p. Waga w piśmie tém ogłosił, jak również nie możemy tu wymienić tytułów około 30 prac w osobnych książkach po rok 1862-i wydanych, ale musimy się ograniczyć tylko na tych, które (pisane wszystkie wzorowym językiem) wpływały aż po ostatnie czasy na rozwój nauk przyrodzonych w literaturze naszej.

Już w dość późnym wieku wziął Waga udział w podróży naukowej hr. Branickiego na Wschód i w wycieczkach do Afryki. Dzięki przyjaźni i pomocy hrabiów Branickich i Ksaw. hr. Pusłowskiego powtarzał Waga kilkakrotnie swoje dalsze wycieczki i zawsze przywoził z nich nowe a cenne dla nauki zdobycze. Znaczna część okazów, przez Wagę z Afryki przywiezionych, znajduje się w muzeum hr. Branickich „Frascati“ w Warszawie.

Z rzędu wybitniejszych prac Wagi, wydanych oddzielnie wymieniamy, prócz wyżej już powołanej „O zwierzętach etc.“ 1) „Rozprawa o naukach przyrodzonych“ (Warszawa 1819), 2) „Podróż z Berlina do Lipska“ (Lipsk 1821). 3) „Rzecz o piórze pod względem jego budowy, różnic i użytku“ (Warszawa 1825), 4) „O nowym, szczególnym gatunku pszczołowatego owadu“ (Warszawa 1826), „Książka dla dobrego chłopca“ (Warszawa 1826), 5) „Wiadomości z nauk przyrodzonych do użytku szkoły guwernantek“ (Warszawa 1826), 6) „Historyczno-naturalne opisanie znaczniejszych zwierząt menażeryę Wan Dintera z Amsterdamu składających“ (Warszawa 1827), 7) „Teorya gospodarowania wewnętrznego czyli zbiór wiadomości potrzebnych gospodyniom dla użytkuinstytutów żeńskich“ (Warszawa 1828), 8) „Uwagi nad niektórymi owadami szkodliwymi rolnictwu i nad sposobem ich niszczenia“ (Przeł. roln. techn. na r. 1838), 9) Uwagi nad rozprawą Homela o Czerwcu Arackim i polskim („Magazyn powsz.“ 1838), 10) „Myśliwstwo ptasze“, dzieło z w. XVI-go z przedmową i przypiskami. (Warsz. 1842). 11) „O ptakach, które wyginęły z okręgu ziemskiego“ (Warsz. 1845), 11) „Historya obyczajów i zmyślności zwierząt Vireya“ (Warsz. 1845). 12) Zoologia przez Milne Edwards (Warsz. 1856). 13) „Historya naturalna“ (Warszawa 1859), 14) „Atlas do nauki historii naturalnej z 220 kolorowemi rycinami“ (Warszawa 1860). 15) Pochwała Konstantego hr. Tyzenhauza, Ornitologa polskiego. (Warsz. 1862).

W „Tygodniku Ilustrowanym“ drukował Waga wyjątek z podróży swych po Afryce: „Pobyt w Kairze“.

Ostatnie lat kilka przepędził sędziwy uczoney w Warszawie, zajęty nieustannie porządkowaniem swych zbiorów i studjami naukowemi. Zaczny człowiek, oddany z całym zapalem nauce, której do końca życia był wierny, dawał piękny przykład pracy i wytrwałości.

Cześć jego pamięci!

---



# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1890.

strona

## *Historya polska.*

Sztuka wojenna w Polsce za Zygmunatów. (I. Literatura wojskowa. II. Zamki i miasta obronne. III. Stan artylleryi, broni ręcznej i innego uzbrojenia). Przez Konstantego Górskiego. . . . .	1, 228
Drugi Zjazd historyków Polskich we Lwowie. Przez B. G. . . . .	189, 391
Historyjki i plotki historyczne. (Mixtum compositum). Przez Aleksandra Kraushara. . . . .	345

## *Pedagogika.*

Reforma gimnazjalna w Szwecyi. Przez prof. Antoniego Okolskiego. . . . .	19, 212
--	---------

## *Ekonomika i sprawy społeczne.*

Zniesienie propinacyi w Galicyi. (Dok.). Przez prof. Stanisława Starzyńskiego. . . . .	37
Robotnicy w Europie. (Les classes ouvrières en Europe. Etudes sur leurs situation materielle et morale par René-Lavollée. Paris 1888). . . . .	84
Robotnicy przemysłowi i opieka nad nimi czyli tak zwana Kwestya robotnicza. Przez Witolda Załęskiego. . . . .	161, 375

## *Powieść.*

Brzydka dziewczyna. Powieść. Przez Zygmunta Grabowskiego. . . . .	52, 253, 405
---	--------------

## *Historya literatury polskiej.*

Pieśni Wacława Potockiego. Przez J. K. Plebańskiego. . . . .	321
--	-----

## *Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.*

Postyczna wędrowka Felibrów prowansalskich po Gaskonii. — „En Voyage“, pośmiertna publikacya Wiktora Hugo. — Grobowe pomniki Wiktora Hugo i Mirabeau w Panteonie. — Zakłady naukowe w Stanach Zjednoczonych, przez Piotra Combertain. — Spór Harlemu z Moguncją o wynas-

lazeł druk.—Zmarła pani Ackerman.—Kongres naukowy w Limoges.—Lamenais jako polityk i miłośnik sztuki.—Powszechny alians naukowy.—Przewodnik po Paryżu i wybrzeże Normandzkie p. Chmielińskiego. — „Astra“, powieść królowej rumuńskiej. — Medal ofiarowany doktorowi Gałżowskiemu. . . . .	101
Uroczystości w Mâcon z powodu stuletniego obchodu urodzin Lamartina.—Mowy Juliusza Simon i biskupa z Autun. — Sądy dzisiejszych literatów o Lamartinie— Kleopatra nowy dramat Wiktoryna Sardou i p. Moreau.—Dramat Jerzego Duruy: Ni Dieu, ni Maitre.—Zmarły powieściopisarz i publicysta Alfons Karr. — Ostatnia jego powieść „Heleną“. — Studya literackie i historyczne Józefa Reynach.—Wpływ Francji na Niemcy. — Konferencya p. Jana Dybowskiego: Wycieczka na Saharę.—Rozprawa o Mickiewiczu pr. Dillon w przeglądzie angielskim: The for nighty Review. . . . .	430

### *Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

Marya. — Z dziejów boleści. Nowelle. Warszawa, 1890 roku. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . .	126
W roku 2000 (Looking Backward. 2000 — 1887). Powieść Edwarda Bellamy.—Tłomaczył z oryginału I. K. Potocki. Warsz. 1890, str. 332. Bellamy Edward. W wieku XXI. Spolszczył K. . . . .	133
J. K. Kochanowski: „Kilka słów w sprawie teoryi historyczno-heraldycznej d-ra Piekosińskiego“. Kraków 1890, 8 <sup>o</sup> , str. 45. Przez Ernesta Deichesa. . . . .	283
Wielka Encyklopedia powszechna ilustrowana, zeszyty I—IX, Str. 584 (A—Alea). Nakład i druk S. Sikorskiego. Warszawa 1889—1890. Przez P. i S. . . . .	288
Dwa prądy, powieść na tle współczesném przez Anatola Krzyżanowskiego — odznaczona zaszczytnie na konkursie „Kuryera Warszawskiego“. Nakł. i druk S. Lewentala Warsz. 1890. 8-o, str. 346. Przez Z. G. . . . .	299
In darkest Afrika; or the Quest, Rescue and Retreat of Emin, Governor of Equatoria. By H. M. Stanley. („W najciemniejszej Afryce, albo Szukanie, Ratunek i odwrót Emin, gubernatora Ekwatoryi“. Przez Henryka M. Stanleya). London 1890. Tomów 2 z 150 drzeworytami i 3 mapami. Przez J. K. P. . . . .	302
Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Napisał Antoni Mszanowski. Warszawa. Nakładem księg. G. Contnersch-wera, 1890 str. 122. Przez Romana Plenkiewicza. . . . .	451
Luiz Camoens Luzyady, epos w dziesięciu pieśniach z oryginału portugalskiego przełożył, objaśnieniami i życiorysem autora opatrzył Adam M—ski.—Warszawa. Nakład S. Lewentala r. 1890. Przez J. A. Świącickiego. . . . .	460
Zbiór dokumentów, znajdujących się w bibliotece hr. Przędzięckich w Warszawie. Wydał Adam Chmiel. Kraków. Nakład. Konst. hr. Przędzięckiego 1890. Str. XIX + 160. Przez Ernesta Deichesa. . . . .	469

## Kronika miesięczna.

*Październik.* — Status-quo w stosunkach międzynarodowych. Zjazdy monarchów. — Antyrządowe demonstracje w Portugalii, wywołane upokarzającą ugodą z Anglią w sprawie afrykańskiej. — Rewolucya w Belinzonie, w kantonie tessyńskim w Szwajcaryi. — Mermeix'a „Za kulissami bulanzysmu“ (Figaro). — Kompromitujący monarchistów list hr. Paryża do Senatora Bochera. — Trudność porozumienia stronictwa Staroczeskiego z Młodo-Czechami. — Ks. Sanguszko marszałkiem w Galicyi. — Prof. M. Bobrzyński viceprezesem galicyjskiej Rady szkolnej. — Zakończenie roku szkolnego w Imperatorskim Uniwersytecie w Warszawie dn. 11-o września r. b. — O portret ks. Marka, Karmelity. — Statystyka kościołów katolickich i duchowieństwa katolickiego w cesarstwie i królestwie Polskiem. — Statystyka katolicyzmu w Anglii. — Posiedzenie nadzwyczajne Tow. liter. im. Ad. Mickiewicza we Lwowie. — Poszukiwania archeologiczne p. Godfryda Ossowskiego na Podolu galicyjskiem. — Cenne wykopalisko dr. Henr. Schliemanna w Atenach. — Papyrusey znalezione w Egipcie z fragmentami dzieł Euripidesa i Platona. . . . . 138

*Listopad.* — Ogólne położenie międzynarodowych stosunków w Europie: fizyognomia pokojowa. Crispi, głoszący sympatyę dla Francyi a dla przypodobania się Austro-Węgrom karzący żarliwie Irredentystów. — Zatarę portugalsko-angielski. — Nieudana próba tranzakcyi angielsko-włoskiej na polu polityki afrykańskiej. — Kłopoty W. Porty z kościołem greckim. — Stosunki na półwyspie bałkańskim. — Zbliżenie ekonomiczno-handlowe pomiędzy Austro-Węgrami a cesarstwem niemieckiem, jako skutek zjazdów, szląskiego i styryjskiego. — Organizowanie się socjalistów niemieckich po ustaniu praw antysocjalistycznych: kongres socjalistów w Halli oraz kongresy socjalistów francuzkich. — Epidemia wychodźstwa do Brazylii. — Muzeum rzemieślnicze przy Tow. popierania przemysłu i handlu. — Odezwa Red. „Pamiętnika fizyograficznego“ w sprawie „Badania ziemi ornej“. — Doroczne posiedzenie Zakładu narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie d. 11 października. — Z archeologii: tablice gliniane z napisami assyryjskiemi w Egipcie. . . . . 307

*Grudzień.* — Charakterystyka dzisiejszych stosunków międzynarodowych w porównaniu z dawniejszą polityką. — Zamierzona reforma szkół w Prusach. — O pracach t. zw. komisyy żydowskiej w Petersburgu. — B. Werner o znaczeniu „bilu Mac-Kinleya“. Towarzystwo kopalni i fabryk so s n o w i c k i c h. — Prace nagrodzone przez Akademią Nauk w Petersburgu z funduszu hr. Uwarowa. — O portret ks. Marka. . . . . 472

## Wiadomości bibliograficzne.

*Październik.* — Wdowiszewski: „Bibliografia zabytków Krakowa od 1800—1888. — L. Zarewicz: „Leliwita Spicimir, praojciec Melsztyńskich i Tarnowskich“. — Listy Bukatego do Stanisława Augusta (1789—1793). — Adam Piliński i jego prace artystyczno-bibliograficzne. — K. Waliszewski „Polska i Europa w drugiej połowie XVIII-o w.“ — „Pamiętniki generała Kruszewskiego“. — „Dzieje literatury powszechnej z ilu-



stracyami“ wyd. S. Lewentala T. III-ci część I-sza: literat. włoska, (E. Porębowicza), hiszpańska, portugalska, włoska i francuska w. XV-o (J. A. Świącickiego).—Flammariona „Urania“ przekł. St. Kramsztyka. — Bron. Znatowicz: „Zadania i wyniki badań stereochemicznych“.—Kraszewski J. J. „Wybór pism. Nowelle, obrazki i fantazyje od 1830 do 1886). — Esteja „Kartka z życia“.—Jadwiga Wittowna „Dary śmierci“.—M. Rodziewiczówna „Nowelle“.—Luzyady Camoensa, przełożył z portug. Adam M.—ski.—Krzyżanowski Anatol „Dwa prądy“.

147

*Listopań.*—„Lites ac res gestae inter Polonos et Ordin. Crucifer.“ Tom I. wyd. 2-gie.—„Prace matematyczno-fizyczne“. Warsz. 1890. T. II. zes. 2. — „Pamiętnik 2-go zjazdu histor. polsk. we Lwowie. I. Referaty. — Al. Poliński: „Śpiewy chóralne rzymsko-katol. — Abraham Wład. prof. „Organizacya kościoła w Polsce do połowy w. XII-o. N. Sokolow: „Zadanie inteligencji żydowskiej“. Warsz. 1890. . . .

315

*Grudzień.*—Katalog S. Lewentala. — X. Stef. Pawlicki „Histor. filozofii greckiej. T. I. — „Encyklop. wychowawczej“. Zesz. VIII tomu 4-o. K. P. Orient-Expressem.—Dr. Tehórznicki. „Listy o wyborze stanu“. M. Heilpern: „Tajemnice przyrody“. — Świętopełk Czech: „Wycieczki p. Brouczka tłóm. J. Nitowski. — Gliński „Wspomnienie Tatrow“.—M. Rodziewiczówna. Obrazki.—J. Ksaw. Hendigery. Nauka wychowania. O wychowaniu fizyczném.—Balcer Oswald. „W obronie historyografii naszzej“. — Ks. Emil Michael, S. J. „Rankes Weltgeschichte“.—„Jesus Christ“ p. R. P. Didon.—Edm. Hippeau „Les Lusiades de Camoëns“.—Corresp. diplomat. du Pozzo di Borgo. (1814—1818). — Vivenot u. Zeissberg: „D. Baseler Frieden“. Die 3-te Theilung Polens“.—Locqueneuille. „L'esclavage“.—Weissenborn „Sechs Jahre Colonial-politik“.—Rolin-Jacquemyns: „La conféreme de Berlin“.

477

### Nekrologia.

Ś. p. Jan Kanty Gregorowicz (156). — Ś. p. ks. Józef Hollak (320). — Ś. p. Maksymilian Nowicki (482). — Ś. p. Antoni Stanisław Floryan Waga. . . . .

483

### Ogłoszenia.

Od Redakcyi. Ogłoszenie prenumeraty na rok 1891.

### Sprostowanie pomyłek.

Na str. 287 wiersz 11 od góry czytać trzeba: *Normanowie* — zamiast *Saksonowie*.

*Redaktor odpowiedzialny i Wydawca J. K. Plebański.*

# ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

NA ROK

1 8 9 1.

**Biblioteka Warszawska**, pismo miesięczne, poświęcone naukom, literaturze, sztukom pięknym i sprawom społecznym, rozpoczyna z rokiem 1891-ym pięćdziesiąty pierwszy rok swojej działalności naukowo-literackiej i wychodzić będzie nadal, na początku każdego miesiąca w zeszytach 12-arkusowych.

Pomimo zwiększenia liczby arkuszy i ulepszenia formy zewnętrznej równie co do papieru jak i druku, cena „Biblioteki Warszawskiej“ pozostanie niezmienną.

Półwiekowe starania Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej“ o utrzymanie wszechstronnej peryodyczności naukowej w literaturze polskiej, na gruncie cywilizacji i oświaty narodowej we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego, uwalniają nas od szczegółowego rozbioru programu pisma, powszechnie zresztą znanego. Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“, nie hołdując krańcowym teoryom, które miewają zwykle więcej chwilowego rozgłosu, widzi podstawę rozumnego postępu we wszechstronnem badaniu zarówno zjawisk świata duchowego jako i fizycznego, z uwzględnieniem przedewszystkiem potrzeb społeczeństwa polskiego. Zasadom tym, pozostała Redakcyja „Bibl. Warsz.“ wierną wśród rozmaitych okoliczności i warunków pracy publicystycznej. Z niesłabnącą też otuchą rozpoczyna nową serją wydawnictwa, przy wzmocnionym udziale wybitnych sił naukowych i literackich.

Program „Biblioteki Warszawskiej“ rozkłada się na działy następujące:

I. **Filozofia**: rozbiór nietylko głównych systemów, ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.

II. **Historja i geografia**: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju, z uwzględnieniem warunków geograficznych.

III. **Statystyka**: ważniejsze kwestje społeczne i ekonomiczne.

IV. **Nauki przyrodzone** w ich rozwoju i praktycznem zastosowaniu.

V. **Pedagogia i filologia** wraz z **lingwistyką**, ze szczególną uwagą na sprawy szkolne i prawidłowy rozwój języka polskiego.

VI. **Literatura i sztuki piękne**: historia literatury, utwory poetyczne i prozaiczne (powieść, dramat, poemata).

VII. **Sprawozdania i krytyki** z piśmiennictwa polskiego i zagranicznego w ogólnych przeglądach literatury beletrystycznej i w szczegółowych krytycznych rozbiorach znakomitszych dzieł naukowych.

VIII. Kronika zagraniczna o ruchu umysłowym, artystycznym, społecznym i ekonomicznym w głównych ogniskach życia publicznego.

IX. Korespondencye w szczegółowych kwestiach naukowych.

X. Kronika miesięczna o sprawach bieżących: politycznych, społecznych, naukowych, artystycznych i ekonomicznych.

XI. Wiadomości bibliograficzne z bieżącej literatury polskiej i zagranicznej.

XII. Nekrologia.

XIII. Ogłoszenia.



## WARUNKI PRENUMERATY.



„Biblioteka Warszawska“ kosztuje: W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie . . . . .	rs. 10 kop. —
Półrocznie . . . . .	„ 5 „ —

w Warszawie zaś:

Rocznie . . . . .	„ 9 „ —
Półrocznie . . . . .	„ 4 „ 50
Kwartalnie . . . . .	„ 2 „ 25

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, Foksal Nr. 6**, gdyż to zapewnia najlepiej akuratną ekspedycyą pisma.

Przyjmują prenumeratę także wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Oплата za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające 1 całą stronicę formatu Bibl. Warsz.	rs. 5
„ „ 1/2 stronicy	„ 3
„ „ 1/3 „	„ 2

Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“, zamykając zeszytem niniejszym V-tą seryą wydawnictwa, dostarczy w przeciągu miesiąca grudnia tegorocznym prenumeratorom zapowiedziane **Systematyczne Zestawienie przedmiotów**, zawartych w ostatniej seryi Bibl. Warsz. z lat 1875-go do 1891-go, opracowane przez K. Estreichera, które dopiero po wydrukowaniu Zeszytu grudniowego, pod okiem sz. profesora ukończonem być może.

Praca ta razem z wydanem w r. 1875-ym w Krakowie przez tegoż samego uczonego „**Zestawieniem przedmiotów**“ z pierwszych z lat 1841-go do 1874-go włącznie, stanowić będzie dokładny **Spis bibliograficzny zasobów naukowych**, zawartych w tém półwiekowem wydawnictwie.

Redakcyja.